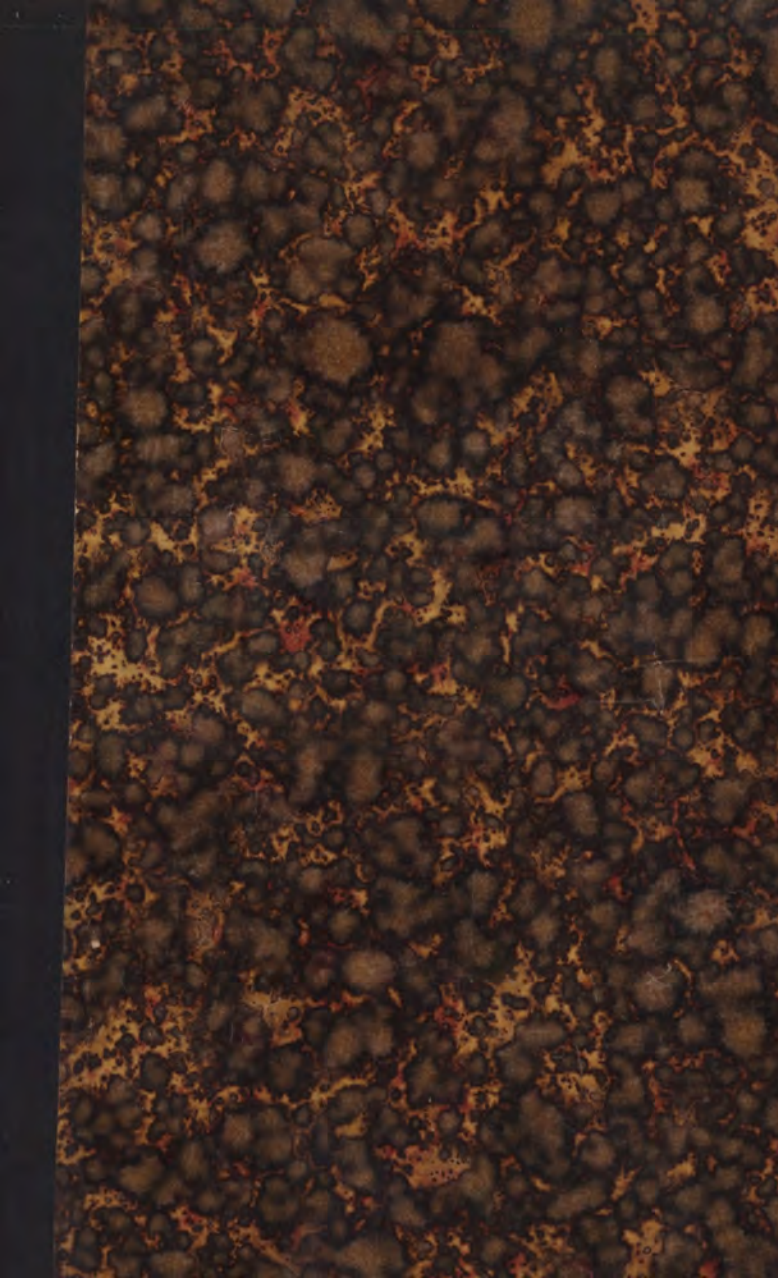
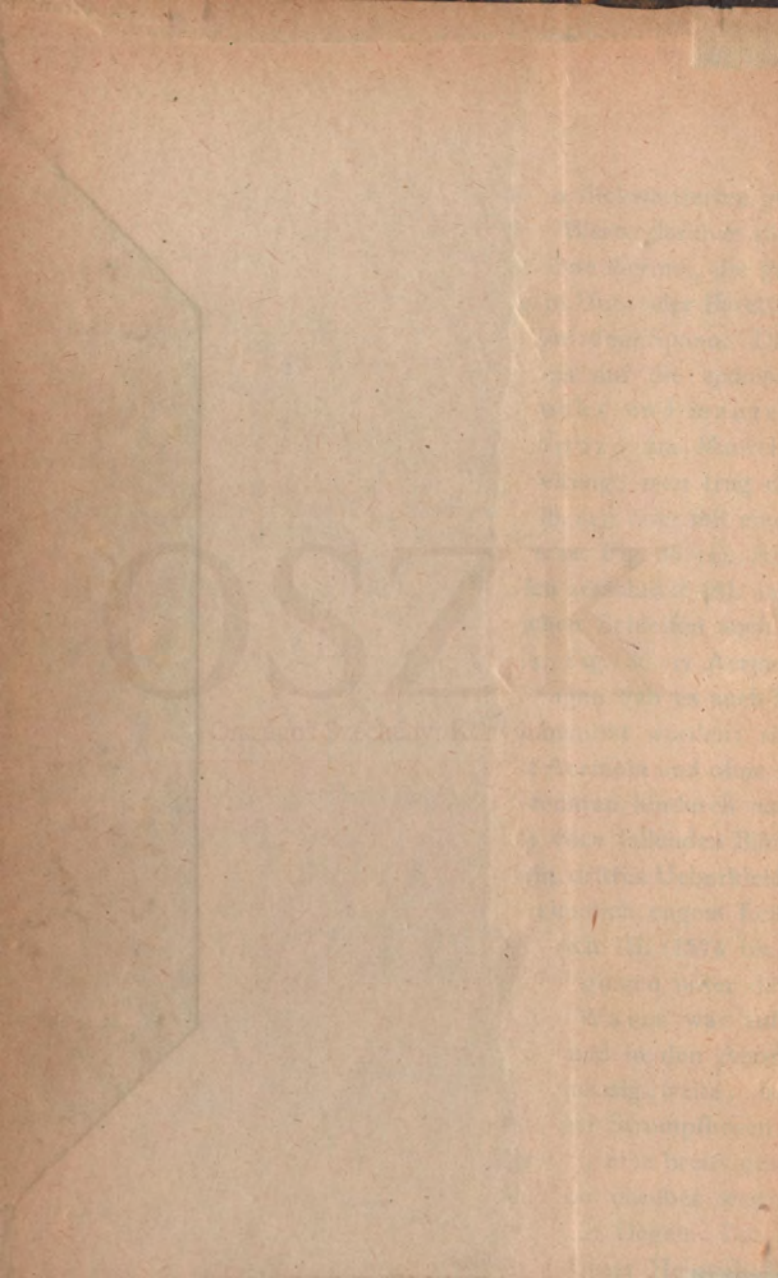


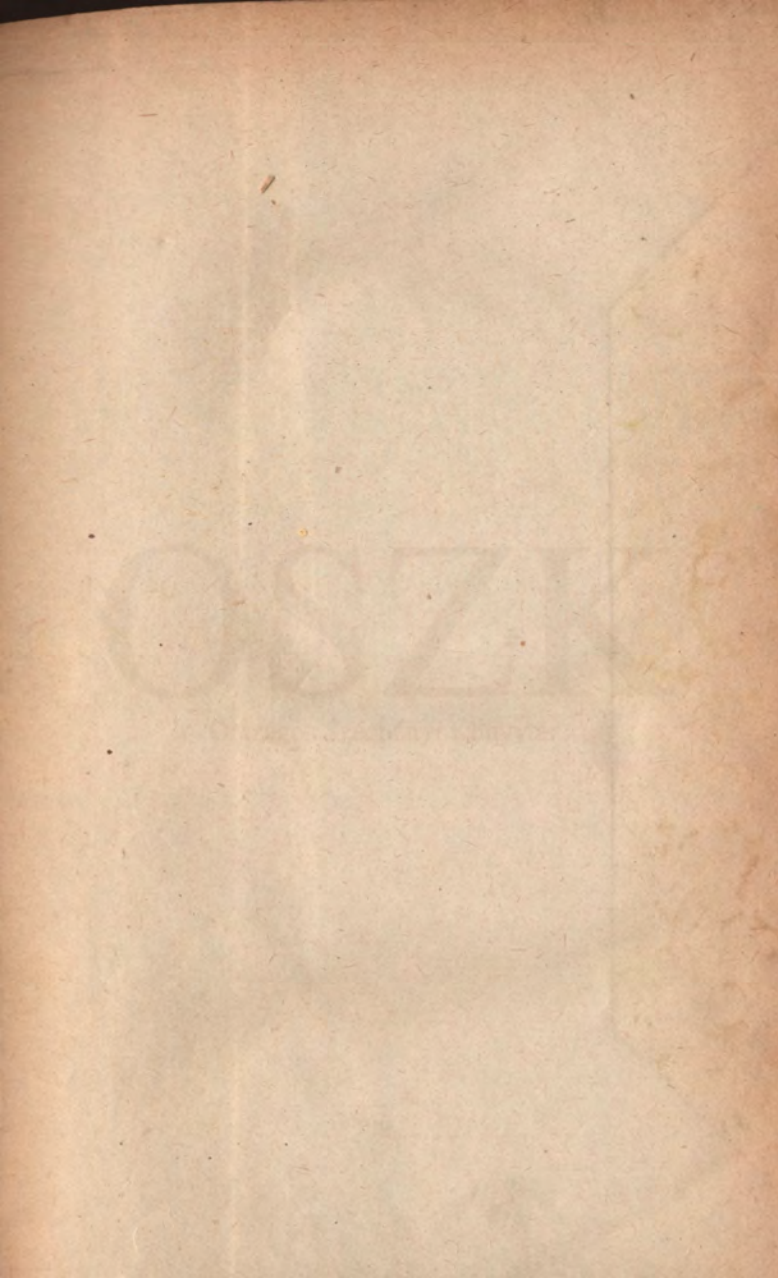
86.832

MIKSZÁTH
PARASOL
SWIETEGO
PIOTRA

N. M.







OSZK

Koloman Mikszáth.

PARASOL ŚWIĘTEGO PIOTRA

(Szent Péter esernyője)

Przekład z węgierskiego oryginału

B. Jaroszewskiej.

W A R S Z A W A

Nakładem Biblioteki Dzieł Wyborowych

SKŁAD GŁÓWNY

KSIEGARNIA GEBETHNERA I WOLFFA.

OSZK

*„vállalat ajándéka
a Péchényi könyvtár részére*

44

Koloman Mikszáth.

Parasol Świętego Piotra

(Szent Péter esernyője)

Przekład z węgierskiego oryginału

B. Jaroszewskiej.

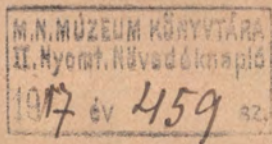
Biblioteka Dzieł W. borowych
WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska № 11

~~P. a hung~~ $\frac{14}{23}$
~~1122~~



86832



KOLOMAN MIKSZÁTH

(1847 — 1910)

Węgierska literatura powieściowa, mniej więcej równocześnie z naszą, w ślad za angielskim i francuskim romansem zrodzona w początkach ubiegłego stulecia, jak my: Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego i Kraszewskiego — tak ona za pionierów mając: Kemény'a, Jósikę, Eötvösa i Jókai'a, dosięgła wnet potem, podobnie jak nasza — wysokich stadyów rozwoju.

Nazwiskami, przodującymi w plejadzie beletrystów doby, która nastąpiła po wyżej wzmiankowanych pisarzach, a wiekiem równających się mniej więcej naszemu Prusowi, Sienkiewiczowi, — Rejmontowi, Żeromskiemu, są: Mikszáth i o szesnastcie lat młodszy od niego rówieśnicy: Gárdonyi, Herczeg i Bródy.

Tu podkreślić muszę z góry, iż — o ile na polu dzieł naukowych (głównie etnografii, ekonomii i przyrody, a także pomnikowych wydawnictw archeologiczno-historycznych) — Węgrzy wzięliby

może rekord w porównaniu z nami, to jednakże tak genialnych estetów, epików i ideowców, jakich my posiadamy we współczesnem powieściopisarstwie. naszym — oni dziś jeszcze nie mają.

Nie znaczy to bynajmniej, aby ich beletrystyka była mało warta: owszem, autorowie ich bywają bardzo utalentowani, piszą pięknie, zajmująco, umieją wzruszać prawdą wszechludzką: są nade wszystko niezmiernie ciekawi — zwłaszcza ze względu na odrębność swojej psychiki rasowej, która na ich umysłowości, sposobie przyjmowania i wypowiedzania wrażeń, stygmatyczne wyciska piętno. Zaznaczam jedynie brak superlatywów, których jednak kolei dla siebie — przy sprężystej ekspansywności uduchowienia swego — mogą się Węgrzy rychło doczekać.

Skąpo obznajmione społeczeństwo polskie z literaturą naszych sąsiadów i niegdyś sojuszników, nie może się oryentować trafnie w wartości firm pisarskich, brzmiących obco. Tłomacze, lub może raczej wydawcy starali się zawsze o przyswajanie tych dzieł tylko, których autora nazwisko rozgłośnie zapewniało książce zbyt łatwy. Autorów nieznanym nakładcy bali się, jak zmory. Że zaś fama nie zawsze idzie w parze z istotną zasługą, przeto wkradło się tu dużo niedokładności. Kemény'a dzieł po polsku nie mamy wcale: Jókai — bodaj jedno tylko („Ostatni Báthory — w przekładzie Langego): a Jókai'a posiadamy bez pardonu i bez wyboru wszystkie, nawet te z ostatnich lat jego twórczości, które nic nie są warte, — Eötvösa zato „Kartuz”, arcydzieło literatury powszechnej, o którym wspominają wszystkie ency-

kłopedye i leksykony, tłumaczone w całe Europie — tylko do nas nie znalazło wstępu.

Od Mikszáth'a, choć młodszy—szczęśliwszym był u nas dotąd Herczeg, znany z kilku przekładów, drukowanych swojego czasu w „Wieku” a głównie z 3-tomowego cyklu „Gyurkowiczów”, który „Bibl. Dzieł Wyborowych” sobie przyswoiła. Teraz należy się Mikszáth'owi powetować długie—zbyt długie o nim u nas milczenie. W popularności u Węgrów Mikszáth zajmuje pierwsze po Jókai'u miejsce: właściwie poważniejsza krytyka jego uważa za pisarza najbardziej narodowego — bardziej nawet, niż Jókai'a w dziełach swoich bowiem zostawił on szereg ludowych zwłaszcza typów tak prawdziwych, iż śmiało rzec można, że wykrzesywał z pod pióra istic żywe odbicie duszy swojego narodu.

Urodzony w r. 1847 we wsi Szklabonya (w kom. Nógrad) przechrzczonej w dniach jego jubileuszu 40-lecia pracy literackiej na „Mikszáth-falu”, pobierał początkowe nauki w Rimaszombat i Selmechanya; skończywszy prawo w Budapeszcie, pracował jakiś czas jako urzędnik w Szegedzie. Wkrótce jednak wrócił do stolicy, gdzie całkowicie poświęcił się dziennikarstwu i literaturze. Tam też i umarł, w 63-cim roku życia, dosięgnąwszy apogeum uznania rodaków, a także dużej sławy po za swoim krajem. W krótkiej wzmiance niniejszej trudno się zapuszczać w ocenę licznych dzieł, jakie pozostawił, tem więcej, że na innem miejscu zamierzam to uczynić. Za najlepszą jego powieść ogólnie jest uznana ta właśnie, którą tu przedstawiamy: „Parasol ś-go Pio-

tra“, choć i „Szturm Murànyu“ ma niemniejsze do tego prawo. „Nowa Zrinyiàda“, „Dobrzy polowcy“, „Przygoda młodego Noszty'ego“ i mnóstwo innych — są to wszystko większe lub drobniejsze prace, pisane z niezrównanym swoistym humorem, pełne głębokiej poezji i uczucia, tudzież naiwnego bezpretensjonalnego wdzięku. Satyra Mikszàth'a, ogromnie bystra, do głębokich nieraz pokładów duszy sięgająca, bawi, lecz nie rani: bo w piórze jego niema ani szczypty osobistych porachunków, lub chęci dokuczenia komubądź zółcią. W „Parasolu Św. Piotra“ spleta się z podziwu godną bezpośredniością odczucia liryzm przyrody (np. chwila, gdy szum dalekiego lasu niby głosem zmarłej matki przemawia do młodego księdza) z urokiem fantazji ludu, wierzącego i stęsknionego do cudów, — zarówno jak przepyszny komizm prowincjonalnych powag nadętych, w gruncie rzeczy dzielnych obywateli kraju i ludzi tak dobrych, że możnaby ich do rany przyłożyć (posiedzenie „senatorów“ w Bàbaszèku) — z kontrastowym efektem punktu widzenia zmanierowanej cudzoziemki, gorszącej się „dziczą“ zdrowszych, normalniejszych od niej natur, wśród jakie się dostała (epizody z panią Krisbay).

Mikszàth, który — mówiąc nawiasem — był przyjacielem Polaków (czego i w niniejszej powieści daje dowód, wspominając jen. Dembińskie-go, i wprowadzając, choć drugoplanową, ale miłą postać Polki), tuszymy sobie, iż za naszą sprawą wstępnym bojem zdobędzie teraz należne mu, choć spóźnione, lecz niemniej szczerzej sympatyi pełne uznanie naszych Czytelników. B. J.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

LEGENDA.

Zabierają małą Veronkę.

W Halap sen wieczny stulił oczy nauczycielowej wdowy.

Gdy zemrze pedagog nie mają się czem pochrześcić grabarze: cóż zaś dopiero, jeżeli jeszcze i wdowa po nim na tamten świat się przeniesie. Nieboga zostawiła po sobie tylko kozę, gęś, którą dopiero podkarmiać zaczęła i dwuletnią dziecinę, córeczkę. Gęś powinna była jeszcze przynajmniej tydzień być tuczona: ale widocznie i na ten tydzień życia nie zdołała się już zdobyć biedna nauczycielowa. Dla gęsi stanowczo zawczasie umarła jej pani, o wiele jednak zapóźno — dla dziecka. Dziecku wogóle nie należało się wcale rodzić. Czemuż Bóg jej nie zabrał do siebie jednocześnie z mężem! (Boże, jakież cudny głos miał ten człowiek!...) Maleństwo przyszło na świat już po śmierci ojca: ale nie zapóźno, coś najwyżej w miesiąc, czy w dwa miesiące. Niechby mi

język ucięto, gdybym co złego o tem powiedział. To też ani mówię, ani nawet myślę.

Dobre i uczciwe było to kobiecisko, ta nauczycielowa, ale czy potrzebny jej był ten szczeniak? Napewno lżej byłoby jej wywędrować na tamten świat razem z tym ciężarem, niżeli go pozostawiać tutaj.

I wreszcie to nawet nie uchodziło, na karę Boską mogło wyglądać...

Przecież nauczycielstwo mieli już dużego, dorosłego chłopca, księdza. Dzielny był to chłopak, szkoda tylko, że nie mógł dopomagać matce, gdyż był dopiero wikarym przy bardzo ubogim plebanie, gdzieś u Słowaków. Chociaż teraz właśnie, coś ze dwa tygodnie temu zaczęły krążyć pogłoski, iż świeżo mianowany został na samodzielnego proboszcza w wiosce zwanej Glogova, wśród gór Bystrzyckich. Jest nawet jeden gospodarz, tu, we wsi, niejaki pan Jan Kapiczany, który tam jeździł kiedyś z wołami: powiada, że jest to wstrętna dziura. Bądź, jak bądź choć trochę byłby chyba mógł teraz dopomagać matce młody ksiądz — i oto trzeba, żeby właśnie zmarła.

Ale trudno, nie wskrzesimy jej lamentami, więc tylko to chcę powiedzieć — na chwałę gminy Halap — że wyprawiono biedactwu uczciwy pogrzeb. Zebranych pieniędzy, coprawda, nie starczyło na pokrycie kosztów ostatniej posługi, przyszło sprzedać kozę — ale gęś została. Że jednak zbrakło dla niej kukurydzy, więc schudła nieboraczka: zamiast z trudem i powoli sapać — odzyskała normalny, lekki oddech: zamiast się toczyć na krótkich nogach, nieledwie pełzając na

wielkim brzuchu — napowrót stała się powiewną i zwinną, tak, iż udało jej się uciec przed zbliżką już czyhającą na nią przedtem śmiercią. Słowem — rozstanie się z życiem jednej istoty zabezpieczyło na czas jakiś doczesne bytowanie drugiej. Mądre wyroki Boskie nawet wtedy, gdy gaszą jedno życie—temsamem ochraniają inne, — albowiem, wierzajcie mi, że w regestrach niebiańskich równie ściśle są pozapisywane zwierzęta bezrozumne, jak obdarzone rozumem, i może niemniejszą opieką są otoczone, niż królowie i książęta.

Święty Majestat Boski jest bezwątpienia pełen dobroci, rozumu i potęgi—ale i pan wójt nie byle co. Zarządził on zaraz po pogrzebie, żeby mała sierotka (Veronka było jej na imię) — po kolei od gospodarza do goospodarza przechodziła na opiekę. Dziesiętnik codzień do innej furtki ma z nią kołatać.

— I długo tak będzie, panie wójcie? — pytali panowie radni, nie tając frasunku.

— Dopóki nie raczę inaczej rozporządzić — odparł Michał Nagy węzłowato.

Więc trwał taki stan rzeczy coś około dni dziesięciu, kiedy naraz wieść się rozeszła, iż panowie Maciej Billegi i Franciszek Koczka jadą z kukurydzą do Bystrzycy (ponieważ żydzi podobno nie zmądrzeli tam jeszcze tak bardzo, jak tutaj).

Michał Nagy w lot uchwycił sposobność.

— No, skoro wieziecie zboże, zabierzcież i dziecko, oddać je bratu starszemu w Glogovie.

To w tamtych stronach musi gdzieś być ta Glogova.

— Ależ Glogova leży zupełnie gdzieindziej!— żywo przeczyli gospodarze, zaskoczeni kłopotliwą propozycją.

— Musi tam leżyc i basta—krótko przeciał dyskusyę wójt gminy.

Wypraszali się, wykręcali ichmoście, że to im dużo drogi doda, że muszą Bóg wie jak okrażać i bieda w drodze z dzieckiem, ale nie było rady. Co rozkaz to rozkaz. Pewnej środy przeto spiętrzone worki na wozie pana Billegi'ego ukoronowane zostały koszem, wypełnionym przez małą Veronkę wraz z gęsią, gdyż tej, jako dziecictwu sierotki sądzonem było towarzyszyć swej młodocianej pani. Gospodynie z całej wsi napięły maleństwu ciastek, obwarzanków na drogę w straszny obcy świat, i dołożyły jeszcze worek śliwek i gruszek, a gdy ruszył ciężki pojazd nawet rzewnie zapłakały nad dzieciną, która ani wie, gdzie ją wiozą, poco ją wiozą, widzi tylko, że koniki szparko idą, że wszystko ucieka: domy, ogrody, pola i drzewa, a ona sobie wraz ze swoją gęsią siedzi spokojnie w koszu na workach i patrzy, patrzy, patrzy...

Glogova przed laty.

Glogowę widział nietylko pan Kapiczany: autor słów powyższych sam znał ją także. Mizerny był to ką, zapadły, nędzna wioszczyna, jakgdyby

wgnieciona w ciasną kotlinę, między nagie, skaliste wzgórza.

Daleko, daleko dokoła nie było tu wcale traktu porządnego, nie mówiąc już o kolei żelaznej. Teraz podobno chodzi od niedawna pomiędzy Bystrzycą a Selmechànya maszynka jakaś (takiej wielkości właśnie, jak maszynka do kawy) lecz Glogowę nawet i ona omija. Z pięćset lat jeszcze potrzeba na to, aby Glogova dosięgła poziomu, na jakim stoją dziś wsie cywilizowane.

Grunt jest tu dziwnie gliniasty, nieurodzajny i uparty. Jakgdyby się uznawał stworzonym jedynie do wydawania niektórych tylko gatunków roślin, jako to: grochu i kartofli,—innych rodzić ani myśli. Ale nawet i te, które raczy wydawać, trzeba iście przemocą wydobywać mu z łona.

Bo też ziemia ta właściwie nie jest matką, lecz prędszej świekrą, czy teściową... Wnętrze jej pełne kamieni, a powierzchnia poprzecinana mnóstwem brzydkich rozpadlin i wąwozów, najeżonych u brzegów karłowatemi, spłowiałemi porostami, niby szczęka starej czarownicy siwemi kosmykami u brodawek. Czyżby grunt ten tak bardzo był stary? Przecież starszy być nie może, niż wszystek inny na ziemi. Raczej rzec można, że się prędszej przeżył, wyczerpał. Niżej złoto-kłosiasta równina wydawała od wielu tysięcy lat tylko żdzbla trawy, tutaj zaś rosły olbrzymie dęby i buki: nie dziwota, że się tu ziemia prędszej zmęczyła.

Ubóstwo i nędza wyziera tu zewsząd naokół, a jednak jest w tem jakaś nieuchwytna a głęboka poezya, jakiś słodki czar. Brzydkie porosty dziwnie upiększają tło wyniosłych skał, piętrzących się

ponad niemi, a tak fantastycznie powyginanych, iż żadne blanki zamczysk nie dodałyby tu nic malowniczości.

Zapach jałowcu i macierzanki przesycą powietrze. Innych kwiatów tu niema: conajwyżej gdzieś-niegdzie w ogródku kwitną malwy białe lub różowe, starannie pielęgnowane przez jakie płowowłose dziewczę słowackie.

Dotychczas mi żywo przed oczami stoi ta mała wieś słowacka, jaką była wówczas, długi szeregi lat temu. Widzę chaty, ogrody, obsiane lucerną, wysadzone kukurydzą, z pośród której wyrastały wysoko śliwy i grusze, popodpierane drągami. Albowiem drzewa owocowe wypełniały swoją powinność. Jak gdyby się umówiły: „Żywmy biednych Słowaków!“

Jeździłem tam z okazji śmierci miejscowego księdza, dla sporządzenia rejentalnego spisu inwentarza pozostalej po nim puścizny. Nie wiele mieliśmy nad tem roboty: nieboszczyk zostawił tylko trochę połamanych mebli i wyniszczonych sutann.

Mieszkańcy wioski żałowali zmarłego.

— Zacności był człowiek. Tylko wcale nie umiał się rządzić. Prawda, że nie miał tak dalece na czem.

— Czemuż nie płaciliście mu lepiej?—zarzucił mój pryncypał.

— Nie nam służy ksiądz, jeno Panu Bogu: niechaj każdy sam swoją służbę opłaca.

Po załatwieniu spraw urzędowych, które nas tu sprowadziły, przeszliśmy na chwilę — na czas

zaprzęgania koni—zwiedzić szkołę miejscową: mój rejent przepadał za rolą mecenasa nauk.

Nader skromnie przedstawiała się szkółka: niziutka chata, naturalnie słomą kryta. Jeden tylko Bóg posiadał w Glogovie dom pod dachówką, ale nawet i dla niego nie zdobyto się już na dzwonnice: zastępowała ją zwyczajna sygnatura na słupie.

Nauczyciel oczekiwał nas na podwórzu. Jeśli mię pamięć nie myli, nazwisko jego brzmiało Jerzy Majzik. Był to chłop jak na schwał, dzielnie zbudowany, w pełni lat męskich, o żywej, inteligentnej twarzy i milej prostocie w ruchach i słowach. Odrazu uczuwało się do niego sympatyę.

Zaprowadził nas do dzieci. Uczenice siedziały po lewej stronie, chłopcy po prawej: wszystko wypucowane i wymuskane, jak się patrzy. Gdy weszliśmy, cała dzieciarnia z owacyjnym rwetesem zerwała się na równe nogi, wołając śpiewnie:

— *Witajcie pany, witajcie!*

Rejent zaszczycił kilku pytaniami miłych malców, przyglądających nam się z nietajonym podziwem ogromnemi, piwnemi oczyma. Wszystkie miały jednakowe piwne oczy. Pytania nie były wymyślne: ilu jest bogów? Jak się nazywa kraj, gdzie mieszkamy? — i t. p., ale dzieci i nad tem łamały sobie trochę głowiny.

Pryncypał mój wszelako nie był zbyt srogim egzaminatorem i przyjacielsko poklepał nauczyciela po ramieniu.

— Nader zadowolony z was jestem, *amice!*

Nauczyciel skłonił się uszczęśliwiony i z odkrytą głową odprowadził nas na podwórze.

— Ładne smyki, aż miło, — uprzejmie chwalił rejent już na dworzu, — wytłomacz mi jednak, *domine frater*, jakim sposobem wszystkie są do siebie tak zadziwiająco podobne?

Mistrz z Glogowy popadł w lekkie zmieszanie: po chwili jednak zdrowe, rumiane jego oblicze rozjaśniło się szczerem zadowoleniem.

— To stąd pochodzi, jaśnie wielmożny panie, — odparł, — że latem cała męska połowa tutejszej ludności wywędrowywa w dalsze okolice na zarobek... i ja zostaję sam na placu. (W oczach zamigotały mu figlarne iskierki). Jaśnie wielmożny pan raczy rozumieć?...

— A od ilu lat obejmujesz pan tu posadę? — spytał żywo rejent.

— Od czternastu lat proszę łaski pańskiej. Uważam, że szanowny pan pojmuje...

Krótki, ale wymowny ten dyalog po dziś dzień został mi w pamięci i jest nierozłączny ze wspomnieniem o Glogowie. W powozie ciągle powtarzaaliśmy słowa nauczyciela, śmiejąc się do rozpuku. Rejent jeszcze długi czas potem, wszędzie, w domu, w kancelaryi, na wizycie lubił to opowiadać, jako ulubioną łakoć humorystyki.

Coś w dwa tygodnie potem dowiedzieliśmy się, że do Glogovy zamianowany został na proboszcza młody zupełnie kapłan, Jan Bélyi.

Mój rejent gorąco temu przyklasnął.

— No, przynajmniej nauczyciel będzie miał z kim dzielić letnie tryumfy i trudy!

Nowy proboszcz w Glogowie.

Przybył nowy ksiądz na miejsce poprzedniego. Przywieźli go sobie] Glogovianie na lichej bryczuszce, zaprzężonej w dwie krówki o tępych rogach. Kościelny, Piotr Szlavik doił ją kilka razy w ciącu drogi i częstował młodego księdza.

— Wyborne mleko,—przychwalał,—zwłaszcza mleko „Pączka”. Niczem najslodsza małmazya.

Nowy proboszcz przywoził z sobą niezbyt okazałą ilość ruchomości: kufer z niepobajcowanego drzewa zawierał prawdopodobnie całą jego garderobę, chwiał się przy nim tlomoczek z pościelą, zaś dwa kije i cybuch, związane szpagatem, dopełniały reszty.

Po drodze, we wsiach, które mijali, krytykowano Glogovian.

— Nie mogliście to waszmoście jakiej polityczniejszej podwody wyszykować dla księżulka?

Co tu gadać, glogovianie sami się tego trochę wstydzili, ale nadrabiali miną i starali się odparowywać ciosy, skierowując je w stronę samego księdza.

— Wystarcza nam, wystarcza ta bryczka: niewiele gracików wieziemy...

Ale jeżeli wielebny Jan Bélyi skąpo ziemskiego bogactwa przywoził do Glogowy to wcale nie mniej skąpo uposażoną zastawał tam plebanię. Budynek sam zdawał się zapadać, a ruchomości porozchwytywali niepocieszeni krewni nieboszczyka, pozostawiając na straży pustki tylko psa, niegdyś jego ulubieńca. Było to zwierzę kształtem i sierścią zupełnie podobne do innych

psów na świecie: skutkiem nieszczęśliwych skłonności charakteru swego jednak całkiem niepopularne zajęło ono teraz stanowisko we wsi. Miał ten pies mianowicie zwyczaj codziennie około południa zaglądać rzędem do każdej kuchni po kolei, jak to czynił do niedawna jeszcze w towarzystwie swego zmarłego zwierzchnika, który codziennie do innego gospodarza zapraszał się na obiad, i psa zabierał z sobą.

Pies, nazwiskiem *Wisła* — (czy nie żał się Boże było z tak daleka ściągać imię dla kundla, kiedy tuż pod samą wsią płynie srebrzysta *Biela-Voda*?...) — gorzko jął doświadczać jak smakuje sieroctwo, przyczem uczynił ważne a smutne spostrzeżenie, że we dwóch z księdzem o wiele więcej mieli do jedzenia, niż teraz on sam jeden: a dawniej jego psi rozum buntował się nieraz, iż ksiądz nadużywa swego stanowiska, sprzątając mu z pod nosa najsmaczniejsze kąski... Jużci robił to, prawda, ale wtedy jakoś każdy chętniej ich częstował, gdy tymczasem teraz wyganiają biedną Wisłę zewsząd, zanim zdąży jaką owocną pracę sobie upatrzeć i dobrze, jeżeli kiedy nie oberwie przytem wynków.

Słowem biedne zwierzę bardzo było wychudzone i mizerne, gdy przyjechał nowy proboszcz, i gdy kościelny przedstawiał mu nowe jego terytorya: cztery nagie ściany plebanii, lebiodą obrosnięty ogród, pustą stajnię i oborę.

Młody ksiądz uśmiechnął się.

— I wszystko to do mnie należy?

— Wszystko, wszystko, co tylko szanowny

księżulek tu widzi, nawen i ten pies także, — odparł z pewnym humorem Piotr Szlavik.

— Cóż to za psina?

— To spadek po nieboszczyku: do niego należał. Chcieliśmy nawet zabić tego darmozjada, ale nikt nie ma odwagi, lękają się bowiem, że jeżeliby stary proboszcz zobaczył to z nieba, to gotówby jeszcze straszyć nas za to...

Psisko spoglądało na nowego księdza łagodnie, smutno, nieomal błagalnie: prawdopodobnie widok sutanny wprowadził je w taki melancholijny nastrój.

— Dobrze, niech zostanie u mnie, — rzekł młody ksiądz, schylając się, żeby pogłaskać wychudły grzbiet zwierzęcia: przynajmniej będę miał w swoim domu choć jedno żywe stworzenie.

— Ot, to rozumiem, — bawił się w humorystykę kościelny — (bo to przecież niemala „laba” dla prostego chłopca poufale gawędzić z księdzem). Człowiek zawsze musi rzecz zacząć od jakiegoś końca: zwykle każdy najpierw zdobywa sobie coś, czego strzedz warto, a dopiero potem do tego czegoś stara się o stróża. Ale — skoro nie można inaczej, to i tak będzie dobrze.

Ksiądz uśmiechnął się, a miał tak miły uśmiech, jak młoda dziewczyna. Sam widział to dobrze, że nie roztacza się tutaj szerokie pole działalności dla Wisły: w miejscowem piem społeczeństwie będzie odgrywała rolę ministra bez teki.

Na podwórzu tymczasem gromadziło się coraz więcej ludu, głównie kobiet starszych i młodszych, które, ze statecznej odległości przyglądając się młodemu księdzu, szeptały sobie o nim roz-

maite uwagi „Boże mój, ledwie to od ziemi odrosło i już jest kapłanem!“. Mężczyźni śmieiej podchodzili, tuż blisko i witali go uściskiem dłoni.

— Witamy, witamy księdza proboszcza! Dobrze będzie u nas księżulkowi!

— Do samej śmierci będzie mógł księżulek u nas przebywać! — zachęcająco wołała zdaleka jakaś zgrzybiała staruszka.

— Przystojny i dobrze zbudowany człowiek — zauważyła jedna z poważniejszych kobiet. — Dzielna musiał mieć matkę!

Słowem nowy proboszcz nader korzystne wrażenie wywarł na wszystkich; uprzejmie i rozumnie porozmawiał ze starszymi gospodarzami, następnie oświadczył, że jest trochę zmęczony, i udał się do domku nauczyciela, u którego miał zapewnione pomieszkowanie, dopóki plebanii do jakiego takiego ładu nie zdoła doprowadzić i — dopóki nie zaczną napływać dochody.

Do nauczyciela odprowadziła go już tylko starszyczna, wtajemniczona w bieg interesów parafii: Piotr Szlăvik, Michał Gongoly, miejscowy nabab, i młynarz, Jerzy Klincsok.

Od nich dopiero młody proboszcz mógł zasięgnąć gruntowniejszych wiadomości o kwestyach, dotyczących kawałka ziemi, jaki miał do niego należyć i zaczął sobie robić notatki dla sporządzenia jakiegoś planu na przyszłość.

— Ile dusz liczy wioska?

— Blizko pięćset.

— I cóż dają księdzu?

Kumowie wyrachowali po kolei wiernie ile

ksiądz dostaje drzewa, ile pszenicy oraz ile „zlewki“.¹⁾

Słuchając tych wyliczeń, młody ksiądz stopniowo smutniał.

— Niewiele to, bardzo niewiele — mówił pobity na duchu. — A stuła ile daje?

— No, to nieźle prosperuje — odparł biegły we wszystkim Jerzy Klinczok. Cena pogrzebu oczywiście zależy od majątku nieboszczyka: ślubu znowuż od tego, kto się z kim żeni, i czy ma powody cieszyć się i być hojnym... Ale za to wydobyć metryki już stała ma cenę: bity złoty reński. To coś znaczy.

— A ileż bywa ślubów rocznie?

— Ha, to zależy od tego, jak się kartofle obrodzą. Jak dużo kartofli, to i ślubów dużo. Rozstrzyga tu urodzaj. W każdym razie na cztery do pięciu to już zawsze można rachować.

— Strasznie mało... A pogrzebów ile bywa przeciętnie?

— I to również zależy od kartofli, tylko w odwrotnem znaczeniu. Jeżeli się nie obrodzą, albo jeżeli na nie padnie zaraza, wówczas śmiertelność się zwiększa: przy dobrych kartoflach niewielu się ludzi przenosi na tamten świat. Niema głupich, żeby wtedy umierać. Swoją drogą nawet w urodzajnych latach jednego, dwóch—zabije czasem drzewo, niezdarnie podcięte w lesie, albo

¹⁾ Część wina, należną księdzu od każdego gospodarza — ze wszystkich winnic zlewają razem do jednego naczynia, co tworzy specjalny napój, nazywany „zlewką“.

inny wypadek jaki nagle kogo uśmierci: rozbiegają się konie, wóz wywróca, człowiek wpadnie w rów i skręci kark. Tak czy owak — w każdym razie na ośm śmierci rocznie można śmiało liczyć.

— Tylko, że nie wszystkie one są dla księdza, — ozwał się glogowski nabab, pełnym wyższości ruchem poprawiając swój „zopf“, zebrany w tyle głowy na grzebieniu.

— Jakto? — zdumiał się ksiądz.

— Nie wszyscy nieboszczycy naszej wsi dostają się na cmentarz. Część pożerają zimą wilki, nie meldując o tem parafii...

— Inni znowuż latem w dalszych okolicach kraju przenoszą się na tamten świat — przerwał Jerzy Klincsok — i my tylko na papierze dostajemy zawiadomienie o fakcie.

— Tak, to marna sprawa... No, ale grunta parafialne? Ileż ziemi należy do parafii?

Na to pytanie wszyscy trzech panowie porwali się do odpowiedzi. Jerzy Klincsok jednakże nie dał sobie nikomu odebrać palmy pierwszeństwa i zepchnąć się na dalszy plan i, zasłaniając sobą innych, stanął tuż przed księdzem.

— Grunta? Ile gruntu należy do parafii? Ile tylko ksiądz proboszcz zechce! Chociażby i sto morgów...

— Gdzież tam sto morgów! Choćby pięćset—krzyknął z zapalem Piotr Szlavik.—Ziemi to już nie żałujemy naszemu plebanowi.

Na twarzy księdza pojawiać się zaczęły jakgdyby blade promyki radości, ale ich nie mógł długo ścierpieć złośliwy Szlavik.

— Albowiem widzi wielbny ksiądz dobro-

dziej, rzecz się tak przedstawia, że granice Glogovy dotychczas jeszcze nie są ustalone. Księgi hipotecznej jeszcze nie posiadamy: niegdyś podobno istniał ogólny spis i opis tutejszych gruntów, ale podczas pożaru w r. 1823 spłonęła skrzynia gminy, a wraz z nią i wspomniany dokument. Każdy tutaj przeto posiada prawo do takiej ilości ziemi, ile jej tylko uprawić zdoła pługiem i nawozem. Każdy zasiewa upatrzony kawałek gruntu, a gdy ten po upływie pewnej ilości lat wyczerpie siłę rodzajną, spróchnieje i porozpada się w jałowe szczeliny, wówczas właściciel szuka sobie innego terytorium, zdolnego do zasiewu. Ztąd zazwyczaj połowa gruntów stoi tutaj ugiorem, i nie należy do nikogo: rzecz prosta—ta gorsza połowa, w której nie warto się babrać...

— Rozumiem—westchnął księżyna. — W tej to właśnie polowie bezpańskiej znajdują się grunta parafji...

Bardziej, niż skąpe były to dla niego widoki na przyszłość. Umiał jednak spokojnie godzić się z losem. Kiedy kłopoty już bardzo mu dokuczały—zażegnywał je pacierzem. Modlitwa było to jego *dominium*, nie mające granic: każdej chwili mógł na niem kosić i zbierać wszystko, czego potrzebował: cierpliwość, nadzieję, pociechę, zadowolenie. Zajął się powoli urządzeniem sobie mieszkania, aby mózdz nareszcie przenieść się do własnego kąta. Potrzeby kąta własnego może nikt tak bardzo nie odczuwa — jak kapłan. Na szczęście w jednej z sąsiednich wiosek, w Kopanicy spotkał kolegę szkolnego, Tomasza Urszyny'ego: był to ogromny, zamaszysty chłop, prosty

i skąpy w słowa, ale dobrem obdarzony sercem. Nie puścił go, dopóki nie pozwolił sobie dopomódz pożyczką.

— Psie gniazdo, ta Glogova—mówił Urszyny. — Ale trudno, cóż robić, nie biskupstwo nyl-trzańskie! Chude stado, chudy pasterz. Niema rady, trzeba wytrzymać. Gorzej było Danielowi w jaskini ze lwami. Dopóki nie spostrzegł, że i to są owce...

— Tylko że bez wełny—zaśmiał się ksiądz, rad z porównania.

— Mają one i wełnę, tylko tobie brak odpowiednich nożyc do jej strzyżenia.

Za pożyczone pieniądze nabył, niezwłócząc, jakie takie sprzęty i niezbędne meble i pewnego pogodnego popołudnia jesiennego przeprowadził się do własnej parafji. Cóż to za szczęście było we własnym domu krzątać się, ustawiać, porządkować, a nadewszystko jak rozkosznie było spać we własnym łóżku, na poduszkach, do których matka swoją ręką pierze sypała! Rozmarzony, długo rozmyślał nad tem, a przed pójściem na spoczynek—porachował belki, aby nie zapomnieć co mu się będzie śniło.

I rzeczywiście, sen ten pamiętał potem bodaj przez całe życie. Na cudnej łące we wsi rodzinnej uganiał się za motylami z siatką, upatrywał gniazdek ptasich, susły oblewał wodą, dokażywał z rówieśnikami dziewczynkami i chłopcami, z Pawelkiem Szabó nawet za czuby się porwali, i już, już go miał porządnie wytuzować, gdy naraź zbudziło go gwałtowne dobijanie z zewnątrz do okna.

Zerwał się, i oszołomiony snem, zaczął oczy przecierać. Ranek był już w całej pełni, słońce dopiekało z wysoka.

— Co tam?—zapytał głośno.

— Otwieraj, Janku, prędko!

„Janku?...” Któż go tu nazywa Jankiem, po węgiersku, i *per ty* do niego przemawia? Tak, jakby przemawiał który z tych towarzyszków zabaw dziecinnych, z którymi co tylko we śnie zbytkował...

Prosto z łóżka poskoczył ku oknu.

— Któż to? Kto się tak dobija?

— To ja, Mateusz Billeghi, gospodarz z twojej wioski. Wylaż Janku... to jest — może ksiądz dobrodziej zechce trochę wyjrzeć, bo ja tu coś przywiozłem.

Ksiądz spieszenie się już ubierał. Serce tłukło mu się w piersi, jak ptak spłoszony. Być może wrażliwa, śnerwowa jego natura przeczuwała złą wieść. Otworzył drzwi z wewnątrz do sieni i wyszedł na werandę.

— Oto jestem, panie Mateuszu Billeghi. Co waćpan przywiozłeś?

Ale pan Billeghi stał teraz na drodze przy wozie, naładowanym workami, i usiłował odwiązać kosz, w którym siedziała mała Veronka pospółu z gęsią. Koniki „Trznadel” i „Jaskółka”, stały zmęczone, bezwładnie pospuszczawszy lby. „Trznadel” miał nawet ochotę położyć się trochę, ale przeszkadzał mu dyszel. Przechyliwszy się na bok, czuł sznury upręży, wpijające mu się w skórę, a honor koński nie pozwala zwierzęciu temu zażywać wczasu, dopóki ma uprzęż na sobie. Już

musi koń chyba resztką sił doganiać, jeżeli legnie w uprzęży. Koń ma w sobie ogromne zasoby poczucia obowiązku.

Mateusz Billeghi, odwróciwszy się, spostrzegł księdza na progu.

— Witaj, Janku. No, ależ urosłeś! Niczego chłopak zrobił się z ciebie. Dopierożby się dziwiła twoja matka, gdyby żyła, biedactwo! Też do dyabła z tym sznurem, za silnie węzeł ścisnąłem...

Ksiądz podszedł kilka kroków ku wozowi, gdzie pan Billeghi ze sznurem wojował. Wyrazy: „twoja matka—gdyby żyła...” uderzyły go w czoło niby ostry kamień świszczący: w głowie mu szumieć zaczęło, nogi odmówiły posłuszeństwa.

— Waćpan o mojej matce mówisz?—zamarłym głosem wyszeptał pobladłymi usty. — Matka moja... umarła?...

— A przekopyrtnęło jej się na tamten świat, niebodze. Ale oto (tu, nagle decyzyą zdjęty, kozikiem przeciął linę) siostrzyczkę ci przywiozłem... Tam do licha, pamięć mam, jak kura i wciąż zapominam, że z wielobnym proboszczem rozmawiam... Przywiozłem księdzu proboszczowi małą jego siostrzyczkę. Gdzie mam ją położyć?

Mówiąc to, ujął kosz, w którym dziecina spała obok gęsi, cicho i głęboko. Gęś dawała na nią tak troskliwe baczenie, jak piastunka, lbem, na wieczyście ruchomej szyi, odpędzając od niej muchy i komary, które ciągle siadać byłyby rade na czerwonych usteczkach dziewczynki, niby na miodzie.

Skośne promienie jesiennego słońca oblały smugą światła kosz i śpiące dziecko. Mateusz

gazda zawiesił pytające spojrzenie wyblakłych swoich oczu koloru wody na młodym księdzu, czekając, aż coś rzeknie.

— Umarła? — powtórzył ten pytanie swoje po długiej chwili.—To niepodobieństwo. Nic nie przeczuwałem.

Schwycił się za głowę, wołając boleśnie:

— I nikt, nikt mię nie zawiadomił o tem! Nawet na pogrzebie nie byłem!

— I ja też nie byłem—rzekł pan Billeghi.

Sądził może, iż pocieszy tem osierociałego księdza, że i on na pogrzebie jego matki nie był; potem dodał życzliwie:

— Niema co żałować! Bóg ją powołał do swojego tronu. Nikogo z nas tu nie zostawi, wszystkich pozabiera. Psiakrew te obrzydłe żaby! Rozdeptałem którąś...

Istotnie, na podwórku księdza, zarosłem lebiadą i dziedzierzaną, istna orgia żab skakała w górę, ciesząc się na słońcu. Wylazily one prawdopodobnie z dziurawych i wilgotnych fundamentów kościoła.

— Gdzie mam położyć dziecko?—powtórzył pytanie pan Billeghi, ale i tym razem żadnej nie otrzymawszy odpowiedzi, ostrożnie złożył kosz na progu wąskiej werandy.

Ksiądz był zdruzgotany ciosem, który go spotkał. Z oczami, osłupiale utkwionemi w ziemię, stał bez czucia, ze zdrętwiałą duszą. Zdało mu się, że wszystko dokoła wiruje: całe pole z domem, liceum z ogrodzeniem, z Mateuszem Billegh'im, z koszem, i że tylko on jeden w pośród tego wszystkiego stoi nieruchomo, niezdolny

ruszyć się w prawo, ni lewo. W oddali prastare sosny lasów Ukricy szumiały tajemniczo, a do ich poszumu jał się wplatać powoli jakiś dziwny, serce roztopiający hymn, w którym ksiądz najwyraźniej rozeznawać zaczął głos matki swojej. Dreszcz go przeniknął, cały się w słuch zamienił, usiłując pojedyncze głosy rozplatać,—a kiedy mu się zdało, że je już rozróżnia, jakiś nagły, obcy krzyk pomieszał je nanowo. Ale cytl! cytl!... Znów wypływa z lasu głos matki zupełnie wyraźnie: „Wy-chowaj dziecko, Janku! Janku!”

Ale podczas kiedy ksiądz wsłuchiwał się w głosy z poza tego świata, pana Mateusza Billeghi uraziła jego małomówność: wszak zasłużył—już jeżeli nie na wyraźniejszą oznakę wdzięczności, to chociaż na przyjazne „Bóg zapłać“.

— Ha, kiedy tak, to tak!—mruknął zadąsany, potrząsając biczyskiem.—Zostańcie z Bogiem księż-proboszczu! Jazda, Trznadel, wio!

Ksiądz Jan wciąż jeszcze milczał, w wielkim bólu, jaki przeżywał nic nie dostrzegając, co się dokoła niego dzieje. Koniki ruszyły, obok nich pan Billeghi piechotą, bo to pod górę, — a wciąż pomrukiwał zgorszony, jako zwykła to rzecz na świecie, że paw nie pamięta czasów, kiedy popołu z kurakami za kokoszką chodził... Stąpawszy u szczytu wzgórza, obejrzał się jeszcze, a zoczywszy wciąż nieruchomo stojącego księdza, zawołał z całych sił, jakgdyby sam sobie chcąc dać zadosyćuczynienie za wiernie spełniony obowiązek:

— Oddałem jegomości, co miałem do od-dania!

Ksiądz wstrząsnął się na to wołanie i oprzytomniał. Dusza jego wróciła z posępnej wędrówki. Daleką bowiem odbywała wędrówkę za cieniem matki. Ksiądz Jan najpierw musiał odnaleźć matkę wspomnieniami wszystkimi, przeżyć z nią raz jeszcze wszystkie chwile minione, które razem z nią spędzał, a potem wyobraźnią wypełnić te chwile, w których los trzymał go zdala od matki. Widział ją na łożu śmiertelnem, modlił się przy niej na klęczkach a gdy myśl zestrzelona w to jedno wrażenie stawiała pytanie: czego umierająca mogła chcieć od niego, jaką mu wolę przekazać, czego żądać od niego ostatnimi słowami—oto były te słowa, które mu wiatr z głębi lasu przyniósł: „Wychowaj dziecko, Janku!”

Dziecko nie potrzebuje być w domu, obecne przy zgonie ojca lub matki, ażeby wiedzieć, jakie było ostatnie życzenie zmarłego: życzenia tego nie potrzeba na papierze zapisywać, nie szkodzi, jeżeli go drut telegraficzny nie przeniesie na odległość. Do przekazania życzeń takich istnieją inne siły:—siły wyższe.

Pierwszym impulsem księdza Jana po oprzytomnieniu było biedz za panem Billeghy'm, zatrzymać go i prosić, aby mu opowiedział wszystko co wie o jego matce: jak pędziła życie przez dwa lata, odkąd jej nie widział, jakie były jej ostatnie chwile, jak ją pochowano, słowem wszystko, wszystko... Ale wóz gospodarza z Haláp już odjechał daleko, a wzrok księdza padł tymczasem na koszyk i na nim zatrzymała się teraz jego uwaga.

W koszyku spała maleńka jego siostrzyczka.

Młody ksiądz nawet jeszcze jej nie znał, nigdy nie widział dzieciny. Ostatni raz był w domu na pogrzebie ojca: matka wysłała wtedy po niego bryczkę... Teraz nikt go nie powiadomił... Małej Veronki jeszcze naówczas nie było na świecie, tylko później z listów matki dowiedział się, że się urodziła, lecz listy te były takie jakieś wstydlive, tak małowówne...

Jan zbliżył się do kosza i jął się przyglądać milej, tłusciutkiej twarzyczce. Jest w niej jednak coś z mamy—pomyślał sobie i gdy się tak chciwie wpatrywał, wpatrywał, i jeszcze dłużej wpatrywał—pod wibrującem jego spojrzeniem drobne liczko zaczęło jakgdyby rozwijać się, rosnać, dojrzewać,—i naraz ujrzał w niem przed sobą żywe powtórzenie drogich, matczynych rysów. Wielki Boże, cóż to za cud, co za czarowne złudzenie! Zjawisko trwało zaledwie kilka sekund — i twarzyczka znów stała się dzieciną. Oh, żeby też otworzyła oczęta! Jan tak pragnąłby zajrzeć jej w oczki, ale dziecina spała głęboko, a długie rzęsy spływały jak czarna jedwabna frendzla na rumiane jagódki.

...Więc ten oto drobiazg — ja mam wychować?...—bił się Jan z myślami, a dziwna słodycz i ciepło ogarniać mu zaczęły serce. I wychowam! Tak mi Boże dopomóż! Ale jak? Wszakże sam ledwie że mam co do ust włożyć. Jak się wziąć do tego?

Myśl jego—jak zawsze, gdy go opanowała troska i bezradność — i teraz odrazu przerzuciła się w modlitwę: kościół miał o kilkanaście kroków—tam mimowiednie się zwrócił. A właśnie

otworem stał dom Boży, dwie baby zamiatały jego wnętrze.

Ksiądz Jan nie podszedł do głównego ołtarza, ponieważ tam właśnie rajcowały kumy, tylko zaraz w przedsionku przy muszli z wodą święconą padł na kolana przed wyobrażeniem Chrystusa z drzewa i blachy.

Święty Piotr i parasol.

Tak jest, przed Chrystusem padł ksiądz na kolana. Do Chrystusa się zwrócił, — do naszego Pana, Jezusa Chrystusa.

Cóż to za szczęście dla ludzkości ten Jezus, ów Bóg, który był człowiekiem. O Bogu — nie mam pojęcia jakim jest: o Chrystusie — mam. Znam jego czyny, wiem jak myślał, nawet rysy jego twarzy mi są znane. Nie to napelnia duszę moją ukojeniem, że On jest panem moim, ale to, że On mię zna i, że ja Go znam dobrze.

Dwa tysiące lat temu żył tu na ziemi znajomy mój: cóż to za jednocząca świat cały i wszystkie stany idea! Współcześni mu ludzie i liczne pokolenia, jakie nastąpiły po nich — w proch się obróciły i popiół — z popiołu tego wyrosły rośliny, które także — już nie wiem w co się obróciły, ale ten znajomy mój wciąż żyje i wiecznie żyć będzie.

Jeżeli pojedę w dalekie, obce strony, między ludzi nieznaných — inne twarze widzę dokola siebie, niż we własnym kraju, zwierzęta inne, inne rośliny — nawet gwiazdy na niebie inne, i tak

opuszczonym, samotnym, nędznym się czuję wśród tej ogólnej, obojętnej dla mnie ojczyzny, że sam już nie wiem, czy na tym świecie żyję tu jeszcze, czy już na innym: naraz — na skraju jakiegoś siedliska ludzkiego — dostrzegam krzyż i rozpiętą na nim postać człowieka, pokrytego ranami. Oto mój znajomy.

Ah, więc On tu jest! I tam Go widzę zdaleka! I oto przestaję się czuć opuszczonym, już nie jestem sam jeden. I naówczas zginam przed nim kolano, i powierzam mu — jak oto ten ksiądz teraz — swoje udręczenia.

— O dopomóż mi, Chryste Jezu! — tak modlił się całą duszą ksiądz Jan. — Matka moja umarła, przywieźli mi małą siostrzyczkę, którą wychować jest moim najświętszym obowiązkiem. Jestem ubogi, bezradny, nigdy nie miałem do czynienia z dziećmi, i nie mam pojęcia, jak się z nimi obchodzić. Oh, pokieruj mną, litościwy Jezu, racz oświecić mój umysł! W hojnej wspa-
niałomyślności Twojej daj mi mocność, daj mi środki, abym mógł dziecinę zdrowo i rozumnie wychować! Uczyń ze mną cud, o wszechmocny Jezu!...

Twór naiwnego pendzla, twarz Chrystusa, malowana na blasze, zdawała się z uwagą słuchać błagania młodego księdza: światła, cienie i refleksy, jakie na nią padały z okien i ścian sąsiednich, wytwarzały na niej chwilami jakgdyby zmianę wyrazu, bijącego z jej bolesnych rysów: wyglądała teraz jakgdyby promieniejąca pełnym dobroci i łaski uśmiechem.

— Dobrze już, dobrze. Wiem wszystko. Wdam się w tę sprawę.

Długo trwało pogrążenie księdza w modlitwie, którą po kilka razy wznawiał i powtarzał, a pochłonięty rozmową z Bogiem nie zauważył wcale, że—jak to jesienią częstokroć się zdarza—z prześlicznej, niemal nienaturalnie pięknej pogody, naraz czarna chmura wypłynęła na niebo, i wybuchła gwałtowna burza. Gdy stanął na progu, wychodząc z kościoła, pluskotała szalona ulewa. Ze wzgórz, otaczających wioskę, z impetem spływały wylewające się z brzegów potoki, a przez ulice bydło, rycząc, pędziło w popłochu do obór.

Jan zdębiał z przestachu.

Dziecko zostawiłem pod daszkiem malej werendy... Już po niem!

Rzucił się nawpół przytomny z trwogi w stronę plebanii, i nagle stanął jak wryty na widok, jaki się oczom jego przedstawił.

Kosz stał pod szczupłą werendką tak, jak i pierwiej. W koszu siedziała dziecina, a gęś bujała sobie po podwórzu, ciesząc się deszczem, który trzepał rzęsście o jej skrzydła, o daszek werendy, całemi falami spływał pod werendę, cały domek zdawał się pływać wśród stawu, jaki się utworzył dokoła niego, — jedno dziecko tylko było suche i nietknięte, ponieważ nad koszem rozpościerał się ogromny, czerwony, spłowiały parasol, czyjąś dobroczynną ręką roztwarty i tu zawieszony. Niejedna plama była na nim rozsiadana, a szlaczek w kwiatki drobne, dawną modą obiegający tło czerwone dokoła obwodu, ledwie

był znaczny, tak go zmatowily różne zmiany aury.

Młody ksiądz posłał niebu dziękczynne wejście, wyjął z kosza dziewczynkę i ostrożnie pod parasolem wniósł ją w głąb ubożuchnych izdebek.

Teraz oczęta dziecińcy były otwarte: miały kolor nieba i ze zdumieniem przyglądały się księdzu.

— Jakież to szczęście—szeptał nie mogący jeszcze przyjść do siebie z przerażenia księżyna, że dziecko nie przemokło: byłoby się mogło na śmierć przeziębic, zwłaszcza zważywszy, że nie miałbym je w co przebrać.

Ale zkąd u pana Boga wziął się ten parasol? Rzecz niepojęta! W całej Glogowie nikt nie posiada parasola.

W sąsiednich zagrodach gospodarze kopali rowy na swoich podwórkach, dla ułatwienia odpływu wody. Proboszcz po kolei rozpytywał wszystkich:

— Nie widzieliście, kto był przy dziecku podczas tej ulewy?

Dziecko niejeden z nich widział, lecz nikt nie zauważył, żeby się kto do niego zbliżał.

Jedna tylko stara Adamowa, która ze spódnica narzuconą na głowę zmykała przez łąkę do domu, widziała, że podczas kiedy biegła właśnie — coś czerwonego, okrągłego spuszczało się z nieba na ziemię. Bodajby się natychmiast w kamień przemieniła, jeżeli to nieprawda (—wszakże to ona sama, Adamowa to mówi—), że to Najświętsza Panienka sama zakłopotana się o dziec-

ko i zesłała to nieznane w tej okolicy narzędzie dla uratowania sieroty.

Znana pleciuga ze starej Adamowej! Lubi ona sobie od czasu do czasu łyknąć gdzie na boku, więc nic dziwnego, że widzi więcej, niż jest co do widzenia. Tak i zeszłego roku np., — coś także latem, w noc św. Piotra i Pawła, stworzyło się przed nią niebo: słyszała śpiewy legionów anielskich i widziała procesję duchów błogosławionych, dążących przed majestat Pana, zasiadającego na tronie z karbunkulów. Do uczestników procesyi tej należał między innymi i półtrzecia roku temu zmarły jej wnuczek, Janek Plachta, w swoich majteczkach z cieniutkiego płótna i czerwonej kamizelecze (którą sama Adamowa swojego czasu zdobyła naszyciami), a prócz tego i wielu innych, w ostatnich dziesiątkach lat zmarłych Glogovian. Szli oni wszyscy powoli, uroczystie, ze śpiewem na ustach, ubrani odświętnie, w tych samych szatach, w jakich zostali złożeni na wieczny odpoczynek.

Łatwo sobie wyobrazić, jak popularną się stała świątobliwa wdowa, gdy po dniu Ś.Ś. Piotra i Pawła gruchnęła wieść po wiosce o jej cudownem widzeniu. Dobijać się o rozmowę z nią zaczęli wszyscy, którzy tylko mieli jakiego drogiego sercu nieboszczyka na tamtym świecie. Każdy rad był się dowiedzieć, czy i jego krewniak rezyduje w niebie: a córeczkę moją widzieliście tam, babuniu? a mojego tatusia? a biedny mój mąż kochany?...

Słowu Adamowej wierzył każdy, ponieważ nie bez przyczyny sądzić było można, że potęgi

niebieskie rąbków tajemnic swoich łącniej uchy-
lają Adamowej, niżeli komubądź innemu. Trzeba
bowiem wyjaśnić tym, którzy nie wiedzą, że z ś. p.
ojcem tej kobieciny, w Bogu spoczywającym An-
drzejem Flintą, zażywającym czasu życia swego
zdecydowanej sławy notorycznego złodzieja i ban-
dyty, stał się po śmierci cud oczywisty. Mianowi-
cie — coś około ośmiu lat temu, gdy odcięto ka-
wałek cmentarza glogowskiego dla rozszerzenia
gościńca, przy rozkopywaniu grobów, natrafiwszy
na jego szczątki, ujrzano ku ogólnemu zdumieniu,
iż urosła mu w trumnie broda znacznej długości,—
podczas kiedy przecież pamiętają wszyscy, że go
po śmierci czysto i gładko ogolił pasterz od krów,
Tomasz Gundros.

Wobec takiego cudu — jest rzeczą pewną,
jak dwa razy dwa cztery, iż Flinta przebywa obec-
nie w niebie; że zaś stary impostor był cwaniak
nielada—nie jest wykluczonem, iż odmyka on cza-
sem jaką szparkę w niebiosach, aby jego córka,
Jagna, zerknąć tam mogła ukradkiem...

Aliści dzwonnik, pan Paweł Kvapka, co in-
nego mówi. Pan Paweł Kvapka powiada, że pod-
czas kiedy w samym początku burzy odzwaniał
chmury, odwróciwszy głowę na chwilę, ujrzał po-
stać jakgdyby starego żyda jakiegoś, clapiącego
się w kierunku plebanii i trzymającego w ręku
właśnie ów olbrzymi talerz z czerwonego płótna,
który ksiądz dobrodziej znalazł następnie nad ko-
szem z dzieciną. Kvapka—rzecz prosta—nie zwró-
cił na tego żyda baczniejszej uwagi, ile że był
i śpiący i wicher miotał mu piach w oczy: przy-
pomina to sobie tylko jak przez sen: niemniej co

pamięta to pamięta i gotów byłby na to przysiąc (przyznać się zaś godzi, że pan Paweł Kwapka był człekiem statecznym i wiarogodnym).

Wreszcie tę postać jakby żyda nie on jeden tylko widział: widzieli go i inni i zgadzali się w opisie jego wyglądu. Miał być stary, wysoki, siwo-włosy i zgarbiony, a w rękę trzymał kij o rączce cienkiej i skręconej w świderak niby ogonek prosiaka. W pobliżu studni Pribilka wiatr zerwał mu z głowy kapelusz, a wtedy ukazała się łysina, ogromna jak kołowrot.

— Ot, nieprzymierzając—prawił chłopak kościelny, który go właśnie tak widział bez kapelusza, — wyglądał on zupełnie, jak święty Piotr na obrazie w kościele. Żywcem jakby on sam zszedł z obrazu, jedno tylko, że kluczy nie miał w rękę.

Od studni Pribilka skręcił w stronę lucerny Stefana Stropova, gdzie krowa Krátkiego, ta z krzywymi rogami, weszła w szkodę i chciała go ubość: ale żyd zdzielił ją kijem i odtąd krowa ta (proszę zapytać samego Krátkiego) daje codzień czternaście wiader mleka, podczas gdy poprzednio wielka łaska Boska jeżeli kiedy dała cztery.

U samego krańca wioski nawet zagadnął ów żyd służącą młynarza pytaniem, którędy iść do Lehoty. Elzka objaśniła go chętnie i poszedł pod górę ścieżką obok drogi. Elzka teraz dopiero wyraźnie sobie przypomina, że dokoła jego głowy rysowało się coś jakby obręcz świetlana...

Zatem rzecz prosta i nie ulegająca wątpliwni, że musiał to być sam święty Piotr w swojej osobie. Bo i dlaczegożby miał nie być? Wszak nieraz tu chadzał, nie jeden raz tu już był

pospołu z Panem naszym, Chrystusem. Wieść o tem żyje tu jeszcze dotychczas w kronikach, z ust do ust podawanych wnukom przez dziady. A co bywało niegdyś — czemużby się miało nie powtórzyć dzisiaj?

I tak ucho po uchu do wiadomości przyjmować zaczęło, że Pan raczył przysłać namiot płócienny maleńkiej siostrzyczce proboszcza, ażeby w czasie ulewy nie zmokła, a przysłał go przez samego świętego Piotra, opiekuna sierot i opuszczonych.

Dziecinie wyszło to na niemały pożytek: odrazu stała się popularną, weszła w modę. Stare kumoszki z całej wsi na prześcigi dbać o nią zaczęły: ta ciastek napiekła dla niej, druga nasmażyła makagigów, inna kaszki na mleku ugotowała, żeby maleńkiemu przybyszowi dogodzić. Księżyna ledwie nadążył drzwi otwierać, tak obficie znoszono pieczone i warzone smakołyki w dzbankach i miskach owiniętych w śnieżnie czyste serwetki. Ksiądz Jan tylko oczy szeroko otwierał na to wszystko.

— Mój jegomościuniu, a to przyniosłam trochę kompociku... Powiadają, że przywieziono maleńką siostrzyczkę jegomościuni, więc przyszło mi na myśl, że dziecku trzeba coś słodkiego... Szkoda, że nie mam nic lepszego, ale trudno, czem chata bogata tem rada. Serca mamy najlepsze, księżę proboszczu, ale cóż, mąka nie najlepsza, ten złodziej młynarz, przepalił ją trochę—przynajmniej tę część, której nie ukradł, bydle z piekła rodem... Czy ksiądz dobrodziej

pozwoli małego aniolka zobaczyć? Mówią, że osobliwie mile dzieciątko.

Jakżeżby miał ksiądz zabraniać dobrym ludziom widzieć Veronkę, głaskać, pieścić, nieomal zjadać pocałunkami. Niektórzy nawet w nóżki całowali dziecinę.

Młody proboszcz często aż odwracał się, aby ukryć łzy rozczenia i wdzięczności, wywołane tak licznymi dowodami sympatii ludzkiej i nieraz nawet doznawał skutkiem tego wyrzutów sumienia. Wyrzucał sobie, że się na tych ludziach odrazu nie poznał.

— Jakże ja mylnie sądziłem moich parafian. Jak świat okrągły—nigdzie niema tak zacnych, pocziwych ludzi, jak tutaj, w Glogowie. Jak oni mię kochają! To dziwna rzecz doprawdy, jak oni mię odrazu pokochali!

Coś pod wieczór już było, gdy zgłosiła się na parafię stara Adamowa, która dotychczas co prawda niewiele sobie ważyła nowego proboszcza, a na to conto, że jej ojcu urosła broda po śmierci (przez który to cud został poniekąd jakgdyby pomiędzy świętych wmięszany), uważała się do pewnego stopnia za uprawnioną zabierać głos w sprawach parafii.

— Wielebny księżuniu, — rzekła, — dziecina powinaby mieć jaką opiekunkę.

— Rzecz pewna,—odparł ksiądz w zamyśleniu:—cóż, kiedy ekklezya jest biedna..

— Dyabeł jest biedny, ponieważ niema duszy, nie ekklezya!—wybuchnęła Adamowa żywo. My jesteśmy ludzie, obdarzeni duszą! Przecież wielebny księżunio nie umiałby nawet ubierać

dziewczynki, ani jej myć, ani czesać. Przecież i jeść temu trzeba dawać po kilka razy na dzień, częściej, niż jadają starsi, stołować się razem z dzieckiem u nauczyciela — wielebny księżunio nie może. Wielebny księżunio musi jadać u siebie w domu, tutaj na plebanii. Ja to mówię, stara Adamowa. Dzwonnik jest dobry do swojej roboty, lecz nie na niańkę do dziecka.

— Hm, prawda to wszystko, ale zkądże ja wezmę taką opiekunkę?

— Zkąd księżunio ją weźmie? A ja od czego tu jestem? Mnie sam Pan Bóg stworzył na księżą gospodynię, ponieważ do mnie nie przywrze żadne podejrzenie!

— No tak, tak,—jąkał ksiądz, nagle zaskoczony:—ale z czegoż ja płacić wam będę?

Maciejowa aż z obydwóch stron po bokach się klepnęła.

— Troskę o to niech wielebny księżunio odda mnie i Bogu. Już Pan Bóg wyreńczy księżunia w wypłaceniu mi zasług! Zaraz dziś na noc tutaj nastanę, a sprowadzę z sobą i cały mój kuchenny dobytek.

Ksiądz już nic nie mówił, tylko w coraz większe popadał zdumienie. Samym już wieczorem zaszedł na plebanie w odwiedziny Urszyny; dowiedziawszy się o ofercie Adamowej—klasnął w ręce z podziwu.

— Co, Adamowa? Ta stara czarownica? Bez zasług?... Ze jej Pan Bóg odpłaci? No księżu Janie, takiego cudu to jeszcze nie widzieliśmy w Glogowie, żeby kto z naszych współbraci za-

miast gotówki, wołał rachować na to, że go Bóg wynagrodzi! Tyś doprawdy oczarował ludzi!

Ksiądz uśmiechnął się w milczeniu, a duszę jego przeniknęło uczucie głębokiej pobożności. On dobrze to czuł; widział, że dokoła niego dzieje się cud jakiś. Wszakże wszystko się tak nie-
zwykle, tak dziwnie układa. W głębi serca jednak zdawało mu się, iż zna źródło tego cudu. To owa modlitwa, którą, klęcząc na zimnych kamieniach kościółka, kornie do Chrystusa zanosił — znalazła posłuch u Pana. Pan Jezus poruszył serca samolubnych Glogovian i każdy ofiarował częśćkę swojego na rzecz sieroty. Piękno tchnienia Chrystusowego bije od tych ludzi, z ich twarzy, z ich zachowania... Naprawdę cud stał się tutaj!

Pogłosek, jakie krążyć zaczęły dokoła parasola—częścią nie słyszał, nad temi zaś, które posłyszał, uśmiechał się pobłażliwie. Prawda, że dostał on się tutaj jakimś niepojętym sposobem, to też ksiądz poświęcił zdarzeniu temu chwilę zdziwienia, ale potem poprostu przestał o parasolu myśleć. Postawił go w kącie w miejscu widocznem, aby łatwo było sięgnąć po niego, gdy się właściciel zgłosi. Choć Bogiem a prawdą stary ten grat i trzech groszy nie wart...

Aliści nie wyczerpały się jeszcze dziwne zdarzenia tego pamiętnego dnia. Tegoż samego oto wieczora, jak piorun gruchnęła przez wioskę straszna wiadomość, że Michałowa Gongoly, żona glogowskiego nababa, utonęła w Białej Wodzie, skutkiem oberwania się chmury niebywale wezbranej. Nieszczęśliwa kobieta chciała tylko prze-

biedz przez kładkę, aby zabrać swoje gęsi, które po tamtej stronie rzeczulki zostały: jakoż przyniosła już gąsiora i sroką, ale wybrała się jeszcze po drugą parę i oto powinęła jej się noga na kładce i wpadła we wspanione, bystre nurty. Chryste Panie, dziś rano jeszcze prawie nie było tam wody, koza mogła dno lizać, a w południe toczył się rwący potok i pochłonał na wieki nieszczęśliwą kobietę, ile że nikogo nie było w pobliżu, ktoby ją mógł ratować. Szukali, wołali ją całe popołudnie, przetrząsnęli dom cały od piwnic do strychu, jak szpilki szukali ją w stodole, — dopiero wieczorem pod Lehotą wyrzucił strumień na brzeg jej martwe zwłoki.

Kilku mieszkańców Lehoty przechodziło tamtędy, poznali nieboszczkę, jeden z nich wskoczył na koń i pognął do Glogovy dać znać Michałowi Gongoly. Straszny ten wypadek wywołał wielkie poruszenie w wiosce. Tu i owdzie zbierały się gromadki ludzi i szeptały z przejęciem o nieszczęściu.

— Ha, palec Boży dotyka i bogaczy!

Jerzy Klincsok podreptał na plebanię.

— A to proszę dobrodzieja pojutrze będziemy mieli uroczysty pogrzeb!

Dzwonnik w błogiej nadziei lyknięcia kieliszka wódki, wstąpił do organisty.

— No, panie organisto,—rzecze: tłustą nieboszczkę mamy: skleć pan ładne wierszel

Jakoż trzeciego dnia istotnie odbył się ów uroczysty pogrzeb. Już dawno nie było takiego w Glogovie. Pan Gongoly i z Lehoty sprowadził księdza: niechaj ją dwóch księży grzebie!

Trumnę rozstawnymi końmi sprowadzono z Bystrycy, a krzyż zawieszono do Kopanicy, żeby tamtejszy stolarz pomalował go na czarno, a białymi literami wypisał na nim imię i nazwisko nieboszczki, tudzież datę jej utonięcia. Zebrały się istne tłupy: gdybyż była przynajmniej pogoda dopisała. Ale właśnie kiedy ksiądz już ruszył w pełnym ornacie wraz z ministrantami, jak nie lunie ulewa prawie taka sama, jak wtedy... Ksiądz przywołał Kwapkę, i popędzić mu kazał z powrotem:

— Biegnij, waszmość i przynieś prędko parasol; stoi w kącie, oparty o szafę!

Paweł Kwapka zdumionem wejrzeniem obrzucił proboszcza: czy on wie co to jest „parasol?”

— Eh, no, — niecierpliwił się księżyna — to duże czerwone, okrągłe jak koło, cośmy znaleźli rozpięte nad koszem z moją siostrzyczką!

— Aha, teraz to rozumiem!

Proboszcz, żeby nie zmoknąć, cofnął się pod najbliższą werandę Piotra Majgo, dopóki chyżonogi Kwapka nie przyniósł czerwonego kija, który ksiądz jednym ruchem ręki—ku osłupieniu tłumów—przemienił w rodzaj baldachimu, czy daszka, wyglądającego trochę jakgdyby się składał z pozczepianych skrzydeł olbrzymich nietoperzy. Trzymając za trzonek, niósł go nad sobą, i tak prowadził kondukt powoli, z powagą, ani odrobiny nie moknąc na ulewie; rześiste krople roztrącały się gniewnie o tę dziwną strukturę i, niedosięgając ciała, ni ubioru proboszcza, cicho z różnych stron spływały na ziemię.

Na pogrzebie wszyscy tylko parasolem byli zajęci i tylko na parasol zwracali uwagę. Szeptali sobie o nim różne spostrzeżenia kobiety i mężczyźni:

— Święty Piotr przyniósł to narzędzie!

Dopiero cudne wiersze, jakie nad grobem wygłaszać zaczął organista, oderwały na chwilę myśli obecnych od parasola, a skierowały je na nieboszczkę. Tu i owdzie wybuchnęły łkania, a organista prawil jak w natchnieniu:

„Nad smutną mą dolą niejednen się biedzi,
Oh żegnam was, żegnam, kochani sąsiedzi!...
Bądź zdrów, Pawle Lajkó, i Klincsoku miły...

Cała rodzina Pawła Lajko głośnym ryknęła płaczem, żona Klincsóka natomiast, nie mogąc stłumić zachwyty, wykrzyknęła na głos:

— Boże mój, skąd waszmości przyszło do głowy tak pięknie to ułożyć?!

Odruchowy ten hold dla talentu autora do tego stopnia go rozgrzał, że o całą oktawę głos jeszcze podniósłszy, wciąż dalej i dalej na ten temat improwizował, coraz innych znajomych imiona wplatając w oracyę, gwoli zdobycia sobie popularności w jaknajszerszych kołach. W całym zgromadzeniu nie było chyba ani jednej osoby, którejby uszło na sucho w tym oratorskim potoku.

Ledwie że pochowano panią Gongoly'ową, kiedy kumoszki miejscowe jeszcze nie zdążyły nagadać się między sobą o wspaniałościach ostatniej posługi, o nagle w wdowieństwie Gongolya i o tem, że—Panie Boże odpuść—już na pogrzebie zdążył strzelać oczami ku świeżemu liczku

Anny Tyurok, z czego wyciągały wniosek, że sławna rodzinna, futrem bramowana menta Gongoly'ów niedługo będzie czekała na nową właścicielkę,—słowem, że, jak powiadam, grabarzom nie wyszumiała jeszcze moc wódki, jaką pochłonęli na stypie u Gongoly'a, kiedy już przyszło nowy grób kopać. Bezpośrednio po Gongolyowej zamknął oczy Jan Szranko, który i poprzednio zwykł jej był zawsze asystować, ile, że była sobie kobietką niczego. Otóż i teraz, jakgdyby się zmówili, razem odeszli w krainę cieniów. Prostu mówiąc: można się tego było nawet spodziewać. I dawniej, powiadają, nieraz tak bywało, że ilekroć Gongolyowa wyszła w pole i zniknęła w życie, to i Szranko, jak obstalowany nagle skądciś wyrastał, i—także ginął w życie... Oh, to żyto bezbożne! Tak wysoko rośnie, że pod jego płaszczem wszelkie szaleństwo się schronił!

Więc oto i teraz obadwa cienie razem się rozplynęły w bezkresnej wieczności. Szrankę znaleziono nazajutrz rano po pogrzebie martwego w jego własnym łóżku. Musiała go apopleksya zabić.

Szranko był także człowiekiem zamożnym, jednym z miejscowych magnatów: trzysta owieczek jego pasło się na łąkach, a pola pod uprawą także miał nie mało. Jemu się również należał pogrzeb pierwszorzędny. Nie była też skąpa wdowa po Szrance: sama poszła do księdza i do organisty i zamówiła, żeby wszystko było taksamo, jak na pogrzebie Gongolyowej. Niechaj co chce kosztuje, ale Szrankowie nie są mniej warci, niżeli Gongolyowie. Ma być tak sa-

mo dwóch księży do prowadzenia konduktu, czterech ministrantów w czarnych sukienkach, a dzwony mają bić bezustanku. I wszystko inne, i wszystko inne taksamo, jak na tamym pogrzebie było.

Ksiądz Jan, zadowolony, przytakiwał kiwaniem głowy.

— Dobrze, dobrze, będzie wszystko tak, jak wtedy.

Kredą na tabliczce wyliczył ksiądz kosztą.

— Zgoda, ale niech ksiądz dobrodziej doliczy do tego jeszcze i *to czerwone*: zobaczymy o ile też to drożej wypadnie.

— Jakie czerwone?

— No to, co dobrodziej trzymał sobie nad głową na pogrzebie Gongolyowej. To było dopiero naprawdę uroczyste!

Ksiądz Jan mimowoli parsknął śmiechem.

— Ależ niepodobna!

Szrankowa, urażona, o krok się cofnęła, i dumnie na sztywnym karku, do góry wznosząc głowę, wybuchła:

— Czemuż to niepodobna? Zdaje się, że moje pieniądze mają chyba tę samą wartość, co pieniądze Gongolya. Ksiądz dobrodziej chyba nie zaprzeczy temu!

— Ależ pani Szrankowo: wtedy deszcz padał, na jutro zaś zapowiada się piękna pogoda.

Ale pani Szrankowej nie łatwo było wyperśwadować, jak jej co zajechało w głowę, tem więcej, że w dyalektyce była o wiele silniejsza od proboszcza.

— Co? Że wtedy padało, a teraz nie pada? To przecież tem lepiej, kochany ojcuniu, przy-

najmniej nie zmoknie ten sprzęt drogocenny! Czyż biedny mój nieboszczyk nie zasłużył sobie na to, żeby go należycie uhonorować? Czy mniej był wart od Gongolyowej? We wsi naszej pełnił urząd sędziego gminy, składał ofiary na kościół, właśnie pięć lat temu on to właśnie sprowadził z Bystrzycy te piękne, kolorowe świece, które na ołtarzu stoją. Biała serweta zaś, którą nakrywacie ołtarz, to ręczna robota jego rodzonej siostry!... Niechże więc księżulek nie odmawia tego czerwonego!

— Nie mogę się ośmieszać, moja kobieto, prowadząc kondukt pod parasolem w jasną, piękną pogodę! Proszę panią Szrankową nie męczyć mnie nierozsądnymi wymaganiami!

Aliści pani Szrankowa zamiast zaprzestać, uderzyła w lament. Zalana łzami, jęła zawodzić, że oto dożyła wstydu, iż sługa Boży odmawia jej mężowi parady, na jaką sobie zasłużył nieskazitelnem życiem. Parada na pogrzebie nieboszczykowi przyjemność sprawia, a pozostałym ulgę. I co powiedzą we wsi? Powiedzą, że Szrankowa pożałowała na uczciwy pogrzeb dla męża, kazała go wrzucić do dołu, jak żebraka jakiego!...

—Księżuniu wielebny, ulitujże się nad biedną sierotą!—błagała, zalzawione oczy trąc chusteczką, a jeden rozek tej chusteczki tak kręciła i kręciła w palcach, dopóki nie wysunął się z niego banknot dziesięcio-guldenowy.

Pani Szrankowa podniosła go z podłogi, i, kładąc go z pełną finezyi skromnością na stole, ku księdza, dodała nieśmiało:

— I to jeszcze dołożę do kosztów ostatniej posługi, ale niech już księżunio mi nie odmawia pełnej pompy, o jaką proszę!

Tu wtargnęła z kuchni stara Adamowa w fartuchu, z warząchwą i jęła się wstawiać za Szrankową.

— Tak, tak, wielbny księże, nie można zaprzeczyć, że Szranko był bogobojnym człowiekiem. Wszystko, co o nim mówią, to wierutne kłamstwo. Ale nawet gdyby było prawdą, to byłaby wina tylko nieboszczki Gongolyowej, niech spoczywa z Bogiem. Skoro więc jedno było chowane z parasolem, śmiało można z parasolem pochować i drugie. A już jeżeli Bozia gniewa się za to okruszynkę, niewielka będzie różnica, jeżeli się trochę więcej pogniewa: jeśli się zaś nie gniewa za tamto, to i teraz napewno Go nie obrażimy!

— Że się też Maciejowa nie wstydzi tak niemądrze mówić! Dajcie mi raz spokój i nie nudźcie więcej. Żądanie pani Szrankowej jest po prostu śmieszne.

Lecz biedny księżyna miał się wnet przekonać, że — pieprzu nie przeprze i że z głupim ten tylko dochodzi do ładu, kto mu ustępuje. „Już my wiemy, co wiemy, a ksiądz dobrodziej nas nie otumani!“ Tak go nękały, błagały, mordowały, dopóki, zmitręzony, niemal ogłuszony, nie przyrzekł, że Jana Szrankę także pod parasolem pochowa, — dodając wszakże przezornie:

— O ile do tej pory nie zgłosi się po niego jego prawowity właściciel. Bo faktem jest prze-

cież, że go tu ktoś zostawił, więc jak przyjdzie po niego, trzeba go będzie oddać.

Ale Maciejowa mrugnęła porozumiewawczo na Szrankową:

— O to możemy być spokojni. Ten, kto go przyniósł, tylko raz na tysiąc lat odwiedza naszą planetę.

I rzeczywiście znów upłynęła doba, a po parasol nikt nie przyszedł, więc młody proboszcz, rad nie rad, mimo jarzącego słońca na niebie i błękitu nie skażonego ani najmniejszą chmurką, rozpostarł parasol i pod jego cieniem prowadził na cmentarz poświęconą trumnę.

A niosło ją na marach czterech silnych, wysokich chłopów: Szlawik, Lajkó i dwóch braci Magatów. Trzeba zdarzenia, żeby wola Boska tak zrządziła, iż w pobliżu kuźni jeden z Magatów, idący przodem, potknął się o kamień i przewrócił: skutkiem tego za nim postępujący Paweł Lajkó zmieszał się, stracił równowagę, mary się przechyliły i trumna z nieboszczykiem spadła na kamienie.

Łupnęła mocno, skrzypnęła i rozszczypała się przez pół, uchyliło się wieko, odsłaniając nieboszczyka, który, dzięki gwałtownemu wstrząśnieniu, ocucając się z letargu, westchnął głęboko i poruszył się, wołając:

— Boże mój, gdzie ja jestem?!...

Zapanowała ogólna konsternacya, zdumienie, które przeszło niebawem w okrzyki radości, wiwaty, powinszowania. Od kowala prędko przyniesiono koldrę, poduszki i, usławszy prowizoryczne łoże na wozie, świeżo wyreperowanym, przełożo-

no tam zmartwychwstałego nieboszczyka z mniej wygodnej trumny i, sławiąc dziwne zdarzenie, istny cud Boski, tłum cały przemienił się z orszaku pogrzebowego w pochód tryumfalny i z hymnem radości ruszył procesją napowrót do wioski, aby ponownie zainstalować w doczesnym bycie Jana Szranko, który nieborak przez drogę już na tyle przyszedł do siebie, że ledwie do domu przybyli, zaraz jeść zażądał.

Podali mu dzban mleka. Potrząsnął głową.

Lajko lepiej mu umiał dogodzić: przysunął wskrzeszonemu do ust butlę wódki, mającą stanowić szczyt kulminacyjny stypowej uczyty. Bohater chwili uśmiechnął się do dobrze znajomego gąsiorka.

Od tego pamiętnego zdarzenia rozpoczęło się już zupełnie oficjalne istnienie legendy o parasolu, która coraz dalsze, coraz szersze zataczała kręgi. Poprzez odwieczne, ciemne bory sosnowe, przez niebosiężne skały szła w świat, rosnąc, potężniejąc, coraz się odradzając i przeistaczając, wciąż nowymi opromieniana szczegółami.

Jeżeli w której z pobliskich skał odkryto jakie wgłębienie—nie mogło to być nic innego, tylko ślad stopy Ś-go Piotra, a jeżeli gdzie na skraju wioski rozwinął się kwiat o niezwyklej barwie—w tem miejscu napewno kij jego dotknął gruntu.. Wszystko, ale to wszystko świadczyło najwymowniej, że Święty Piotr niedawno musiał temi ścieżkami chadzać. Nie mała to rzecz mili przyjaciele!

Parasol otoczony został niby kręgiem mitycznego nymbu. Mgła tajemniczości przesłaniała

jedynie ten szczegół, jaką drogą i w której mianowicie chwili został on rozpięty nad koszem z Veronką? Ale to co, było wiadome—i tak było dosyć: zabobon szuka mgły, mgła przyciąga zabobon. Jedno i drugie rozciągnęło opar cudowności nad swym łupem, zniszczonym, wyblakłym parasolem.

Daleko wieść się rozniosła, dokąd tylko Biela Voda sięga, o nowem, pięknem wydarzeniu, dając świeży materiał baśniom, opowiadanym wieczorami przez pasterzy przy ogniskach i rozbudzając, rozpalając fantazję ludu. Każdemu niemal plastycznie ukazywała się postać popularnego świętego, Odźwiernego Niebios, śpieszącego przez łąki i ruczaje, poprzez ulewę z parasolem dla małej siostrzyczki księdza, aby nie przemokła. Tylko w jaki sposób ten staruszek z nieba na ziemię się dostał? Może spłynął z falą deszczu, może dosiadł chmury i ta go zniosła na którą z gór pobliskich...

Potem rozpowiadać zaczęto o cudotwórczej sile tego parasola, że wskrzesił umarłego podczas ostatniej podróży na cmentarz... I tak legenda szła dalej i dalej, poświatą swoją otaczając zarazem księdza wraz z małą dzieciną. (Hoho, jakiego to męża trzeba będzie kiedyś dla niej!) Choćby w dziesiątej wiosce, jeżeli kto bogatszy umarł, zaraz ściągano do niego księdza Jana z dalmatyką i świętym parasolem, na który spoglądano jakby na relikwię. I nietylko na pogrzeby księdza Jana proszono, ale i do spowiedzi w razach ciężkiej niemocy, gdzie nie było już nadziei w ziemskich lekarstwach, tam — niekiedy o dwa

dni drogi błagano księdza Jana o przybycie, z zastrzeżeniem, aby miał z sobą ów parasol święty, i trzymał go rozpięty nad chorym podczas spowiedzi. Niepodobna, aby to było bezskuteczne: taki chory albo wyzdrowieje, albo przynajmniej — już napewno będzie zbawiony.

Tak samo i pary młode, stojące do ślubu, jeżeli im chodziło o wielką paradę — a komuż o nią przy ślubie nie chodzi? — poza obrzędem we własnej parafji, dodatkowo odbywały pielgrzymkę do parafji glogovskiej, aby tam miejscowy proboszcz raz jeszcze połączył ich ręce stulą pod świętym parasolem. I dopiero te zaślubiny uważane były za prawdziwe, za ważniejsze od pierwszych. Dzwonnik Kwapka trzymał nad ich głowami rozpostarty grzyb czerwony z płótna, poczem i do jego kalety spływało trochę srebra. Co się zaś proboszcza Glogovskiego tyczy — moneta i dary sypały się na niego, jak z worka.

Początkowo bronił się temu energicznie i z gniewem; powoli jednakowoż, stopniowo, niemal bezwiednie i on zaczął wierzyć, że ten czerwony parasol, codzień słabszy, codzień bardziej spłowiwały, jest naprawdę jakimś cudownym darem niebios. Czyż nie bezpośrednio po jego tak gorącej modlitwie znalazł on się nad jego siostrzyczką, niby dobroczynne skrzydło anielskie, chroniąc ją od nieszczęścia? I czyliż nie od niego pochodzi cały dobrobyt, w jaki dom jego opłynął w tak krótkim czasie, dobrobyt, umożliwiający mu wyżywienie i wychowanie dziecka?

„Uczyń ze mną cud, o wszechmocny Jezu! uczyń ze mną cud, abym mógł dziecinę wycho-

wać!“ — tak błagał owego pamiętnego, smutnego poranka.

I oto — cud się stał. Pieniądze, dobrobyt, niemal bogactwo spływać na niego zaczęły z tego marnego deszczochrona, jak z owego baranka z bajki, który ilekroć bokami potrząsnął — deszcz dukatów spadał z jego welny.

Sława parasola niebawem przeniknęła i do sfer wyższych. Sam biskup bystrzycki, Jego Ekscelencja, zdjęty ciekawością, kazał się stawić przed sobą księdzu Janowi razem z parasolem. Wysłuchawszy relacji o wszystkim, jak i co było, przeżegnał się biskup pobożnie.

— *Deus est omnipotens!* — wyrzekł.

Znaczyło to mniej więcej, że i on sankcjonuje legendę, uznając w zasadzie jej możliwość.

W kilka tygodni potem ksiądz biskup więcej jeszcze chciał uczynić dla tego parasola: mianowicie wydał rozporządzenie księdzu Janowi, ażeby odtąd relikwię tę przechowywał nie u siebie w domu, lecz w zakrystyi, pospołu z innemi rekwizytami, należącymi do kościoła.

Ksiądz Jan jednakże odpisał na to zaraz w formie największego uszanowania pełnej, ale stanowczej, że wzmiankowany parasol ofiarowany był przez ową tajemniczą osobistość nie jemu, ale jego małej siostrzycce, Veronce Bélyi i że przeto on nie ma prawa jej go odbierać, a ofiarowywać kościołowi. Jest niemal pewien wszelako, iż dziewczeczka, doszedłszy do pełnoletności, sama go ofiaruje Bogu.

Parasol nie tylko samemu księdzu przynosił korzyści: w niedługim stosunkowo czasie cała Głogowa wzniosła się i ucywilizowała, dzięki jego

rozgłosowi. Ksiądz już w rok po tych zdarzeniach był w możności kupienia sobie wólków pod jarzmo i zaczął ulepszać grunt i gospodarstwo, — po kilku zaś latach—wybudował sobie śliczny domek kamienny, nabył powozik i ładne koniki. Do Glogovy zaś—zwłaszcza latem—zjeżdżać się całemi rojami zaczęli goście z pobliskich miejsc kąpielowych: dystygowane, utytułowane damy (najczęściej sędziwe hrabiny) przybywały tu umyślnie po to, ażeby mogły się pomodlić pod słynnym parasolem: wnet ujrzano potrzebę wybudowania hotelu dla tych gości nawprost plebanji i hotel ten nazwano „Pod cudownym parasolem”. Glogova wzrastała, jak na drożdżach, rozwijała się, piękniała. Mieszkańcy jej niebawem wstydzili się zaczęli prymitywnej dzwonnicy na jednej nodze, wzniesli przeto nad kościołkiem obszerną wieżę pod cynową blachą i sprowadzili do niej dwa nowe dzwony z Bystrzycy. Jan Szrankó na pamiątkę swego powrotu z krainy umarłych wystawił przed kościołem piękną rzeźbę, wyobrażającą Trójcę Świętą. Nauczycielka—z biegiem lat bowiem ksiądz Jan sprowadził nauczycielkę (kapełuszową damę!) dla Veronki — powysadzała całe podwórze plebanji georginiami i fuksyami, których to kwiatów oko Glogovian dawniej nigdy nie oglądało, — słowem wszystko dokoła w całej tak nędznej do niedawno wioszczynie nabrało wyglądu szlachetnego, świątecznego (za wyjątkiem tylko jednej Adamowej, ta bowiem przeciwnie, z biegiem czasu coraz gorzej brzydła), aż w końcu ambicya Glogovian do tego stopnia wzrosła, że gdy się w niedzielę popołudniu tu i owdzie zbie-

rały gromadki na pogawędkę — treścią tych rozmów stały się niebawem narady, czy nie byłoby dobrze wybudować w Glogovie kalwaryę, taką, jaką posiada Selmec, ażeby pobożni pątnicy, przybywający w pokutniczych pielgrzymkach, przynosili tu z szerokiego świata żywność i pieniądze.

CZĘŚĆ DRUGA.

GREGORICSOWIE.

Nietaktowny Gregorics.

Żył przed laty (to znaczy przed początkiem naszej powieści) w wolnem mieście królewskim Bystrzycy pewien osobnik, zowiący się Paweł Gregorics, którego wszyscy mienili nietaktownym, pomimo że głównem dążeniem życia jego było podobać się wszystkim. Paweł Gregorics wieczyście uganiał się za popularnością, która — jak wiadomo — jest piękną zalotnicą: aliści zamiast niej natykał się zawsze nos w nos: o jejmość krytykę, starą, kościstą, o kołacem wejrzeniu jędzę.

Paweł Gregorics był pogrobowcem: urodził się w okrągłe dziewięć miesięcy od dnia pogrzebu swojego ojca, dopuszczając się odrazu tym przedwstępnym aktem swego życia grubego nietaktu względem matki, która zresztą była kobietą zupełnie czcigodną. Gdyby się był chociaż o kilka tygodni wcześniej zdecydował ujrzyć światło dzienne, byłby leb skręcił całej powodzi nieprzy-

jemnych plotek... Ale na to już nic nie mógł poradzić biedny Paweł Gregorics: na tem zaś, że się wogóle urodził—tem gorzej wyszli inni Gregoricsowie, gdyż scheda uległa rozdrobnieniu na jedną więcej głowę.

Dziecko było wątłe: reszta Gregoricsów (dorosłe rodzeństwo Pawła Gregoricsa) z dnia na dzień wyglądała jego śmierci. Paweł Gregorics jednak nie umarł (wszak predestynowanym już był na nietaktownego), lecz wyrosł, osiągnął pełnoletności, i objął majątek po swej matce, która przez ten czas umarła. Tutaj działów żadnych nie było, on sam odziedziczył wszystko, gdyż z tej matki on był jedynakiem i potomstwo pierwszej żony starego Gregoricsa nie miało żadnego prawa do tej schedy: a tymczasem właśnie o tę to schedę chodziło wszystkim, ponieważ była znaczna. Prawda, że i po ojcu części, przypadające na każdą z głów nie były zbyt małe, bo stary dobrze zbil kabzę na handlu winem. Za jego czasów można jeszcze było w tych stronach łączyć ładny majątek na winie: wina było dużo, żydów zaś nie było ani na lekarstwo. Dzisiaj już nie te czasy: dużo brakuje warunków, potrzebnych do prosperowania handlu i wyrobu wina: jedna tylko rzeka Garam płynie jak płynęła...

Paweł Gregorics został obdarzony od matki natury piegowatym licem i rudawymi włosy, co jak wiadomo—nietylko, że nie zachwyca nikogo, ale nawet wzbudza ogólny brak zaufania. Człowiek tak naznaczony musi być nic dobrego. Otóż Paweł Gregorics wziął sobie za zadanie dowieść ogółowi, że on właśnie wyjątkowo—mimo nazna-

czenia—będzie dobry. Przysłowia wszelkie w rezultacie nie są niczem innym, jak starymi sprzętami kuchennymi, w których pokolenie po pokoleniu bezkrytycznie pietrasi swoje mędrkowania. Jeden z takich sprzętów—Paweł Gregorics zdruzgoce. Będzie tak dobrym, tak pocziwym i zacnym, jak ten kawałek chleba powszedniego, bez którego się nikt nie obejdzie. Będzie miękki i ustępny, jak masło, które się daje rozsmarować zarówno na białym, jak na czarnym chlebie.

Postanowił sobie w głębi ducha, że będzie dla każdego serdeczny i uczynny, i za cel życia sobie postawił zdobyć powszechną miłość.

I rzeczywiście był zacnym i dobrym, nieskazitelnie prawym, ale na co się to wszystko zdało, kiedy pech jakiś, „*dżin*“ nielitościwy tak nastrojał względem niego ludzkie umysły, że każde jego słowo i każdy postępek sądzony był fałszywie.

Gdy powrócił z Pesztu, po ukończeniu kursów prawa, pierwszy raz ukazawszy się na rynku rodzinnego miasta, wstąpił do trafiki po wytworne hawańskie cygara. Wnet przygrywką do koncertu rozbrzmiały bystrzyckie języki.

— Paniczyk pali cygara po trzydzieści pięć krajcarów. Oho! Takie buty? Zdecydowany utracysz, rzecz jasna. Zobaczycie, że skończy w przytułku dla ubogich. Oh, gdyby biedny jego ojciec powstał z grobu i widział, jak to synalek puszcza z dymem cygara po trzydzieści pięć krajcarów! Boże odpuść! Stary mieszał tytoń z suszonymi liśćmi kapusty, żeby go przysporzyć i zwilżał go jeszcze fusami, aby się dłużej palił...

Doszło do uszu Pawła Gregoricsa, że jego kosztowne cygara zeskanalizowały miścinę, więc iżby zgorszeniu koniec położyć, jął palić krótkie, dwukrajarowe papierosy.

Aliści ludziom i to nie dogodziło.

— Ten Polek Gregorics — pokazuje się — to pospolity sknera. Jeszcze gorszym będzie dusigroszem, aniżeli jego ojciec. Fe, obrzydliwe skapstwo!

Pawła Gregoricsa bardzo zabolalo, że go mienia sknerą: przy najbliższej więc sposobności pośpieszył dać odprawę oszczerstwu. Urządzano w mieście bal dobroczynny (na zasilek dla straży ogniowej, a główną patronką była nadżupanowa). Korzystając z zapowiedzi, że naddatki przyjmowane są z wdzięcznością, dał pan Paweł dwadzieścia reńskich za bilet, kosztujący dwa reńskie. „No już teraz chyba nikt nie powie, że Paweł Gregorics jest dusigroszem!” — myślał sobie w duchu.

Wtem gospodarze balu jęli coś szeptać między sobą, a z szeptów tych wynikło jasno, jak na dłoni:

— Ten Paweł Gregorics jest dyabło nietaktownym facetem!

I niestety — szepty miały słuszość.

Azaliż to nie bezczelność, żeby taki Gregorics śmiał przelicytować nadżupana, barona Radvánsky'ego? Radvánsky dał tylko dziesięć reńskich za bilet, a Gregorics śmiał rzucić dwadzieścia! Przecież to zniewaga! Syn handlarza wina! A cóż za czasy i co za ludzie, Chryste Panie. Bąk głośniej kicha od słonia. Cóż to za

stulecie, w którym żyjemy, cóż to za dziwne stulecie!

Czegobądź dotknął biedny Paweł Gregorics—wszystko zwracało się przeciwko niemu. Jeżeli się z kim poróżnił i postawił się ostro, wołali na niego, że awanturnik, że zadziora: jeżeli poróżniwszy się—ustąpił, wówczas mówiono o nim: „*poltron*“.

Początkowo—choć skończony prawnik—nie starał się o żadne obowiązkowe zajęcie: wyjeżdżał czasem na polowanie do swego majątku, położonego o milę od miasta — miał tę wieś po matce,—to znów kilka dni przepędzał w Wiedniu, gdzie posiadał dom dochodowy, także po matce, i to była cała jego praca, co istną pogardą przejmowało ruchliwe i czynne towarzystwo bystrzyckie.

— Ten Paweł Gregoricsa, — mówiono, — to zdecydowany pasożyt. Dwóch słówek nie złoży na krzyż przez całe tygodnie. I poco to żyje na świecie taki truteń?

Doszły do uszu Pawła Gregorics te gadania, i przyznał im słuszność. Życia nie należy marnować. Tak jest: każdy człowiek powinien odpłacać pracą za chleb, który zjada.

Wyjawił zatem życzenie, że i on pragnie służyć swoim umysłem miastu lub komitatowi.

Tego tylko było potrzeba jego przyjaciółom. Tysiąc i jeden języków zawrzało przeciwko temu projektowi. Co? Paweł Gregorics pragnie objąć stanowisko jakieś? Tutaj u nas? Czy on nie ma wstydu? Biedakom odejmować od ust kęs chleba, gdy jego stać na marcepany! Czyż nie powinien

zostawić tę odrobinę posad prowincjonalnych, jakimi rozporządza miasto tym, którzy z tego tylko żyją!

Paweł Gregorics i w tem uznał słuszość, zrezygnował więc z urzędów, ze spraw społecznych, usunął się nawet od towarzystw męskich, i postanowił się ożenić, założyć rodzinę. Być ojcem rodziny—wszak i to jest piękne i szanowne stanowisko.

Zaczął więc bywać w rozmaitych domach, gdzie były przystojne panienki na wydaniu, i gdzie go nawet—jako dobrą partję, chętnie przyjmowano. Cóż, kiedy podziemne intrygi przyrodniego rodzeństwa wszędzie potrafiły mu skutecznie stołka przystawić. Rodzeństwo ludziło się wciąż nadzieją, że ten wątły, pokasłujący cherlak przecież raz umrze i usiłowało wszelki, nawiązujący się stosunek z niesłychaną przebiegłością, z nakładem bajecznych podstępów (o których warto byłoby osobny tom napisać) — zerwać i uniemożliwić. Słowem—biedny Paweł Gregorics kosz po koszu zbierał, aż wnet sławnym się z nich stał w całej okolicy. Później byłyby się może znalazły dziewczęta, którym dała się już we znaki *párta* *) (wiadomo, że ozdoba ta po pewnym czasie przykrzyć się zaczyna i ciężać), te byłyby może i wyszły za niego: ale je wstyd powstrzymywał. Bo i jakże? Wyjść za człowieka, którego już tyle panien nie chciało. Któraż z kobiet zgodzi się być królową — króla kosztów? Napewno ani

*) *Párta*—strój głów dziewczycych.

jedna!... W wieczór ś-go Andrzeja dużo się lało wosku i ołowiu, ale żadnej dziewczynie nie ułała się postać Pawła Gregoricsa! Jak dwa razy dwa cztery—ani jednemu z tych uroczych podlotków nie było potrzeba Pawła Gregoricsa. Podlotki poezji ląkną, nie grosza. Być może, iż która ze starszych panien łatwiej przyjąłaby od niego obrączkę... Panny, które zaszły w lata mniej się w takich razach ociągają od podlotków.

Ale od młodych panien do starych—nie jeden to skok: to są dwa skoki. Pomiędzy niemi stoją męzatkі. Panny w wieku bezsprzecznie dojrzałym to już stacya ostatnia.

Podlotki i panny—jak się rzekło—bezsprzecznie dojrzałe to dwa biegunowo przeciwne światy. Przypuśćmy, że Linetce, cudnemu pączuszkowi, szepnie ktoś do ucha o Pawle Gregoricsu, że nieszczęsny młodzieniec krwią pluje. Na to Linetka przerazi się biedactwo i przy następnej wizycie Pawła Gregoricsa jej maleńkie, szybko pulsujące serduszko już tylko litość będzie uczuwało dla niego: podczas gdy poprzednim razem widok wspaniałej czwórki u ślicznego wolantu — już, już blizkim był wdysputowania w to serduszko male całkiem innych dla pana Pawła uczuć... Ach, biedny Paweł Gregorics! Krwią pluje biedny Paweł Gregorics! Jakież to nieszczęście! I chwacki konik wrony daremnie dziś potrzasa niecierpliwą główką: dzwonki jego janczarów nie wywołują już dzisiaj tego efektu, co ubiegłym razem. Trudno: wszak Paweł Gregorics krwią pluje.

Ah ty miły bębnie, Linetko! Ja wiem, ja przyznaję, że Paweł Gregorics jest brzydki i wca-

e nie ponętny, ale jaki on bogaty! A jeżeli krwią pluje,—no to własną krwią przecież, nie czyją, więc co tobie do tego?

Wierzaj mi, że Rozalia, która wszystkiego raptem o dziesięć lat wcześniej od ciebie chodziła do „*madamy*”, nie byłaby takim rokosznym, naiwnym mazgajem, jak ty. Rozalja jest już filozofką, i jej jeżeli kto szepnie: Paweł Gregorics krwią pluje,—to pomyśli sobie:

— Zaprawdę, oto wartościowy człowiek!

Na głos zaś wybuchnie łzawo:

— Ach, jak jabym go pielęgnowała!...

A w najgłębszych tajnikach mózgu, tam, gdzie się rodzą instynktowne impulsy, których w słowa ubrać niepodobna, bo nawet myślami jeszcze nie są,—tam całkiem bezwiednie, ale nie mniej realnie formułuje się już rachuba:

„Jeżeli Paweł Gregorics krwią pluje, to przynajmniej prędzej będzie z nim koniec!”

Ach, wy urocze dzieciaki! Jeszcze nic nie znacie życia. Mamy dały wam już długie suknie, ale rozumek wasz pozostał krótkim. Nie gniewajcie się, że wam dokuczam, ale musiałem przecież wyluszczyć czemu Paweł Gregorics nie dostał z pomiędzy was żony.

Rzecz całkiem prosta. Róża rozwinięta nie może być czystą: pszczoła kąpała się już w jej kielichu, chrząszczyk tulił się już do jej listków:—w zamknięty pączek zaś nie wejrzał jeszcze żaden atom ziemskiego pyłu.

Dlatego to biedny Paweł Gregorics tyle koszów nadostawał od podlotków: zaczął też nieborak pojmować potroszeczkę (ile że, jak się rzekło

wyżej, był niesłychanie dobrym chłopaczyskiem), iż nie dla niego małżeństwo. Podlotki mają słuszość, czyniąc mu zarzut z tego, iż krwią pluje. Ostatecznie — krew do czego innego jest przydatna, nie na to, żeby ją wypluwano.

Postanowił zatem skwitować z ożenku, i nawet nie patrzeć na panny,—tylko na mężatki. Do mężatek zaczął smalić cholewki: dla pięknej, dystygowanej pani Vozáry jął sprowadzać bukiety z Wiednia: w parku hożej pani Muskulyi pewnego wieczoru wypuścić kazał pięćset słowików, które z wielkim trudem pochwymano gdzieś na Siedmiogrodzie. Dostarczył mu ich na zamówienie pewien ptasznik z Nagy-Enyed. Rzecz pewna, że niepomału musiało zdziwić piękną kobietę, rozkołysaną na puchach edredonu, z kąd taki wspaniały koncert dają dziś słowiki?...

O mężatek łaski się ubiegać — to się przy najmniej opłaci. Podlotki nie umieją ocenić mężczyzny, ani starsze panny: jedne i drugie mają spaczony punkt widzenia. Jedne mężatki, jako spoglądające już z po za Rubikonu, które już się wyzbyły snów i marzeń, już się nie niecierpliwia i niczego nie wyczekują—one jedne tylko umieją sądzić, co wart jest mężczyzna. Prawdziwa waga mężczyzny jest ta, ile w oczach mężatki zaważy.

Paweł Gregorics jednak—co tu obwijać w bawelnę—niedaleko zajechał i z mężatkami. Zawsze one same zrywały, nie czekając interwencji męża, która przygodnym rywalom, bądź co bądź, najwięcej zaszczytu przynosi.

Nieszczęśliwy Paweł Gregorics zaczął się

już okropnie, przeraźliwie nudzić, kiedy naraz wybuchła wojna o niepodległość.

Ale i tu spotkały go przykrości. Nie chcieli go przyjąć do szeregów. Zarzucano mu, że jest niski, wąty, że nie wytrzyma trudów wojennych, że figura taka niepoczesna będzie szpeciła wojsko. Ale pan Paweł uparł się tym razem, koniecznie chciał należeć do ruchu.

Wachmistrz, zbierający zapisy, dobry jego znajomy, zaczął mu doradzać:

— Ja nie mam nic przeciwko temu, żebyś pan z nami pracował, ale wybierz pan sobie coś mniej niebezpiecznego. Wojna nie może się obejść bez rozmaitych gryzmołów: zapiszemy pana do którejkolwiek z kancelaryi biurowych.

Ale Paweł Gregorics wyprostował się, silnie urażony. Wyglądał, jak sowa, usiłująca naśladować pawia.

— Właśnie, że zamierzam sobie wybrać najbardziej niebezpieczne ze wszystkich posłannictwo. Co pan uważasz za najbardziej niebezpieczne, panie wachmistrzu?

— Najbardziej niebezpiecznem jest bezwątpienia stanowisko szpiega.

— A więc będę szpiegiem.

I Paweł Gregorics istotnie został szpiegiem. Przebrał się za włóczęgę, oberwańca z pod ciemnej gwiazdy (oberwańców takich cała moc włóczyła się naówczas po kraju) i, z obozu do obozu wędrując, oddawał węgierskiemu wojsku nieobliczone usługi. Długie lata żyła w pamięci starych weteranów postać nikłego człowieczka o czerwonym parasolu, który z bajecznem zuch-

walstwem przewijać się umiał pomiędzy linjami nieprzyjacielskiego wojska, tak idyotyczną przybierając minę, jakgdyby trzech zliczyć nie umiał. Twarzyczka drobna, wązka, ptasia, spodeńki podwinięte, jakiś przez pół wgnieciony cylinder z przed potopu, i potężny, czerwony parasol pod pachą, czyniły go typem jedynym w swoim rodzaju i nie zapomnianym. Kto go raz widział—poznałby go i w sto lat potem. A musiał go każdy bodaj raz widzieć, ponieważ nie było dziury, w którąby nie wlaźł: włóczył się wszędzie jak mara. Niewielu tylko wiedziało jakie jest jego rzemiosło, ale Dembiński musiał wiedzieć, bo wyraził się raz o nim, mrużąc oko:

— Ten człowiek o czerwonym parasolu to istny dyabeł, ale z gatunku zacnych dyabłów.

Gdy przebrzmiały boje, a posępna cisza grobowa kraj cały zaległa, Gregorics powrócił do Bystrzycy i popadł w ostateczną mizantropię. Nie wydalał się prawie po za obręb swojej starej ponurej kamienicy. Już nie dążył do odgrywania jakiejkolwiek roli w społeczeństwie, ani do ożenku. I stało się z nim to, co się najczęściej dzieje ze starymi bezżeńcami: zakochał się w własnej kucharce. Upraszczać rzeczy, upraszczać i wszystko wciąż upraszczać. Na tem polega postęp i mądrość prawdziwa. Oto była teoria, którą obecnie wyznawał.

Jedna kobieta jest potrzebna do obsługi człowieka, druga — żeby go kochała. Czyli, że człowiek potrzebuje dwóch kobiet. Czemużby obie te kobiety nie mogły się zlać w jedną?

Anna Wibra była karytydą o kształtach roz-

rośniętyah, rodem het, z Detry, gdzie wzrost mężczyzn rozpoczyna się od sążnia, na podobę bu-
dulców, jakie wydają ich potężne lasy. Liczko
miała dosyć mile, prócz tego wieczorami, szoru-
jąc naczynia, miała zwyczaj bardzo ładnie śpiewać:

„Tratwa sunie po Garamie
Janko fajkę ćmi na tratwie...”

Taki miała głęboki, do serca przenikający
głos, że pan kazał ją raz zawołać do swego po-
koju i prosił, żeby usiadła na miękkim, skórą kry-
tym fotelu. Jak żyje jeszcze nie siedziała na ta-
kim wygodnym stolku.

— Podoba mi się twój śpiew, Anko. Masz
głos, jak słowiczek. Zaśpiewaj tutaj, w pokoju, że-
bym lepiej słyszał.

Anka, nie dając się prosić, zaczęła zawo-
dzić melancholijną pieśń o doli chłopca, zabrane-
go w żołnierze, który przed wybranką serca wyle-
wa skargi na swój los nieszczęśliwy:

„Czy wiesz kochanko, jakie mam posłanie?
Głaz, jak lód zimny, okryty płaszczem —
Oto moje posłanie.
Tak sypiam ja. A czem się żywię?
Jadło me z konia, mój napój ze śniegu.
Wiedz o tem, różyczko, tak żyję ja.

Pawła Gregoricsa roztkliwiła ta pieśń, smęt-
ku pełna; aż po trzykroć wykrzyknął:

— Cóż ty za gardziolko masz, Anno Wibra,
jakie ty niepospolite posiadasz gardziolko!

I zbliżał się, coraz bardziej się zbliżał do te-
go podziwu godnego gardziolka, aż ręką je gla-

skać zaczął, jakgdyby przypuszczał, że i zbudowane ono być musi inaczej, niż zwykle, pospolite gardła. Anka wszystko to cierpliwie znosiła, ale gdy ręka Gregoricsa — rozmyślnie, czy też mimowiednie — skierowała się cokolwiek poniżej gardła — poczerwieniała nagle i zerwała się jak oparzona.

— Jaśnie panie, o tem nie było mowy przy ugodzie!

Paweł Gregorics poczerwieniał także i jął przekładać i nagłą chrypką zdjęty:

— Anka, nie mędrkuj! Nie bądź głupia!...

Ale Anka mędrkowała i stała już przy drzwiach.

— Nie uciekajże, zostań! Przecież ciebie nie zjem!

Ale Anka uszy zasłoniła, uciekła do kuchni i zamknęła się na klucz. Daremnie Paweł Gregorics popędził za nią, stanął u drzwi, perswadując:

— Przecież cię nie zjem? Jak mi Bóg miły, ani cię ukąszę! No, zobaczysz, Anka, jeszcze pożałujesz!

Nazajutrz Anna Wibra podziękowała jaśnie panu za służbę. Jaśnie pan jednak ulagodził ją ofiarowaniem pierścionka złotego i solenną obietnicą, że jej już nigdy ani palcem nie tknie. Odprawić jej nie może, — mówił, — ponieważ nie wie, czy umiałby mu kto tak dogodzić przy kuchni.

Ance podobala się pochwała, bardziej jeszcze — pierścionek; cofnęła prośbę o dymisyę.

— Ale niech jaśnie pan dotrzyma słowa, bo jeżeliby jaśnie pan jeszcze raz chciał zbytkować, to panu kości połamię.

Co tu blagować, co ukrywać: niedługo zwłó-
cząc, Paweł Gregorics znów zbytkować zaczął.
Powtórzyło się to samo: Anka znów jąła dzięko-
wać za służbę, Paweł Gregorics znów ją ułago-
dził—tym razem ślicznym naszyjnikiem z koralami,
takim samym, jakie noszą baronówny Radwańskie
co niedziela, w kościele. Ach, jakże cudnie ukła-
dały się różowe korale na wdzięcznej, pełnej
szyjce Anny Wibral!

Naszyjnik był tak piękny, że Anka jakoś tym
razem nie stawiała warunku zaprzestania „zbyt-
ków”. Pan jest dosyć bogaty, niema wątpliwości,
że i dla niej nie będzie skąpy...

Jeszcze tego samego dnia po otrzymaniu na-
szyjnika, wystosowała Anka dyplomatyczne pyta-
nie do starej sklepiczarki, wdowy, Karolowej Bo-
tary, która była lokatorką domu Gregoricsa.

— Nieprawdaż, pani kumo, że przekłócie
uszu nie bardzo boli?

Sklepiczarka zaśmiała się.

— Ah, ty borówko leśna! Co ci po tej wia-
domości? Czy masz zamiar kolczyki nosić? Ej,
Anka, Anka! Ty nad czemś niedobrem łamiesz
głowę, Anka!

Anka obraziła się i wybiegła, silnie zatrzas-
kując drzwi. Dzwonek sklepowy, nie przyzwy-
czajony do takiej energii, przez cały kwadrans
potem drgał i brzęczał, jak na alarm.

Rzecz prosta, że Ance chciało się kolczy-
ków. Bo i czemużby miałyby ich nie chcieć?
Jej różowe uszki ten sam Pan Bóg ulepił, który
lepił — napewno nie zawsze tak udatnie — uszy
dam, chodzących w jedwabiach. To też, zawziąw-

szy się, jeszcze, w ciągu tego samego dnia, zdążyła się przekonać, iż przekłócie uszek niewiele więcej boli, niż ukąszenie komara.

Tak jest, Anka marzyła o kolczykach, i teraz na nią przyszła kolej niecierpliwienia się, że Paweł Gregorics zbyt długie ceregiele robi. Ale—wszak na wszystko są sposoby. Niejedną rzecz można przyspieszyć, jeżeli o to chodzi, — a drogę do tego każda córka Ewy znajdzie. Anka zaczęła się ładnie, jasno ubierać, w jasne jak len warkocze jęła wplatać wstążki koloru ognia, wysoko podwijając bufiaste rękawy od koszuli z tkaniny tak cienkiej i subtelnej, jak bibułka angielska, odrzuciła zbyt obcisłe staniki, a ubierać się zaczęła luźno, przezroczyście, tak, iż nieledwie bicie serca było widoczne z pod tych lekkich osłonek. Nie małe to przedstawiało niebezpieczeństwo dla męskiego oka!

Gregorics mógł być całkiem dostatecznie zaprawionym w przebiegłości szpiegiem wobec połączonej rosyjsko-austriackiej armady, ale w stosunkach życiowych dziewczyna, prosta nieuczona Detvianka—tysiąckroć sprytem go prześcigała. Następnej niedzieli już w złotych kolczykach zjawiała się Anka w kościele, na który to widok miejscowi chłopcy i dziewczęta jęli mocno pokręcać głowami, uśmiechając się porozumiewawczo.

— Hoho, nasza grenadyerka—musi—potknęła się o kogós!...

„Grenadyerką” nazywano Ankę dla jej niepowszednich rozmiarów.

Jak tam było, tak było, dosyć, że w kilka tygodni potem całe miasto trzęsło się od plotki

o skandalicznym fakcie, że Paweł Gregorics ma stosunek ze swoją własną kucharką. „No, patrzcie państwo, stary kozioł domową sól liże!” Ciekawi tego stosunku potrafili przytaczać à propos niego tysiąc i jeden szczegółów pikantnych, dramatycznych, nad którymi boki zrywali starzy i młodzi. Przyrodnie rodzeństwo Gregoricsa starało się jaknajszerszy rozgłos nadać tej sprawie, ubarwiając ją bez miłosierdzia i tworząc z niej prawdziwą burleskę.

— Gregorics i „garnkotłuk”!... Wstyd! Hańba! Jeszcze nigdy nic podobnego nie było w rodzinie!...

Obcy wzruszali ramionami („czyżby?...”), uspokajając zirytowane rodzeństwo i krewnych.

— Cóż wielkiego. Całkiem naturalne. Czy trafiło się kiedy, żeby Paweł Gregorics w czemkolwiekbyś okazał się „*correct*?” Ale nie powinniście wyrzekać; dla was to lepiej, przynajmniej już się nie ożeni i cały swój znaczny majątek dla was zapisze!

Co było prawdą, a co przesadą w tych opowiadaniach — trudno wiedzieć, faktem jest tylko, że plotka z całą swobodą naharcowawszy się po świecie, powoli tracić zaczęła swój rozpęd i popadła w drzemkę, z której ocknęła się dopiero po kilku latach, gdy ci nieliczni, którzy mieli dostęp do ponurego domu Gregoricsa, zaczęli widywać na podwórzu starego domostwa, maleńkiego chłopaczka, igrającego z białym barankiem, pasącym się na murawie.

Czyje może być to dziecko?... Zkąd się wzięło, i co ono tu robi? Nieraz sam Gregorics

bawił się z tym chłopczykiem... Jeżeli kto kiedy—co się, nawiasem mówiąc, dość często zdarzało—zajrzał w głąb podwórza przez dziurkę od klucza u bramy, ten łatwo mógł widzieć starego dziwaka, Gregoricsa, okręconego czerwonym pasem, od którego zwisały dwa sznury w kształcie lejc, spoczywające w maleńkich rączkach wesołego bębna, niezałującego popędzać starego konia biczykiem.

— A wio! a wio! a nuże!

I stary osioł skakał w piasku, przewracał się, fikał kozły, niekiedy rżał nawet, jak koń rodowity...

Od tej pory Gregorics jeszcze bardziej usunął się od ludzi, rzadkim trafem widzieć go można było drepcącego przez rynek niezgrabnie (ponieważ—jak ktoś zaopiniował—obie jego nogi były *lewe*), w wytartym, oryginalnym ubraniu, do którego przywykł za czasów szpiegowskich, z czerwonym parasolem pod pachą, z którym nie rozstawał się nigdy: w zimie, latem, zarówno w suche, jak w dżdżyste powietrze zawsze go miał z sobą, i literalnie—nie wypuszczał go z ręki. Zdarzało się, że zwracano mu uwagę: „Niech *bácsi* postawi parasol w kącie!”

— Nie, nie—odpowiadał: ja już przywykłem do niego: tak przywykłem, że koniecznie muszę go mieć w rękę. Bez niego czuję się jakiś nie-swoj. Słowo honoru daję. Tak, jakgdyby mi brakowało nogi. Słowo honoru wam daję!

Niejednen w głowę zachodził, dlaczego ten stary tak się przyzwyczaił do tego parasola? Rzecz niepojęta! Może to jaka relikwia?... Ktoś opowiadał (zdaje się, iż urzędnik z kadastru, Stefan

Pazår, który czasu powstania służył w honwedach), że Paweł Gregorics zwykł był naówczas w tym parasolu nosić ważne depesze i notaty, ponieważ laska tego parasola jest w pewnem, jemu tylko wiadomem miejscu, wydrążona, czyli wewnątrz pusta, czego z wierzchu nie widać. Może była to i prawda.

Rodzeństwo Gregoricsa było mocno zaintrygowane i zaniepokojone tem małym chłopięciem, bawiącym się na dziedzińcu domu pana Pawła, i ludzie ci dopóty szperali i szukali, aż wreszcie znaleźli jego ślad w metrycznej księdze katolickiej w Priworec (Priworec był to majątek Pawła Gregoricsa). Chłopczyzna zapisany tam był jako „Jerzy Wibra — dziecię nieprawego łoża” — jako matka wymieniona była Anna Wibra. A była to śliczna, mała ptaszyna, tak miłutka, że rozkochać się mógł się w tym dzieciaku nietylko blizki, ale każdy obcy.

Podjejrzane objawy.

Maleńki Jerzy Wibra pięknie się rozwijał, szybko wyrósł na silnego, świetnie zbudowanego chłopczynę, z klatką piersiową—jak bęben. Paweł Gregorics ciągle tylko powtarzał:

— Zkąd on wziął te piersi? Zkąd on u Pana Boga mógł wziąć taką pierś wspaniałą?..:

Jemu, wątłakowi o piersi wązkiej i zapadłej, nic tak nie imponowało, jak ta pierś klasyczna: innych zalet chłopca prawie nie dostrzegał. A było

ich coniemiarą, przytem okazywał niezwykle zdolności do nauki. Stary profesor, emeryt, Marcin Kupeczky, który mu dawał codzień lekcyę, z uniesieniem chwalił go do Gregoricsa:

— Niepospolicie utalentowany chłopak, wierzaj mi pan, panie Gregorics. Wyrośnie na wielkiego człowieka. Chcesz się pan ze mną założyć, panie Gregorics?

Gregorics rósł, jak na drożdżach: czuł się szczęśliwy, jak w siódmym niebie. Kochał chłopca nad życie, choć starał się nie okazywać tego. Uśmiechał się radośnie do profesora i oświadczał gotowość do zakładu.

— Z miłą chęcią, profesorze, założmy się o cygarko; mogę nawet uważać, jakgdybym już przegrał.

I częstował profesora najprzedniejszymi havanosami, które staruszek chętnie przyjmował, dalej gawędząc na ten sam temat.

— Jak żyję nie miałem jeszcze tak zdolnego ucznia, wierzaj, mi panie Gregorics. Trafiały mi się same tylko mierne, przeciętne mózdzki i, borykając się z niemi, marnowałem swoją wiedzę, żał się Boże na co. Przykrą jest taka świadomość, wierzaj mi pan, panie Gregorics. (Tu z wielkiego smutku nucił pod nosem melancholijną jakąś piosenkę, wspomnienie młodości). Na całej czeredzie uczni moich wyszedłem tak, jak pewnego razu mennica państwowa na swoich wyrobach. Opowiadałem to panu już kiedy, panie Gregorics? Co, jeszcze nie opowiadałem? Otóż raz zaginął w mennicy duży kawał surowego złota. Szukanie, śledztwa—nic nie pomogło—zginął.

Dopiero po dłuższym czasie przypadek odkrył, że przez nieuwagę kierownika robót złoto zostało wmieszane do miedziaków jednokrajcarowych... Otóż to samo powtórzyło się i ze mną. Pojmujesz mnie, panie Gregorics? Skazany byłem przez kilka generacyi ducha mojego roztrwaniać na same zakute palki. *Denique* teraz, pod sam koniec życia—trafił mi się nareszcie płomyk, który rozdmuchać warto! Pan pojmujesz mnie, panie Gregorics!

Paweł Gregorics tymczasem nie potrzebował ostrogi: sam—niemal że przesadzenie ambitne żywił projekta dla małego Wibry i zaiste niedalekimi byli od prawdy ci, którzy może głównie dla zastraszenia krewnych Gregoricsa — chytrze przepowiadali: „koniec historyi będzie niewątpliwie taki, że stary ożeni się z Anną Wibra i będzie adoptował chłopca! Sam Kupeczky był także tego pewien: „Na tem się skończy, niema gadania. Może się kto założy ze mną, co?“

I, nie ulega wątpliwości, że tak byłoby się stało: Paweł Gregorics nie na żarty myślał o tem, co — mówiąc nawiasem byłoby jedynem wyjściem z imprezy w stylu *correct*. Ale—Paweł Gregorics o wiele za bardzo kochał małego Jerzyka, ażeby w tym wypadku śmiał być *correct*...

Logicznemu rozwojowi rzeczy stały na poprzek dwa osobliwe zdarzenia. Pierwszy dotknął w sposób bardzo przykry matkę chłopaczka, Annę Wibra. Spadła pewnego razu z drabiny i złamała nogę tak nieszczęśliwie, że na całe życie została kulawą. Któżby zaś potrzebował kulawej służebnicy?

Drugie zdarzenie jeszcze głębiej wstrząsnęło starym dziwakiem. Trafiło się, że mały Jerzyk ni ztąd ni zowąd rozchorował się nagle. Zsiniął cały, schwyciły go kurcze, febra trzęsła biednem jego ciałkiem—wszyscy myśleli, że umrze. Gregorics, odrzuciwszy tym razem na bok wszelki wstyd i hamowanie, padł na kolana obok łóżeczka, całował chłopczynę po twarzy, po oczach, po skostniałych rączkach i raz pierwszy przemówił do niego prosto z serca, nie licząc się z żadnymi względami.

— Co ci jest? Co cię boli, synku mój jedyny?...

— Nie wiem, drogi *bácsi*—wyjąkało dziecko.

Coś dziwnego się działo w tej chwili ze starym Gregoricsem: rude jego włosy sztywno stały mu na głowie ze zgrozy, patrzył na męki dziecka, na jego śmiertelne cierpienia i wątle jego ciało żywcem odczuwać zaczęło też same katusze, wstrząsać nim jął dreszcz spazmatyczny, czuł, jakgdyby mu się serce rozdarło i wypadła z niego nagle tak długo strzeżona tajemnica.

Uchwycił rękę lekarza.

— To mój syn, panie. Słyszysz pan? To jest mój syn!... Dostaniesz kobiałkę, pełną złota, jeżeli mi go uratujesz!

Lekarz uratował chłopca i otrzymał kobiałkę pełną złota, jak mu to Gregorics w chwili niebezpieczeństwa obiecał. Prawda, że nie doktor sam wybierał tę kobiałkę, ale Gregorics specjalnie upleść ją kazał Słowakowi z Zólyom.

Chłopca uzdrowił lekarz, ale Gregoricsa samego wpędził w nieuleczalną chorobę, zwaną *po-*

dejrzeniem. Duszę jego nurtować zaczęło pewne przeświadczenie, które miało podstawę w fakcie, że choroba dziecka zdradzała objawy otrucia.

Ha, wszak biedny Gregorics stworzony był do tego, aby się ciągle trapił i udręczał. Jakim sposobem stać się to mogło? Czyś ty, dziecino, nie zjadł jakiego grzyba trującego?

Jerzyk potrząsnął głową.

— Nie, ojczulku *bácsi*! Taki był nowy tytuł Gregoricsa (Tytuł „ojczulka” został mu dodany, a dawny „*bácsi*”, nadal zachowany).

Cóż mu więc mogło zaszkodzić? Matka tak samo gubiła się w domysłach. Może to, może tamto? Kto wie czy ocet nie był zepsuty w potrawie. (Cośmy to gotowali tego dnia?...) Albo może rondel miedziany już zbyt dawno nie był pobielany? Gregorics, pełen rozgoryczenia, tylko kiwał głową.

— Nie pleć głupstw, Anko!

Co innego on przeczuwał: nie podzielił się z nikim swoim podejrzeniem, ale ponure to uczucie schwyciło go w swe szpony, czuwało nieuispione w każdej, najtajniejszej myśli, jadł go swoim gnębilo, odbierało mu sen, apetyt. Gregorics rodzeństwo swoje miał na myśli. Ich to ręka. Po spadek drapieźnie wyciągnięta ręka.

Teraz już na zawsze koniec z rojeniami o adoptowaniu chłopca, o daniu mu nazwiska i majątku.

— Nie, nigdy! Syn przyplaciłby to życiem! Zabiliby go, gdyby im na drodze stanął. Otóż usunę im go z drogi.

Drżał o dziecko, a przeto nie śmiał już ujawniać miłości do niego.

Ustanowił nowy porządek rzeczy. Taktykę obronną. A była to taktyka szalona i niemiłosierna. Nakazał ledwie do zdrowia wracającemu chłopcu, ażeby odtąd tytułował go jaśnie panem i nie ważył się go kochać.

— To były tylko żarty,—tłómaczył mu: udawałem tylko, że jestem twoim ojcem. Rozumiesz?

Chłopcu lzy trysnęły z oczu na te twarde słowa.

Stary Gregorics zadrżał: pochylił się, zcałował lzy dziecka i dodał z niezgłębionym smutkiem:

— Nikomu nie mów, że cię całowałem. Dotknęłoby cię wielkie nieszczęście, gdyby się kto o tem dowiedział.

Popadł w istne fiksum na punkcie ostrożności. Kupeczky'ego na stałe do domu przyjął w tym celu, ażeby dniem i nocą dawał baczenie na chłopca i każdego posiłku sam najpierw próbował. Jeżeli się kiedy trafiało, że chłopiec miał wyjść po za zamkniętą zwykle bramę domu, to musiał się najpierw przebrać: zdjąć aksamitne ubranko, w jakim chodził zazwyczaj i lakierowane buciki. Niechaj biega po ulicy nawpół boso, w obszarpanej bluzce i spodenkach (specjalnie na to kupił taki stary, wypłamiony garniturek), — niechaj pytają się po mieście:

— Czyj to ten mały włóczęga?

I niech odpowiadają ci, którzy wiedzą: „to dzieciak kucharki Gregoricsa!”

Wreszcie, ażeby do reszty ukołysać obawy

krewniaków, podjął sięłożyć na kształcenie jednego z synów swej siostry, Maryi, zamężnej Panyóki. Zawiózł go sam do Wiednia, umieścił w Terezyanum, otoczył go pańskim zbytkiem, na stancyi razem z młodymi hrabiczami i książętami. Innym siostrzeńcom swoim także coraz jał okazywać łaskawą pamięć w postaci nadsyłanych podarunków, mniej, lub więcej cennych, tak, że Gregoricsowie, którzy go nigdy nie kochali, zawsze z urągowiskiem tylko mówili o najmłodszym swoim bracie, Pawle, teraz nareszcie zaczęli się z nim jakoś godzić.

— Niezły człowiek,—mówili między sobą,—tylko straszny osioł!

Małego zaś Jerzyka, kiedy podrósł i gdy nadeszła kolej na łacińską szkołę, wysłano w najdalsze strony kraju, do Szegedu, do Kolozsvaru, dokąd nie sięgała już czujność, ani potęga krewniaków. Naówczas zniknął z miasta i Kupeczky, pokryjomu, w wielkiej tajemnicy. Byłby mógł, jako żywo, i z biciem bębnów wyjechać: napewno i piesby się nie zaturbował, dokąd podąża.

Nie ulega kwestyi, iż było dużo przesady w tej całej przezorności, ale taka właśnie krańcowość była podstawowym rysem charakteru Pawła Gregoricsa. Kroczył on zawsze po samych krawędziach ostateczności. Jeżeli oddał się czemu, potrzebującemu odwagi, wówczas zuchwalstwem prześcigał dyabła: kiedy zaś—przeciwnie, opanowała nim trwoga, to z każdego kąta spozierało ku niemu tysiące złowieszczych widm, zionących strachem. Tak samo też krańcową była jego miłość do Jerzyka i krańcową obawa o jego bez-

pieczeństwo: ale temu już nie był winien i nic na to nie mógł poradzić.

Podczas gdy chłopczyzna pięknie się rozwijał i z wybitnem powodzeniem z klasy do klasy przechodził, człowieczek o czerwonym parasolu zaczął zwolna, lecz systematycznie wszystkie po kolei dobra swoje—spieniężać. Powiadał, że właśnie nabył wielki majątek w Czechach i że dlatego sprzedaje dom dochodowy w Wiedniu. Potem znów założył wielką cukrownię, także jakoby w Czechach, skutkiem czego ją szukać nabywcy na folwark privorecki: kupił go niebawem bogaty przemysłowiec z Koszyc. We wszystkim tem było coś, tchnącego tajemniczością, dziwnem niedopowiedzeniem: ze zdumieniem patrzano, że się temu nikłemu, rudemu człowiekowi chce na stare lata takich wielkich zmian podejmować, takie nowe roić plany. Pewnego pięknego dnia przepisał kamienicę w Bystrzycy na imię Anny Wibra. I przy tem wszystkim mały człowieczyna był taki wesoły, żwawy, zadowolony, jak nigdy w życiu. Znów zaczął bywać w towarzystwach, wszystko go interesowało, szczebiotał, starał się podobać, naprzemiany obiadował u swojego roduństwa, często-gęsto sadząc domyślnikami: „Przecież nie zabiorę z sobą tego, co mam, na tamten świat”... Nawet w damskim towarzystwie napowrót gustować zaczął, odnowił stosunki z kobietami, o których względy daremnie się starał, a przytem wszystkim nader często wyjeżdżał—zawsze z wyniszczonym swoim czerwonym parasolem pod pachą, z którym się nie rozstawał nigdy: znikał z horyzontu na tygodnie, nieraz na

miesiące. W mieście nie dziwiło to już nikogo: „Pewno stary wyjechał do swoich majątków w Czechach”.

O tych swoich dobrach czeskich nader skąpo rozmawiał: krewni jego zato z wielkiem zainteresowaniem się do nich odnosili. To ten, to ów ofiarowywał się nieraz pospół z nim tam pojechać, gdyż nigdy jeszcze w Czechach nie bywał, i t. p., ale pan Paweł zawsze jak piskorz umiał się wykręcić i wogóle sam mało zdawał się dbać o te majątki.

Tem łatwiej mu to przychodziło, że jak raz właśnie tyle czeskiej ziemi miał w swem posiadaniu, ile jej kiedyś za paznogciem przywiózł z Karlsbadu, dokąd jeździł leczyć wątrobę. Te majątki w Czechach—jednem słowem—były tylko bajką, wymyśloną dla otumanienia krewnych.

Paweł Gregorics wszystkie swoje włości poprostu—w dosłownem znaczeniu—pospieniężał na monetę, w tym celu, aby tę monetę mógł złożyć w pewnym, upatrzonym banku i dowód na nie ciepłą ręką oddać synowi. Całą schedą chłopca będzie świstek bankowy, kawałek papieru, którego nikt nie dostrzeże, który będzie mógł nosić w kieszeni kamizelki, a dzięki któremu — będzie bogaczem. Gregorics ułożył to sobie istotnie z dużym sprytem. Wyjeżdżał przeto nie do swoich włości w Czechach, tylko do tych miast, gdzie Jerzyk, pod opieką swojego starego mentora, kolejno nauki pobierał.

Były to najszczęśliwsze dni dla Gregoricsa, jedyna jutrenka w jego życiu, gdy wolno mu było kochać swobodnie swoje dziecko, które wy-

rosło na ślicznego, jak promień smukłego studenta, było zawsze „eminencyą”, czyli primusem między kolegami, nie tylko w nauce, ale w równej mierze i charakterem, całem postępowaniem swoim.

Stary nieraz jednym ciągiem całemi tygodniami przebywał w mieście króla Macieja (tak nazywają Szeged), nie mogąc się dosyć naroskoszować Jerzykiem Wibrą. Często można ich było widzieć, spacerujących po wybrzeżu Císsy, i słyszeć, jak we trzech z Kupeczkym gawędzą po słowacku. Na dźwięk tej nieznanej w tamtych stronach mowy, kto żył, oglądał się ze zdziwieniem, którego to z pracowników wieży Babel—o połamanym języku potomkowie?

Podczas tych wycieczek swoich Gregorics cały czas poświęcał wyłącznie synowi, można powiedzieć: nim tylko żył. Gdy zbliżał się koniec ostatniej godziny w szkole, już oczekiwał u bramy gmachu na chłopca, który też, zoczywszy go, z utęsknieniem i miłością do niego wybiegał. Złośliwi koleżkowie, jakich nigdzie nie brak, o łbach do pozłoty, którzy tylko grę w piłkę uważali za cel, godny życia, nie szczędzili mu dokucań o czerwonego człowieczka. Mówili, że ten kusy jegomość—to niewątpliwie sam dyabeł wcielony: on to musi pomagać Jerzykowi w najtrudniejszych zadaniach, on mu cudownym sposobem wlewa do głowy lekcyę, z których ma być wyrwany—takiemu łatwo być eminencyą, primusem! Był jeden smyk między nimi, który zaklinał się na wszystkie świętości, iż wie napewno, że ten tajemniczy stary ma zamiast nóg — kopyta końskie,

o czym każdyby się przekonał, gdyby mu się udało but z tej nogi ściągnąć. Zniszczonemu, czerwonemu parasolowi, który staruszek zawsze miał przy sobie, także przypisywano cudowne jakieś, czarodziejskie właściwości, coś naksztalt mocy lampy Aladdyna. Stefcio Parocsányi, najlepszy deklamator w klasie, napisał nawet zręczny dystych na cześć czerwonego parasola i wiersz ten często z przejęciem interpretowali wszyscy zazdrośnicy dla pogwałcenia pierwszej eminencji. Ale dostał też za to Parocsányi dobre honorarium od Jerzego Wibry: tak tego po łbie, że nosem i ustami „farbil”.

Swoją drogą paniczka Jerzego drażnić trochę zaczął ten wyplamiony sprzęt czerwony, który tak niesprawiedliwie ośmieszał przed całą klasą jego ukochanego „ojczulka-bacsi” — wniósł przeto któregoś dnia do Gregoricsa supplikę:

— Mógłby też „ojczulek-bacsi” kupić sobie już raz nowy parasol.

Stary uśmiechnął się przebiegle.

— Co, to ten nie podoba ci się, mydłku?

— Bo przez niego tylko wyśmiewają się z ojczulka-bácsi, naprawdę! Jeden z uczni nawet wierszem go opisał!

— Powiedz kolegom, mój chłopcze, że nie wszystko jest złotem, co błyszczy: a jeżeli o tem — jak sądzę już wiedzę, to dodaj jeszcze od siebie, kochanku, że za to: to co nie błyszczy — może się stać złotem... Zrozumiesz to kiedyś, gdy przyjdzie czas po temu. Jak dorośniesz.

Zamyślił się chwilę, z roztargnieniem skubiąc metalową sprężynkę u rączki parasola, i dorzucił

po przerwie: „Gdy ten parasol przejdzie w twoje posiadanie”.

Ruchliwą twarzyczkę Jerzyka przebiegł śliczny grymas. Kąciki ust drgnęły hamowanym śmiechem i przymrużył oczy.

— Dziękuję ślicznie ojculkowi-bácsi. Przeczuję, że będę miał z niego prezent na imieniny! Czy tylko nie w miejsce ponny, którego mi przyrzekłeś?...

I parsknął serdecznym śmiechem. Na to stary także śmiać się zaczął, z głębokiem zadowoleniem gładząc cztery-pięć włosków, tworzących jego wąsy. W tym śmiechu jego dźwięczała jakaś dziwna przebiegłość, jakaś głęboka myśl ukryta, jakgdyby się śmiał *na wewnątrz*, do własnej swojej duszy.

— Nie, nie bądź spokojny: ponny swoją drogą dostaniesz. Ale upewniam cię, że i parasol kiedyś na twoją własność przejdzie, a przyda się, przyda—przeciwko deszczom i chmurom...

— Cóż za upór dziwaczny!—pomyślał w duchu Jerzyk. Ci starzy panowie to wcale nie znają miary w przywiązaniu do różnych rupieci i przeceniają ich wartość. Tak samo profesor Havranek, od czterdziestu przeszło lat temperuje pióra i ołówki jednym scyzorykiem, tylko ostrza zmieniał przez ten czas kilka razy...

Aliści zdarzył się pewien epizod, który klina w głowę wbił Jurkowi, tak, że od tej pory już dał spokój wszelkim zamachom przeciwko parasolowi. Popłynęli pewnego dnia na „Żółtą”. Żółta—jest to mała wysepka przy zbiegu Maroszu z Cissą: wyborną rybę w papryce umieją przyrządzać za-

mieszkali tam starzy rybacy. Młodszy z nich nawet już nie umie po łacinie. A jednak jest to jedyna potrawa, do umiejętnego przyrządzania której—niezbędna jest łacina. Tak przynajmniej wyraźnie zaznaczone stoi w słynnych przepisach kuchennych niejakiego Macieja, a w kwintesencji swojej znaczyć ma nieochybnie, iż *kobieta nie umie gotować ryby w papryce*. Albo też może odnosi się poprostu do starej maksymy, jaką szegedyńscy rybacy zawsze przed oczysobie stawiali, odkąd wogóle zaczęto gotować rybę w papryce, iż potrawa ta powinna „*habet saporem, colorem et odorem*” (posiadać smak, kolor i aromat).

Otóż powiadam: wyruszyli na Żółtą Kupeczky, Gregorics i Jerzyk. Kiedy przewoźnicy ich mieli już przybijać do brzegu, nadpłynęła nagle trochę większa fala i silnie przechyliła łódź. Gregorics, który w tej chwili właśnie wstawał, szykując się do wysiadania, zachwiał się, stracił równowagę i padł na dno czołna, w pomieszaniu wypuszczając z ręki parasol, który najspokojniej prosto w wodę wplusnął, i razem z jej biegiem dalej szybko popłynął.

Gregorics wrzasnął: „Gwałtu mój parasoll...” Twarz jego przyoblekła sina bladość, a z oczu wyzierało błędne przerażenie. Dwaj przewoźnicy uśmiechnęli się do siebie: stary Marcin Ordög wytrząsnął fajeczkę dla napelnienia jej nową dawką tytoniu.

— Mniejsza od niego, wielmożny panie. Nie wielka szkoda, już oddawna należało go przywiesić *kukurydziarzowi* do patyka. („Kukurydziarz”—to w gałgany przyobleczone lala, ja-

ką stawiają między kukurydzą dla odstraszenia wróbli).

— Sto reńskich temu, kto go wyratuje! — krzyczał Gregorics w rozpacz.

Przewoźnicy spojrzeli po sobie, zdumieni. Młodszy z nich, Jáncsi Börcsök, zaczął powoli, z wahaniem, buty ściągać.

— Czy wielmożny pan nie żartuje?...

— Patrz, oto jest sto reńskich! — rzekł, iskrą nadziei oddychając Gregorics, i ze skórzanego portfelu wyjął banknot stu guldenowy.

Jáncsi Börcsök, jeden z najlepszych pływaków szegedyńskich, zwrócił się do Kupeczky'ego.

— Czy ten wielmożny pan napewno nie jest waryatem? — zapytał powoli, ze zwykłą swoją flegmą, a parasol tymczasem odpływał coraz dalej, i ledwie już widać było jego czerwień na lustrzanej powierzchni węgierskiego Nilu.

— Ależ nie, napewno nie jest waryatem... uspokoił przewoźnika Kupeczky, którego również w zdumienie wtrącało niewytłomaczone przywiązanie Gregoricsa do starego parasola. — Czyż to warto, *domine spectabilis*, — jał mu przekładać łagodnie: słowo honoru daję, że to jest, w każdym razie, szaleństwo!...

— Prędko, prędko!... dyszał Gregorics.

Jeszcze jedna wątpliwość zaniepokoiła Ján-csego Böresöka.

— Wielmożny panie, a jeżeli ten banknot fałszywy?

— Ależ nie, nie, na wszystkie świętości zaklinam, najprawdziwszy!

Naówczas dopiero Jáncsi Börcsök na dobre

zezul buty, zrzucił bluzę, i w mgnieniu oka już był w wodzie, raźnie, jak żaba płynąc za zmykającym parasolem. Marcin Ördög, do głębi oburzony, krzyknął za nim wściekle:

— Czyś ty oszalał, ośle dardanelski? Co ty wyrabiasz, wracaj! Jáncsil! Utoniesz jak kamień w tej głębinie! Jak można takie głupstwa wyprawiać po próżnicy?

Gregorics w ostatniej pasyi dopadł do niego, uchwycił za szalik na szyi, i co sił dusić go zaczął.

— Umilknij, durniu, bo cię zabiję!... Zginiessz jak pies! Chcesz mię bankrutem zrobić, złodzieju?...

Marcin Örgög przyjmował wymysły i szamotanie z niewzruszonym spokojem.

— Co to wszystko ma znaczyć, wielmożny panie?... Może pan naprawdę udusić mię zamierza? Niechże pan nie zaciskuje tak mocno mojego halsztucha!

— To nie wzbraniaj chłopcu za moim parasolem płynąć!

— Ale bo kiedy kokosz jest od tego, aby wodziła kurczęta, — usprawiedliwiał się Marcin Ördög. Tutaj tuż, blisko jest wir i głębina, przysięgam woda bardzo prędko niesie, chłopak nie doścignie parasola, zaś utonąć może bardzo łatwo. Przysięgam cały ten kram jest po próżnicy, gdyż najdalej za pół godziny parasol sam wróci na drugą stronę wybrzeża „Żółtej”, ponieważ woda opływa naokoło wyspy. Za pół godziny rybacy rozciągną wielką sieć sążnistą, i parasol wielmożnego pana pospółu z dużymi i małymi rybami — jak amen

w pacierzu nie uniknie tej sieci, i będziesz go miał wielmożny panie, choćby go nawet która z większych ryb połknęła... Co najwyżej przyjdzie się może której rybie przetrząsnąć jelita...

Tak się też stało, jak stary rybak mówił: parasol wpadł w sieć, która mu uniemożliwiła dalszą ucieczkę. Trudno opisać radość Gregoricsa gdy oburącz mógł uchwycić swój skarb ulubiony. Dziękując i błogosławiąc, z całego serca wypłacił Jacskowi Börcsök przyrzeczone sto reńskich, nawet pomimo, że to nie on uratował parasol: prócz tego tak hojnie obdarował rybaków, że ci roztrąbili nazajutrz po całym mieście dziwną historię o jakimś starym waryacie, który sto reńskich zapłacił za wyłowienie zniszczonego parasola. Tak pomyślnego połowu nie dała Cissa odkąd świat światem. Ledwie nie popękali z zazdrości inni rybacy, tudzież przekupki na targu.

— Chyba szczerozłotą rączkę miał ten parasol?

— Gdzieżby znów u licha! Drewnianą miał rączkę, zwyczajną.

— To może płótno, którem był kryty, było niezwyklej cienkości?

— Baj baju. Ciekawym, gdzie imość znajdziesz płótno, którego by taki kawałek wart był sto reńskich? Był to najpospolitszy perkal czerwony, i to zniszczony, wyplamiony.

— No, to w takim razie, wszystko co opowiadacie—jest bajką.

— Najprawdziwszą prawdą!

Pan Kupeczky nie mógł wytrzymać i szepnął na boku do Jerzyka:

— Założyłbym się, że staremu pękła jakaś struna w rozumie!

— Dziwne ma czasem kaprysy, to prawda, ale jakież to zacny człowiek, — bronił Gregoricsa Jerzyk. Kto wie jakie wspomnienia ma przywiązane do tego parasola?

Śmierć Pawła Gregoricsa i puścizna po nim.

Wyżej opisane zdarzenie nabrało istotnej treści dopiero znacznie później, po upływie lat wielu, kiedy już wszyscy o niem zapomnieli, kiedy nawet Jerzy już o niem nie pamiętał. Kupeczy'emu naówczas także już nie mogło przyjść na myśl, gdyż na skutek otrzymanej nagle depeszy z Besztercebánya, donoszącej, że Paweł Gregorics umarł, stary mentor z wielkiego wrażenia dostał dreszczy, rozchorował się i musiał iść do łóżka. Łkającemu rzewnie uczniowi rzekł tylko te słowa:

— Umieram, Jurku. Czuję że umieram. Gregorics utrzymywał w mojem ciele duszę. Albo raczej ja sam zatrzymywałem moją duszę tylko dla jego miłości. Lecz teraz opuszczają mię już siły, muszę ją uwolnić. Koniec ze mną. Nie wiem, co się z tobą stanie, biedny chłopcze! Czy też pomyślał o tobie Gregorics? Lecz o mnie zaniedbał pomyśleć... Wszystko nadarmo, czuję, że umieram. Założyłbym się, że umrę!

I byłby wygrał zakład staruszek, ponieważ naprawdę tak przygnębiająco podziałała na

niego wieść o śmierci Gregoricsa, a także i później nadchodzące listy, że już istotnie nie powstał więcej z łóżka. Jerzego, który na pogrzeb Gregoricsa pojechał do domu, w tydzień potem zawiadomiła gospodyni, u której wraz z mentorem mieszkał, żeby przysłali na koszt pogrzebu, gdyż Kupeczky oddał Bogu ducha.

Czem była dla młodego chłopca śmierć Kupeczky'ego w porównaniu ze śmiercią Gregoricsa? Stary mól był już wcale niepotrzebny: dobrze zrobił, że odszedł, nikt już na niego nie zwracał uwagi. Przeniósł się na tamten świat cicho i skromnie, jak przystało,—bo i za życia też nikomu nie zamącał wody.

Był—przestał być: *punctum*. Ale Paweł Gregorics nie zaniechał i umrzeć oryginalnie.

W sam Wielki Czwartek zdarzyło się, że stary około południa uskarżać się zaczął na kurcze żołądka: zbladł, jak prześcieradło i widać było, że cierpi straszne bóleści. Położył się do łóżka i poprosił o gorące kataplazmy na żołądek. Anka co tchu pospieszyła z ratunkiem, dała kataplazmy i poprawiła choremu poduszki. Kurcze żołądka ustąpiły trochę, lecz opanowało chorego wielkie osłabienie, spał aż do wieczora.

Wieczorem otworzył oczy i rzekł do przyjaciółki:

— Daj mi tu, Anko, mój parasol, i podłóż mi go pod głowę. Ot tak, dobrze; jakoś cokolwiek lepiej się czuję.

— Znów zadrzemał odrobinę, lecz po chwili ocknął się ze zmienioną twarzą.

— Straszny miałem sen, Anko! — zawołał.—

Śniło mi się, że jestem koniem, i że mię na targ wyprowadzono. Przyszli moi bracia, moi synowcy i zaczęli się o mnie targować. Ja tylko strzygłem uszami, bacząc, który mię nabędzie. Najstarszy mój brat, Boldizsár, zajrzał mi do pyska, zbadał zęby, i rzekł: „Już do niczego; conajwyżej na skórę się przyda, wart pięć reńskich”. Kiedy się targują o mnie, aż tu nadchodzi jakiś ktoś obcy z kosą w ręku i klepie mię po łopatkach. Oh, dotąd mnie bołą jeszcze boki od tego klepania. Czuję, Anko, jakgdyby mię dotąd jeszcze uderzał... „Koń do mnie należy—zawołał—ja go nabywam!” Spojrzałem bacznie na osobnika z kosą i poznałem, że to śmierć. „Ale uzdy nie dam”—upierał się poprzedni mój właściciel. „Mniejsza o to—zgodził się osobnik z kosą—przyniosę zaraz inną uzdeczkę z sąsiedniego sklepu, poczekajcie na mnie, za chwilę powrócę”. Z tem się obudziłem, Anko. Okropne!

Rude kosmyki jego włosów stały dęba, a po skroniach spływał pot kroplisty. Anka troskliwie obcierała go chustką.

— Glupstwo, dobrodzieju, „sen mara, Bóg wiara!” Sny idą z żołądka, nie z nieba.

— Nie, nie—jęczał chory.—Czuję, że koniec nadszedł, czuję. Mam tylko tyle czasu, Anko, dopóki on tej uzdy nie przyniesie. Nie pocieszaj mnie, wiesz, że nie znoszę próżnego świergotania, tylko dawaj mi prędko pióro, atrament i papier, depeszę muszę napisać do chłopca, do Jerzego, aby przyjeżdżał conajrychlej. Doczekam się przyjazdu dziecka. Muszę go doczekać!

Przysunięto mu stolik do łóżka; z nadludzkim

wysilkim, spiesząc się gorączkowo, skreślił kilka wyrazów: „Przybywaj niezwłocznie, ojczonek-básci umiera, pragnie ci coś doręczyć. Matka”.

— Niech służący pędzi z tem co tchu!

Nie miał chwili spokoju, dopóki służący nie wrócił. Co minuta zapytywał, czy go jeszcze nie ma. Wrócił nareszcie, ale ze złą wiadomością. Biuro telegrafu już zamknięte, nie dało się wysłać depeszy.

— No, trudno, jutro ją wyślemy. Panu się tylko zdaje, że jest tak źle, to przesada. Ale jest okropnie zdenerwowany i nie można go drażnić, więc trzeba mu powiedzieć, że depesza wysłana.

Kłamstwo to zupełnie uspokoiło chorego, zrobiło mu się dobrze i błogo. Zaczął sobie wyliczać na kiedy może się spodziewać syna. Pojutrze w południe napewno już będzie.

Spokojnie przespał całą noc, rano wstał, ubrał się: był bardzo blady, bardzo osłabiony, ale kręcił się, chodził, szperał w szufladach biurka, między staremi pamiątkami. Anka, patrząc na to, pomyślała w duchu: „Zbyteczną jest rzeczą wysłać depeszę, i chłopca darmo niepokoić. Nic mu nie będzie, już dzisiaj jest lepiej, za kilka dni sam zapomni o tem”.

Cały dzień laził tu, owdzie, wszędzie zaglądał, a po południu zamknął się w swojej kancelaryi, wypił lampkę tokaju i ciągle coś pisał. Anka raz jeden tylko zajrzała do niego z pytaniem, czy mu czego nie trzeba.

— Nie, nic mi nie potrzeba.

— Nic dobrodzieja nie boli?

— Bok mię boli. Boli mię to miejsce, gdzie

to widmo z kosą klepało mię we śnie. Ból ten tkwi wewnątrz, głęboko.

— I bardzo boli?

— Bardzo.

— Może posłać po doktora?

— Nie trzeba.

Pod wieczór kazał przyzwać rejenta miejscowego, pana Jana Sztolarika. Gdy ten przyszedł, wpadł w wyśmienity humor, nawet śmiał się głośno. Wskazał mu fotel, a Ance polecił przynieść butelkę tokaju.

— Tego nam przynieś, z lutowego zbioru, Anko!

Miał to wino jeszcze po ojcu, sławnym kupcu wina, a pochodziło ono z tego pamiętnego roku, kiedy dwa święta zbiorów obchodzono w Tokaju: w lutym i w październiku. Tylko królowie taki nektar pijają.

„Lutowy zbiór” pochodził z winogrodu, pozostałego na pniu aż do wiosny, skutkiem tego, że zima w uprzednim roku zaskoczyła roboty w polu nienormalnie wcześnie. Można sobie wyobrazić jak oryginalny i tęgi smak posiadać musiał sok popękanych, tak długo wystających jagód. Nieboszczyk Gregorics zwykł był wino to nazywać „*Lebensretter*”, nieraz dodając z zachwytem: „Gdyby samobójca w ostatniej chwili wychylił łyk tej ambrozyi—jeżeli bezzenny—pobiegłby po dziewosłęba, jeżeli żonaty—do konsystorza!” (Znaczyło, że chciałby się ożenić, albo rozwieść, ale nigdy zabić).

Trącił się z gościem kosztowną esencją i mlasnął językiem.

— Piekielnie dobre. Wino to pił mój ojciec w dzień moich urodzin. Wtedy był początek; dzisiaj ja koniec nim przygwazdzam.

Tręcili się ponownie. Rejentowi także smakował nektar, Gregorics wyjął z kieszeni zapieczętowaną paczkę papierów.

— Oto jest mój testament, panie Sztolarik. Dlatego pozwoliłem sobie pana zawezwać, aby mu go do rąk własnych ośobiście oddać, dla przechowania do właściwej pory.

Zatarł ręce i zaśmiał się.

— Znajdzie się tam niejedna rzecz dziwna.

— Zawczasie jeszcze, szanowny panie, zawczasie — mówił pan Sztolarik, przyjmując pakiet. — Po co się pan tak spieszysz?

Gregorics uśmiechnął się blado.

— To już ja lepiej wiem od pana, panie Sztolarik. Ale wypij pan jeszcze lampeczkę, wypij, proszę. Nie mówmy o śmierci. Ona się teraz targuje o uzdę. O wiele bardziej zajmującym jest to, panie Sztolarik, w jaki sposób mój ojciec doszedł do takiego wina. Ciekawa to historia.

— Radbym ją słyszeć, panie Gregorics, jeżeli można.

— Naturalnie. Oh, mój ojciec był chytry i przebiegły mądrała, jakich mało. Gdzie nie mógł dojść prostą drogą, zawsze umiał znaleźć podstęp. Coś z tej umiejętności i ja po nim odziedziczyłem, ale to nie to, hoho, gdzie mnie do niego! Zresztą — nie o tem teraz mowa. W Zemplén mieszkał wielki nabab, ogromnie, przeogromnie bogaty hrabia, który przy tem wszystkim był jeszcze większym osłem. To jest wła-

ściwie, chciałem powiedzieć, że był człowiekiem o bardzo dobrym sercu: lubił innym robić dobrze. I toteż dlatego był tak wielkim osłem. Ojciec zwykł był u niego robić zakupy wina; za każdym razem, gdy dobili targu, hrabia częstował ojca lilipucim kieliszkiem tego właśnie nektaru, który teraz pijemy. Jako namiętny amator swojego zawodu — handlu winem — ojciec wciąż molestował hrabiego, aby mu sprzedał tego wina, chociaż ze dwa wiaderka, lecz hrabia nie chciał ani słuchać o tem. „Na takie kupno samemu cesarzowi Franciszkowi nie starczyłoby pieniędzy!” Otóż pewnego razu, gdy właśnie tego rodzaju toast wychylali tym „*lebensretterem*”, mój ojciec nieboszyk jął ocierać oczy i wzdychać: „Cóż to za wzniosła wilż, co za skarb nieoceniony! Oh, gdyby biedna, chora moja żona bodaj przez jakie dwa tygodnie, choć po naparstku na dzień mogła popijać tej zbawiennej cieczy, pewien jestem, iż przyszlaby do zdrowia!” Słowa te rozczuliły hrabiego; kazał zawołać mistrza swej piwnicy, podчасzego, i rozkazał: „Napełnijcie *kulács**) pana Gregoricsa *lebensretterem*“. Dobrze. W kilka dni potem przyjechali do hrabiego goście, piękne damy z *high-life*'u, hrabia chciał ich poczęstować swoją niezrównaną, czarodziejską ambrozyą,—a tu podczaszy oznajmia: „Wina tego nie posiadamy już ani kropelki.” „Co się z niem stało?!...” — krzyknął hrabia, zrywając się w przerażeniu. „Zmie-

*) *Kulács* — rodzaj drewnianej butelki, ma kształt koła, wydrążonego wewnątrz, u góry szyjkę, u dołu — podstawę. (*Przyp. tt.*).

ściło się wszystko w kulács pana Gregoricsa,—nawet nie dosięgło szyjki!” Okazało się, że mój stary specjalnie obstalował u tokarza Pivárka kulács objętości trzech wiader (żyje do dzisiaj ten Pivák, i doskonale to pamięta); kulács ten przywiózł następnie do Zemplénu na osobnym, wynajętym wózku i w taki oto sposób doszedł do posiadania tego wybornego wina. No, czyż nie prawda, że napój ten nie ma sobie równego? Wypij pan na drogę, panie Sztolarik, jeszcze kieliszeczek!

Ledwie rejent odszedł, Gregorics kazał do siebie przywołać służącego, Maćka.

— Biegnij natychmiast do kotlarza i kup u niego duży kocioł. Potem wyszukaj mi za jaką-bądź cenę dwóch murarzy, i przyprowadź mi ich tutaj. Tylko pamiętaj trzymać język za zębami, za żadne skarby świata nic o tem nikomu nie mów.

Cóż, kiedy to właśnie było słabą stroną Maćka. Jeszcze, żeby pan chociaż nie był tak surowo przykazywał milczenia! Byłoby może trochę łatwiej milczyć...

— Spiesz i bezzwłocznie załatwiał co kazałem! Na jednej nodze!

Jeszcze przed zapadnięciem zupełnego zmierzchu, przynieśli kocioł, przyszli murarze.

Paweł Gregorics przyjął majstrów w najdalszym pokoju, i starannie drzwi za nimi zamknął.

— Czy umiecie milczyć?

Murarze spojrzeli po sobie, pomyśleli chwilę, w końcu starszy odparł:

— Milczyć człowiek potrafi, czego najlep-

szym dowodem, że od milczenia zaczyna, skoro się narodzi.

— Tak, wtedy mu nie trudno milczyć, ale za to jak się rozgada...

— To i wtedy może umiałby pary z ust nie dobyć, o ileby mu się to opłaciło — mruknął pod nosem młodszy murarz.

— Otóż tym razem się opłaci. Po pięćdziesiąt reńskich dostaniecie obydwaj, jeżeli dziś nocą wyłobicie w murze taką wnękę, żeby się w nią duży kocioł zmieścił i potem wnękę tę zamurujecie tak, żeby nikt znać nie było.

— Tylko tyle?

— Tak jest, tylko tyle. I odtąd co rok po pięćdziesiąt reńskich będzie otrzymywał jeden i drugi od pana tego domu, dopóki będziecie umieli milczyć.

Murarze znów spojrzeli po sobie, i starszy odparł:

— Dobrze, zgoda. Gdzie mamy to robić?

— Zaraz was zaprowadzę.

Gregorics zdjął z gwoźdźnia duży, zardzewiały klucz, poczem, przodem puszczając murarzy, wyszedł z nimi na podwórze, ale ciężko mu było iść.

— Proszę za mną.

Poszli aż na sam koniec ogrodu. Tam, za parkanem, rozpoczynał się „Libanon”: mały domek murowany z dwiema morgami gruntu, użytego całkowicie pod sad jabłczany. Rosnące tu jabłonie wydawały owoc o cudnym aromacie. Dla tych to jabłek nabył Gregorics ten sad i ten domek od wdowy po pastorze, i odrazu ofiarował go Jerzykowi, z uwzględnieniem wszelkich form

prawnych, przepisując go na jego imię. Tam właśnie mieszkał Jerzyk razem z Kupeczkim, dopóki przebywał w domu; odkąd wyjechał—domek stał pustką.

Do tego to domku powiódł Gregorics murarzy i pokazawszy im miejsce w murowanej ścianie, gdzie życzył sobie, aby wybrali niszę, zostawił ich przy robocie, nakazując, żeby mu zaraz dali znać, gdy będzie gotowa, to wówczas dopiero zabiorą kocioł i przyjdą tutaj z nim razem, gdyż sam chce być obecny przy tem, jak to będą robili, aż do samego końca.

Okolo północy luka była gotowa. Murarze przyszli pod okno Gregoricsa i zapukali. Otworzył im i wpuścił ich do pokoju. Kocioł stał już przygotowany na środku pokoju: napełniony poprzęgi—niby to żużlami i popiołem, ale tak ciężki, że dwaj murarze ledwie go zdołali udźwignąć. Było w nim—co było.

Gregorics noga w nogę szedł za niosącymi. Na krok ich nie odstępował i nie odszedł od nich, dopóki nie zamurowali wnęki, i porządnie jej nie zagipsowali.

— Jak jaśnie pan jutro pobielic to każe — pojutrze i sam dyabeł tego miejsca nie rozpozna.

— Zadowolony z was jestem, — rzekł Paweł Gregorics i wypłacił im obiecaną sumę.

— Teraz możecie już odejść.

Starszy z murarzy wydawał się cokolwiek zdziwiony, że go z taką łatwością z tych miejsc wypuszczają.

— Za dawnych czasów trochę inaczej tego rodzaju rzeczy urządzano, — rzekł żartem, ale jak

gdyby z cieniem lekceważenia. Czytałem nieraz opisy i słyszałem opowiadania o takich zdarzeniach. Za dawnych lat—to zwykle wykałano oczy murarzom, do takiej roboty użytym... w tym celu żeby nawet oni sami już nigdy do tego miejsca nie umieli trafić. Prawda, że też dostawali za to nie pięćdziesiąt reńskich, ale sto razy tyle.

— Wiadomo, za dawnych, dobrych czasów inaczej było na świecie! — westchnął zazdrośnie młodszy.

Paweł Gregorics nie wdawał się już z nimi w gawędy, zamknął za odchodzącymi ciężkie drzwi dębowe domku i odszedł do siebie na spoczynek.

Nad ranem zbudziły go znów kurcze żołądka, silniejsze jeszcze, niż przedtem: ryczał z bólu, trudno opisać, jak cierpiał. Krople zakonników i przyłożony do żołądka gorący kompres z gorczycy—zaledwie lekką, chwilową przyniosły mu ulgę. Osłabł zupełnie, a w orbitach oczu wystąpiły mu ciemne koła, niby cień jakiś upiorny. Stękał, jęczał, syczał, mimo to co raz były chwile, że okazywał zainteresowanie postronnemi sprawami.

— Aby dobry obiad przygotuj, Anko, smaczny obiad. Zrób drożdżowy rogal z makiem, bo nasz chłopak w południe przyjedzie!

W pół godziny potem znów zaczepił Ankę.

— Ale ten rogal makowy, Anko, niech będzie z miodem, bo nasz chłopak tak lubi!

Sam nic jeść nie chciał, tylko ciągle popijał kwaskowatą wodę mineralną; czasem całą bu-

telkę naraz wychylał. Smakowała mu ogromnie, musiał mieć silną gorączkę wewnętrzną.

Około południa wzmogły się boleści i ukazał się krwotok. Anka przerażona, uderzyła w lament. Zaczęła pytać, prosić, czy chory nie pozwoli posłać po księdza, albo po doktora?

Gregorics potrząsnął głową.

— Nie, nie trzeba. Ja już jestem gotów. Wszystko w porządku. Czekam jeszcze tylko na naszego chłopca. Która teraz godzina?

Jakby w odpowiedzi rozległ się dzwon katedralnego kościoła, głoszący południe.

O tej porze przybywa karetka pocztowa z podróżnymi.

— Biegnij po Maćka, niech stoi przed bramą i czeka na Jurka, niech mu walizkę wniesie!

Anka ręce łamała z rozpacz. Czyż ma wyznać, że nie wyprawiła depeszy po syna?... Boże! jak on go czeka i pragnie!

Nie śmiała się przyznać do swej wielkiej winy i postanowiła w dalszym ciągu konsekwentnie trwać w udawaniu, upewniła przeto Gregoricsa, że dobrze, wyśle Macieja przed bramę.

Ale chory niecierpliwił się coraz bardziej.

— Wynieś róg Maciejowi, Anko. (Na ścianie wisiał olbrzymi róg jeleni na zielonym sznurze). Skoro tylko ujrzy zdaleka naszego chłopca, niech w tej chwili w róg zadmie, abym już wcześniej wiedział, że nadchodzi.

Więc naturalnie musiała Anka i róg zdjąć z haka i wynieść go według rozkazu, ale teraz to już całkiem odeszła ją odwaga wyznania prawdy.

Od tej chwili chory umilkł: przestał jęczyć,

sykać, krzyczeć, tylko cały zamienił się w słuch; co raz unosił głowę z poduszek, nasłuchując bacznie, i gładząc ręką tuż przy twarzy leżący, czerwony, wyniszczony parasol, jakgdyby mu to jedno pewną ulgę przynosiło.

— Otwórz okno, Anko, żebym łatwiej mógł usłyszeć, jak Maciek w róg zadmie!

Przez uchylone okno wkradł się promień słońca, a lekki powiew wiatru napędził do pokoju zapach rozwijających się akacji.

Gregorics pełną piersią jął wdychać miłą woń, a ten promień słońca i ta akacja raz jeszcze rozbudziła w jego duszy z dawien dawna stępniałe i zapomniane uczucia.

— Pogłaszcz mnie w czoło, Anko, — wyjękował ledwie dosłyszalnym głosem — niechaj chociaż raz jeszcze uczuję pieśczętę kobiecej ręki!

Przymknął oczy, Anka zaczęła muskać dłońią jego skronie. Widoczną przyjemność mu sprawiało, że ktoś ma w czulej pieczy jego głowę. Mimo to nie wystąpiła na czoło ani odrobina ciepła: pozostało zimne i suche zupełnie, skóra utraciła już wilgotną elastyczność, zdawało się, iż możnaby ją na pył, na próchno zetrzyść.

Po chwili chory westchnął.

— Dziwnie ostre masz ręce, nie mają nic miękkości!... Stwardniały ci dłonie, Anko!

Potem zaś dodał:

— Ale nasz chłopczyna ma miękkie ręce, i takie ciepłe!...

Uśmiechnął się blado i znów otworzył oczy.

— Nic nie słyszałaś?... Pst! Coś jakby odgłos rogu?...

— Nie zdaje mi się... ja nic nie słyszałam.

Gregorics z rozdrażnieniem wskazał ręką ku sąsiedniemu pokojowi:

— To ten zegar nieznośny tak tykoce... przeszkadza mi ten hałas, denerwuje. Zatrzymaj go, Anko, prędko, prędko...

W przyległym pokoju starożytny zegar stał na szczycie szafy. Piękny był to antyk, jeszcze ojciec Gregoricsa go nabył, gdy licytowano w Gömör jednego z Szentivanyi'ch. Wyobrażał on wielki jakiś przedsiónek z hebanu, podparty dwiema alabastrowymi kolumnami; w głębi widać było złocistą baryerę od schodów, a w pośrodku wahało się ze strony na stronę skrzydlate koło, niby oko słońca, wydając stłumione, metalicznie dźwięczne „tik-tak”.

Anka stanęła na krześle, aby zatrzymać mechaniczny ruch skrzydlatego koła.

W tejże samej chwili, w ciszy, jaka raptem nastąpiła, przeszył powietrze chrapliwy krzyk, i potem jakiś splątany, nieartykułowany belkot, w którym jednak wprawne ucho mogło się domyśleć czegoś naksztalt: „Słyszę! słyszę dźwięk rogu”... Potem znów rozległ się taki sam krzyk, jak przedtem, i łoskot spadającego ciężaru.

Anka jednym skokiem była w sypialni. Ale już cicho tam było: tylko łóżko ujrzała całe we krwi, a Gregorics leżał martwy, blady, ze stężałemi, otwartemi oczami. Jedną ręką zwisała bezwładnie, trzymając w kurczowo zaciśniętych palcach — parasol.

Taki był koniec biednego Pawła Gregoricsa.

Wieść o śmierci jego prędko dosięgła krew-
nych i sąsiadów. Lekarz miejscowy osądził, że
przyczyną katastrofy była choroba żołądka. Roz-
prawiał o tem dużo, ubarwiając rzecz swoją łaciń-
skimi terminami; według niego przedziurawiła
się nieboszczykowi jedna ze ścianek żołądka,
ząd pochodził krwotok. Gdyby go byli wcześniej
zawezwali do chorego, byłby go mógł uratować.
Starszy brat Gregoricsa, Boldzizsór, przybył naj-
pierwszy, niedługo potem drugi z rzędu, Kacper
ze wszystkimi dziećmi. Przeciwnie pani Panyóki
(Esmeralda Gregoricsówna z domu), najstarsza
z całego przyrodniego rodzeństwa, która lato zaw-
sze na wsi spędzała, dopiero przed samym wie-
czorem, otrzymawszy wieść żałobną, popadła
w prawdziwą, nieutuloną rozpacz:

— Oto cios, oto cios mię spotkał, że go
Bóg latem do siebie powołał! A tak się zawsze
modliłam, żeby aby zimową porą umarł, nie la-
tem, to musiał koniecznie podczas lata umrzeć!
I czy się to opłaci modlić w dzisiejszych cza-
sach?... Boże mój, jakież to nieszczęście... Ci
dwaj złodzieje wszystko zagrabiają; zanim ja przy-
jadę.

Kazała co tchu zaprzęgać, gnać konie, oma-
ło że nie popadały, i przybyła już późną nocą,
gdy Boldzisar i Kacper istotnie wszystko już zba-
dali, przetrząsnęli, całe rządy przejęli w swoje rę-
ce, nawet Ankę na cztery wiatry przegnali. Da-
remnie broniło się strapione biedactwo, w słusz-
nem poczuciu praw swoich, że przecież ten dom
do niej należy, na jej imię jest zapisany, że ona
tu jest panią.



— Puste ściany, owszem, puste ściany asińdźce!—odparł na to pan Kacper. Tych nikt ztąd nie zabierze. Ale wszystko, co tu jest—to nasze! Nieczysta niewiasto złych obyczajów! nie masz tu co robić. Fora za dwora!

Pan Kacper o skąpej kieszeni, a za to bardzo hojnej wymowie zbyt trudnym do zwalczenia był przeciwnikiem, aby Anna miała odwagę występować z nim do utarczki, płacząc więc tylko, płacząc nieustannie, wzięła chustkę, skrzynię i inne rupiecie i przeniosła się tymczasem do Maćkowej matki; wpierw jednak bezczelni Gregoricsie przetrząsnęli każdą szmatkę z jej rzeczy, dla zrewidowania, czy nie przekrada wśród nich, jakich skarbów, klejnotów, książeczek oszczędnościowych, lub czego innego takiego.

Na trzeci dzień po fakcie pochowano Pawła Gregoricsa. Pogrzeb był bardzo skromny, nawet wprost — ubogi. Nikt nie płakał, oprócz biednej Anki, która się jednak obawiała iść blisko trumny, żeby się nie narazić złym krewnym: widać ją było tylko gdzieś zdaleka, tonącą we łzach. Syn nie przyjechał z Szegedu. (I lepiej, że się spóźnił, bo ci wielcy państwo byliby go psami wyszczuli z podwórza.) Ale pomimo, że się Anka tak na uboczu trzymała, to jednak wszystkich oczy były na nią zwrócone: nie było nikogo, ktoby jej nie dostrzegał. Wielki, pański dwór Gregoricsa, który jej przypadł w udziale, czynił ją jeszcze tembardziej interesującą: i gdy się trafiło, że upuściła niechcący przemokłą od łez chusteczkę, wszyscy obecni wdowcy (wśród nich jeden członek rady)—rzucili się żwawo, ażeby ją podnieść.

Ta chusteczka, która tak niewinnie upadła, najwymowniejszym była probierzem, jak wysoko z dniem dzisiejszym podniosła się jej pani...

Na trzeci dzień potem zebrała się cała rodzina u rejenta Sztolarika, dla otworzenia testamentu. A był on—jak to łatwo było przewidzieć—trochę oryginalny, ten testament.

Przedewszystkiem zapisał stary dwa tysiące reńskich dla węgierskiej Akademii Umiejętności.

Następnie wszystkim tym paniom, z którymi swojego czasu łączyła go bliższa znajomość, u których bywał, albo o które swojego czasu się starał, zapisał każdej po dwa tysiące reńskich. Takich pań wyliczył z imienia i nazwiska dziewięć, zapisaną zaś sumę w kwocie dwudziestu tysięcy reńskich dołączył gotówką do testamentu, powierzając rejentowi Sztolarikowi ich podział.

Krewniacy z zapartym w piersiach oddechem słuchali punktów testamentu. Brat Boldizsár — czasem nawet i Kasper, skinieniem głowy oznajmiali, że akceptują to, lub owo, że chętnie aprobowują wolę testatora, czasem nawet głośno objawiali uznanie:

— No—słusznie!

— Może i słusznie.

— Bóg z nim.

— Dobrze zrobił.

Tylko pani Panyóki zarżała zgryźliwym śmiechem, gdy rozbrzmiały nazwiska dziewięciu szczęśliwych sukceserek.

— Ha—no! Osobliwe... osobliwe!...

Brat Boldizsár, uważając, że nie warto się zatrzymywać nad takimi drobiazgami (wszak

przez całe życie ten biedny Paweł nieboszczyk objawiał skłonność do bzika), wielkodusznie skinął ręką, wołając:

— Racz pan dalej czytać, łaskawy rejencie! Rejent odparł krótko:

— Już niema nic dalej.

Zabrzmiiał krótki, przeszywający okrzyk zdumienia.

— To niepodobna!

Rejent wzruszył ramieniem.

— A jednak ani litery więcej niema.

— Gdzież reszta majątku?... A posiadłości w Czechach?

— Tem nie rozporządził. Ja wszakże tyle tylko mogę przeczytać, ile stoi napisano. Chyba zgodzicie się na to, panowie.

— Nie do pojęcia! — wykrztusił Kacper Gregorics.

— W tem wszystkim to jest najdziwniejsze—mówił Boldizsár,—że nie wspomniał ani słówkiem o swojej kucharce, ani o tym smyku... a przecież cały świat dobrze wiedział, co się tam między nimi święciło.

— Rzec niezawodna, — przyświadczył Kacper.—W tem się kryje coś zajmującego.

Rejent starał się ich uspokoić.

— Dla panów przecież jest to wszystko jedno. Cała przewyżka sum, wymienionych w testamentie bez żadnej kwestyi należy się rodzinie.

— No tak, tak, rzecz wiadoma—mówił Kacpar—o ile mowa o nieruchomościach. Ale gdzie gotówka? Bo nieboszczyk musiał mieć dużo

bardzo dużo gotówki pod ręką. To jest rzecz pewna. Gdzie ona jest? Co się z nią stało?...

Pani Panyóki milczała, tylko pełnemi podejrzenia oczyma mierzyła to jednego to drugiego brata.

Pogrom Gregoricsów.

Treść testamentu Gregoricsa wyparowała niebawem przed szerszy ogół i wywołała niebotyczne zgorszenie w pełnych prostoty, patryarchalnych salonach pobożnej naszej prowincyi, gdzie nad starym wiśniowym klawikordem wisi sztych, przedstawiający: „Wycieczkę Mikołaja Zrinyi’ego z oblężonego Szigetu“, na stoliczku, przyobleczonej nieskazitelnej czystości serwetką szydelkową, stoi z Piszczan przywieziony, olbrzymi kielich, z wrytymi widokami tamtejszych zakładów kąpielowych, a w nim kwitnie i wonieje prześliczny pąk bzu białego.

W tych miniaturowych przemilych salonikach pienilo się, wrzało od dysput.

— To jednak okropność, co ten Gregorics uczynił! On nigdy nie miał taktu. Ale żeby nawet po śmierci tak skompromitować szanowne, czcigodne damy z towarzystwa, z których niejedną zdobi szwizna, a większość z nich wnuczęta kołysze,—to jest poprostu rzecz niesłychana.

Dziwięć sukcesorek stało jak pod pręgierzem moralnym. Całe miasto tylko o nich mówiło, z ust do ust podawano sobie ich nazwiska,

i jeżeli większość ganiła Gregoricsa, to jednak trafiali się i tacy, którzy innego byli zdania:

— W każdym razie, licho wie, co tam między nimi kiedyś było. To musiał być dyabeł, ten Gregorics, za młodu!...

Nawet ci, którzy bezwzględnie potępiali Gregoricsa, jednak rozumowali w następujący sposób: w każdym razie jakaś tam przyjaźń musiała istnieć między nimi, skoro o nich pamiętał; ale, bądź co bądź postępek taki wcale nie jest *gentlemanlike*, nawet jeżelibyśmy coś najgorszego poważili się przypuścić... Ale natenczas byłoby to zaprawdę jeszcze gorszym nietaktem.

— Jest to taki kawał, — mówił, unosząc się irytacją miejscowy wice-notaryusz (Vertany Michał), — za jaki należałoby go kulami wystrzelać z kasyna... to jest byłoby należało. Czyli, chcę powiedzieć: byłibyśmy go stanowczo wystrzelali, gdyby żył. A i tak choć umarł, to, jak mię tu żywego widzicie, jeżeliby się ktoś poważił na kamieniu grobowym mu napisać, że był szlachetnym człowiekiem, to własnym scyzorykiem napis ten — wyskrobie!

Naczelnik miejscowego archiwum, który jednocześnie piastował urząd naczelnika straży ogniowej i w sprawach honorowych zabierał głos, jako ekspert zawołany, był w tym wypadku wręcz przeciwnego zdania.

— Bufonada to wszystko: zwyczajna bufonada. Co tu kobiety? Kobiet to nic nie dotyczy. Kobiety, jako takie, liczą się tylko do trzydziestego roku życia. Te zaś matrony — wszystko jedno, jakgdyby po dziewięćdziesiąt lat miały. Co im już

dzisiaj szkodzi odrobina niedyskrecyi, albo choćby i oszczerstwo! Na zardzewiałem ostrzu [nie zostawia śladu chuchnięcia. Liszki tylko z takich drzew zbierają ogrodnicy, które mają liście, kwiaty, albo z których się jeszcze spodziewają owocu. Na drzewach uschniętych pozostawiają je w spokoju. Tutaj rzecz inna gra rolę: nie kobiety, ale mężów poobrażał Gregorics. Popelnił czyn niski, albowiem podłością jest, jeżeli pozwala sobie obrażać innych ktoś taki, kto nie jest zdolny za swój postępек dać zadośćuczynienia. Gregorics zaś—stanowczo ośmielam się twierdzić, żadnej już teraz satysfakcyi nikomu dać nie jest w stanie. I oto właśnie punkt, przeciwko któremu skrewił.

Samo rodzeństwo Gregoricsa, po głębszym namyśle, głośny skandal jęło po całym mieście podnosić, ośmieszając i niegodnie szykanując dziewięć „muz“ zgasłego brata, skutkiem czego zaraz następnego rana w kancelaryi rejenta Sztolarika pojawił się pan Stefan Vozáry, którego żona także stała na liście sukcesorek i oznajmił uroczyście, iż żona jego nie przyjmuje zapisanych dwóch tysięcy reńskich, jako że nigdy nie miała stosunków z tym bezczelnym Gregoricsem. Gdy się zaś i o tem wieść, jak na skrzydłach niosła, stawilo się u Sztolarika rzędem wszystkie ośm pozostałych dam, upewniając, że i one nie miały bliższej znajomości z Gregoricsem, że zatem tak samo zrzekają się zapisanej im sumy. Pan Sztolarik już od dawien dawna nie miał takiego używania, jak tego dnia, gdyż, zaprawdę, przezabawny był widok tych pomarszczonych, siwych, bezzębnych damulek, jak rumieniąc się i sznurując

po pensyonarsku usta, usilowały dawać świadectwo swojej, nie napastowanej już przez nikogo cnocie.

Dzień ten w każdym razie jeszcze przyjemniejszym był dla rodziny Gregoricsów, skutkiem tych zrzeczeń — im bowiem dostała się dwudziestotysięczna kwota, dołączona do testamentu, — t. j. oczywiście z wyjątkiem dwóch tysięcy, zapisanych dla Akademii—których się ta ostatnia jakoś nie zrzekła, aczkolwiek z nieboszczykiem także żadnych stosunków nie utrzymywała. Lecz Akademia Umiejętności, dziesiąta, nadetatowa „muza“, nie czuła się jakoś w potrzebie być tak wstydliwą, jak poprzednie dziewięć.

Aliści niedługo trwała radość rodzeństwa Gregoricsów: niebawem przyszło im uderzyć w ton całkiem minorowy. Nigdzie śladu nie mogli znaleźć dóbr, rzekomo znajdujących się w Czechach. Pan Kacper osobiście pojechał do Złotej Pragi, i śledził, nurkował—wszystko nadaremnie. W domu także zdumienie ich brało, że nigdzie nie mogli znaleźć ani śladu jakichbądź dowodów posiadania poszukiwanych majątków: ani jednego dokumentu, ani najmniejszego świstka, w którymby o nich była mowa! Żeby choć list jaki, jakie rachunki, nadesłane przez dzierżawcę, czy administratora. Nie do pojęcia. Gubili się w domysłach. Boldizsár przeklinał: jeszcze się nic podobnego nie trafiło na świecie. Pan Sztolarik z humorystycznej strony rzecz ujmował.

— Jest to napewno sprawka tego waryackiego morza, które Szekspir w Czechach umieścił. Ono to, widocznie, pochłonęło włości Gregoricsa.

Zawiedzeni spadkobiercy kipieli złością, wściekali się, kryminałem grozili Ance i Maćkowi jeżeli dobrowolnie nie zeznają, w których stronach Czech leżą poszukiwane majątki. Wreszcie zawezwano przed sąd tych dwoje domowników nieboszczyka i przesłuchani zostali pod przysięgą. Niepodobna, żeby Maciek nic o tem nie wiedział, kiedy on to przecież towarzyszył swemu panu w wycieczkach do Czech.

Więc Maciek natenczas zmuszony był zeznać, że nieboszczyk pan jego tylko tutaj w domu rozgłaszał, iż do Czech wyjeżdża, w rzeczy zaś samej jeździł wtedy zwykle do Szegedu, lub Kolozsváru, tam, gdzie przebywał paniczek Jerzy.

Ach, zdrajca Paweł Gregorics!... Jak on umiejętnie otumaniał swoich biednych krewnych!

Nie trudno było teraz zrozumieć nad czem tak głowę łamał stary nicpoń (i cóż mu teraz za to kto zrobi?), i dlaczego tak chyłkiem pospieszał wszystkie nieruchomości. Rzecz jasna, że to temu podrzutkowi swemu chciał dać do ręki całą wartość dochodowego domu w Wiedniu i wszystkich majątków ziemskich.

Ale czy faktycznie doprowadził swój zamiar do skutku? Takiemu smarkaczowi setki tysięcy miałby powierzyć? Gdzież je więc schował? Komu oddał? Oto była wielka zagadka, za której odkryciem węszyli Gregoricsowie. Rejent, który ostatni rozmawiał z nieboszczykiem o interesach, twierdził stanowczo, że ten ani słowem mu nie wspominał o żadnych kapitałach. Anna ze swej strony na wszystkie świętości się zaklinała, że ani jednego sieroty grosza nie ma u siebie, i owszem,

była nawet mocno zgorszona przeciwko zmarłemu, że en zupełnie o nich nie pomyślał. To też nic dobrego nie może o nim powiedzieć. Nieszczęśliwym uczynił biednego chłopca: dopóki żył — hojnie go złotem obdarzał, a teraz nagle wyschło źródło dobrobytu, z panicza, do którego mentora trzymano, naraz będzie student, utrzymujący się z lekcyi, i to o ile będzie mógł być studentem, niewiadomo bowiem, czy szczupłe dochody, jakie będą mieli, wystarczą na opłacenie kursów uniwersyteckich.

— Eh,—mówił Sztolarik: przecież gdyby zamiarem nieboszczyka było aby chłopiec odziedziczył wszystkie kapitały, przecież mógłby mu je być otwarcie ofiarować: panowie nie bylibyście mogli mu przeszkodzić w wypełnieniu tej roli. Czyż nie prawda?

Nikt temu nie mógł zaprzeczyć, oczywiście, toteż tembardziej zagadkową wydawała się cała ta sprawa.

Swój dom dochodowy w Wiedniu sprzedał Gregorics za sto ośmdziesiąt tysięcy: dobra privoreckie — za siedmdziesiąt tysięcy,—co razem wynosiło ćwierć miliona reńskich. Boże wielki, i w co on mógł taką masę pieniędzy wpakować? Przecież nawet gdyby je na złoto wymienił, gdyby to złoto przetopił, i łyżką się niem karmił, — to i tak nie byłby zdołał tyle tego złota przejeść. Ale nie: Gregorics był oszczędny, pieniądza nie wydał, i pieniądz ten istnieć gdzieś musi. Ale gdzie? Można było zwaryować nad dociekaniem.

Z pozorów sądząc, nie wydawało się praw-

dopodobnem, aby Anka, lub Jerzy grosz ten przechowywali,—ani nawet Sztoalrik, którego nieboszczyk mianował opiekunem Jerzego Wibry. Swoją drogą rodzeństwo Gregoricsowie nie zrzekli się cienia nadziei w tym kierunku i wynajęli szpiegów: jeden miał niepostrzeżenie wciąż pilnować Anki i na każde jej słowo pilną zwracać uwagę, a następnie — im wszystko donosić, drugiego zaś znaleźli sobie w Peszcie. Był to zręczny młody fircyk, którego zadaniem było wejść w zażyłość ze studjującym tam naówczas prawo Jerzym i krok po kroku zawiadamiać Gregoricsów o sposobie jego życia, o jego wydatkach o tem, co myśli, co zamierza na przyszłość — i t. d.

A Jerzy tymczasem żył nieomal nędźnie: pilnie uczęszczał na wykłady uniwersyteckie, mieszkał pod „Siedmiu sowami“ i stołował się w taniej restauracji przy ulicy Malarskiej. Jadłodajnia ta zwała się „Prima Aprilis”.

Maleńki ten zakład odżywczy wraz ze swoją klientelą, złożoną przeważnie z młodych prawników, stanowił jedną z tych specjalności naszej stolicy, którą z dziwną łapczywością — niemal w oka mgnieniu — zmiotły z powierzchni ziemi nowsze *moderne* czasy. Jadłospisy instytucji tej miały osobliwszą winietę: był to rysunek, przedstawiający dwóch panów, którzy się spotkali na ulicy, jeden tłusty, drugi chudy, i taką z sobą wiodą rozmowę:

Pan Chudzicki: Gdzież ty się stołujesz, kochany *bácsi*, że tak świetnie wyglądasz?

Pan Tłustowski: A tutaj właśnie, w „Prim Aprilisie”.

Pan Chudzicki: Hoho! To i ja będę tu jadł!

Mimo tak zachęcającej zapowiedzi — marną kuchnię prowadził „Prim Aprilis” i może właśnie przytoczony dyalog był rzeczywistą kwintessencją znaczenia, jakie przywiązujemy do „Prim-Aprilis’u”. Dawni nasi karczmarze szczerzy bywali zaprawdę: nawet jeżeli łgali, to czynili to tak umiejętnie, aby prawom etyki oddawać należną im część, i aby chociaż ktoś sprytniejszy — mógł się w tej matni połapać.

O życiu Jerzyka istne biuletyny otrzymywał pan Kacper: rano je śniadanie w podrzędnej kawiarni. Przed południem słucha wykładów w uniwersytecie. W południe spożywa obiad w „Prim-Aprilisie”, po południu skrobie piórkiem w kancelarii jednego z wziętych adwokatów. Wieczorem — kolację jego stanowi kawałek słoniny, albo bułki z serem, kupionym w sklepiku... Potem do północy kuje kursa... Każdy go kocha, chwali, poważa. Będzie z niego kiedyś wybitny człowiek.

Przebiegły Kacper Gregorics, rozpatrując te dane, zaczął już niemal pragnąć, aby poszukiwane ćwierć miliona rzeczywiście u tego chłopca się znajdowały. Niechby je miał! i niechby — gdy przyjdzie pora — ożenił się z jego córeczką, Minką, która właśnie z powijaków wykwiatać zaczyna w nader pojętny pączek. Ma lat jedenaście.

Daremne jednak były te przypuszczenia. Pieniądz taki nie mógł być u Anki, bo przynajmniej w jakibądź sposób znać byłoby go na chłop-

cu. Anka wydzierżawiła dom, otrzymany w puściźnie, a z czynszu, jaki dawał, pan Sztolarik posyłał Jerzemu miesięcznie po trzydzieści reńskich.

Rodzeństwo Gregorics podzieliło się tymczasem ośmnastu tysiącami, odrzuconemi przez zamierzchle piękności, tudzież temi kilkoma setkami, jakie przyniosła sprzedaż mebli i rozmaitych sprzętów i rupieci po nieboszczyku, — pozostała zaś część majątku raz na zawsze przepadła. W całym mieście łamano sobie nad tem głowy i wymyślano rozmaite absurda. Opowiadano na przykład, że stary wysłał te pieniądze do Klapki, i że—za staraniem Klapki—powrócą one kiedyś do kraju, w zupełnie innej postaci... Inni znów bajali, że Paweł Gregorics posiadał gdzieś, w Łopackich lasach, niby zaczarowany pałac, w którym strzegł zazdrośnie pewnej pięknej kobiety. A jeżeli on sam, istotnie, nie byłby dał rady stółwą łyżką napolykać w roztopione złoto przemienionych swoich bogactw, to piękna kobieta i maleńką, od kawy łyżeczką potrafi je w nader krótkim czasie wysączyć.

W całym tem „terefere” trafiło się jednak coś, co trąciło prawdą i słusznie uderzyło uwagę prawych sukcesorów. Było to mianowicie zeznanie blacharza, od którego Gregorics kazał przynieść kociół w wilję swojej śmierci i nie zapłacił za niego; blacharz zatem do pana Kacpra zgłosił się z rachunkiem.

Kacper uderzył się w czoło.

— Do kroćset piorunów! O takim kotle niema ani słowa w spisie inwentarza!

Upewnił się jeszcze w spisie notaryalnym,

gdzie wszystkie sprzedane rzeczy były wymienione, ale i tam o żadnym kotle nie wspomniano.

— Jestem na tropie!—zaśmiał się zwycięzko Kacper Gregorics. — Taki kosztowny sprawunek nie po próżnicy nabyć musiał mój szanowny braciek. Na co się taką kosztowną rzecz kupuje? Na to, ażeby w nią coś schować. Otóż to „coś”—jest to właśnie to, czego poszukujemy.

Przypuszczeniami swemi podzielił się z Boldizsárem: ten aż wykrzyknął ze szczęścia.

— Chwała Bogu, bracie! Oddycham. Zaczynam wierzyć, że odnajdziemy skarb utracony. Paweł musiał gdzieś zakopać ten kocioł, w tym celu, ażeby nas wykwitować ze schedy i byłoby się to udało, lajdakowi, gdyby nie był popełnił tej nieostrożności, że pozostał dłużnym za kocioł. Ale to już jest szczęście tego rodzaju sprawek, że Bóg łotrom rozum odbiera i w rezultacie zawsze pokpią sprawę.

Blacharz, sięgnąwszy pamięcią, przypomniawszy sobie dokładnie, że kocioł ów został wybrany przez służącego, Maćka, który go sam zabrał. Kacper Gregorics przeto zaprosił pewnego dnia Maćka do siebie, ugościł go, uczęstował jadłem i napojem, gawędząc z nim w sposób, budzący największe zaufanie. Wypytywał się czule o ostatnie chwile nieboszczyka, z pełną dyplomacyi zręcznością wpłótł w rozmowę zagadkową kwestyę kotła—za który blacharz teraz dopiero płacić sobie każe...

— Mój pocciwy Macieju, powiedz mi, jak to się ma naprawdę rzecz z tym kotłem? Czy to rzeczywiście pan go obstalował? To trudne do

wiary?... Na co pan mógł potrzebować takiego kotła?... Doprawdy, Maćku, przyznaj się otwarcie, że to chyba ty sam figla jakiegoś zrobiłeś na rachunek pana?...

Tylko tego było potrzeba biednemu Maciejowi, żeby uczciwość jego deptano, w podejrzenie ją podając... Złośliwa insynuacja roztworzyła mu usta, jak łupinę orzecha i słowo po słowie wyśpiewał wszystko, co tylko mógł przytoczyć na obronę swojego honoru. W wilgę śmierci pan rzekł do niego: „biegnij Maćku duchem, kup i przynieś kocioł i sprowadź dwóch murarzy”. Tak też uczynił. Było to jakoś pod wieczór. Nieboszczyk pan Gregorics kazał wnieść kocioł do swojej sypialni, a jednocześnie też zaraz przyszli i dwaj murarze. Przecież i oni także mogą zaświadczyć, że kocioł był, bo go widzieli.

— No, no,—rzekł pan Kacper wesoło, szczęściarz z ciebie, mój Macieju. Jeżeli zwłaszcza i świadków masz, na których się możesz powołać, no to oczywiście, iż wykwitnie jak na dłoni, że uczciwość twoja jest czysta, niczem świeżo przedcedzone mleko. Ja sam cofam to co powiedziałem. Słowo daję, nie postawiłbym trzech krajców na to, że i z sitowia umiałbyś się tak gładko wyplątać, jak z tej matni. No, wypij jeszcze lampkę tej „byczej krwi” i nie gniewaj się na mnie, że cię tak badałem, bo w każdym bądź razie sam przyznasz chyba, iż podejrzenie moje miało pewną podstawę: wszystkie kąty przeszukawszy, nie znaleźliśmy między ruchomościami żadnego kotła, a tu blacharz dopomina się o za-

plątę, twierdząc, że ty kocioł wzięłeś. Ale w rezultacie—gdzie on się mógł podziać?

Maciek ruszył ramionami.

— Bóg raczy wiedzieć.

— Nie widziałeś go już potem?

— Nie, proszę łaski pana.

— No a cóż murarze? Co robili? Do czego ich pan potrzebował?

— Bo ja wiem.

Kacper Gregorics roześmiał się ironicznie Maćkowi w oczy.

— Taki jesteś, jak ów „Janko Niewiem” z bajki, który także na wszystko odpowiadał, że nie wie. Zaręczam, że gdyby się kto chciał zapytać kto to są ci dwaj świadkowie, którzyby mogli świadczyć o twej niewinności—także odpowiedziałbyś, że nie wiesz. Tylko że, przyjacielu — w takim razie,—nie wypłatałbyś się z matni!

— Właśnie że znam jednego z nich!

— I któż to taki?

— Ba kiedy nie wiem jak się nazywa.

— To tak go znasz?

— Poznałbym go odrazu, bo ma trzy włosy na nosie!

— Oh, głupi baranie! A jeżeli na przykład zgolił te trzy włosy?

— To i tak go poznam po twarzy, gdyż podobny jest do sowy!

— Zkądżeś wziął tych dwóch murarzy bracie?

— Pracowali przy naprawie murów katedry, więc ztamtąd ich zabrałem.

Kacper Gregorics—jednym słowem wygarnął z głowy Maćka wszystko, co mogło mu być po-

trzebne i teraz ziemia paliła mu się pod stopami, aby całe miasteczko w ruch puścić do jaknajprędszego poszukiwania takiego murarza, któremu na nosie rosną trzy włosy.

Istotnie odnaleziono go bez trudu. Zaraz w najpierwszem kółku murarskim, do którego się zwrócono, gdy tylko posłyszano o nosie z trzema włosami, odrazu kilku chórem zakrzyknęło:

— Oh, to będzie napewno Michał Prepeli-
czal! Z niego to wasy zakpiły sobie w ten spo-
sób, że czubkiem nosa mu wylazły.

Teraz to już i dziecko znalazłoby Prepeli-
czę, pierwszy lepszy kolega jego, lub nawet chłopa-
k od podawania cegły wiedział, że Prepelicza
obecnie Peszt buduje. Gdzieś przy ulicy Kere-
pesi pracuje przy wznoszeniu okazałego jakiegoś
gmachu.

Rzecz prosta, że pan Kacper nie żałował
kosztów ani trudu, aby jaknajprędzej się wrzucić
w dyliżans i, nie oparłszy się aż w Peszcie, mię-
dzy słowackimi murarzami odnaleźć pana Pre-
peliczę.

I znalazł go właśnie w chwili, kiedy ten
wskakiwał do windy, która z nim szybko pomy-
kać zaczęła w górę, gdzieś pod strop budyn-
ku. Gregoricsowi ciarki przebiegły po grzbiecie
z przestachu. O biada! a nuż się teraz winda
zarwie?...

— Hop ho! panie Prepeliczal!—jął z całych
sił wołać za nim. Zatrzymaj się pan odrobinę,
właśnie pana szukałem! Mam do pana niezwykle
ważny interes.

— Dobrze, dobrze! — obojętnie z góry od-

krzyknął murarz, spoglądając na przybysza, jak na odprysk wapna. Jeżeli pan masz do mnie interes, to wleź pan za mną.

— Panie, zjeżdżaj pan coprędzej, interes jest pilny!

— Wołaj pan głośno o co chodzi, to i ztąd dosłyszę!

— Niepodobna! za wszelką cenę muszę z panem natychmiast w cztery oczy pomówić.

— O co chodzi? Dobra, czy zła nowina? — pytał Prepelicza z wyżyn.

— Ależ bardzo dobra!

— Dla mnie?

— I dla waćpana również.

— Jeżeli teraz dla mnie dobra, to będzie dobra i wieczorem. Poczekaj pan do wieczora, to zjadę, teraz nie mogę, bo muszę wykończyć to najwyższe okno.

— Nie mędrkuj pan, panie Prepelicza, lecz zjeżdżaj jaknajprędzej. Nie pożałujesz tego, mówię!

— Eh! Nawet nie wiem, coś pan za jeden!

— Za chwilę się pan dowiesz.

Za pośrednictwem najbliższej windy przesłał Gregorics Prepeliczy brzęczącą sztukę złota, wartości dziesięciu reńskich. Ten, któremu ją powierzył, także dostał guldena.

Efekt tego rodzaju karty wizytowej był taki, że Prepelicza rzucił młotek i kielnię na rusztowanie i zaraz następną windą zjechał z wyżyn na rodzinną ziemię, gdzie od czasu Mojżesza i Chrystusa ciągle się jakieś cuda przytrafiają.

— Jestem do usług jaśnie wielmożnego pana.

— Chodź pan ze mną.

— Chodźmy i do piekła, jaśnie wielmożny panie!

— Tak daleko nie potrzeba,—odparł Kacper Gregorics z uśmiechem.

Istotnie poszli nie dalej, jak do karczmy „Pod kogutkiem“, gdzie Gregorics kazał podać wina i, trącając się po przyjacielsku z murarzem, wdał się z nim w uprzejmą gawędę.

— Czy waćpan umiesz „gadać“, panie Prepelicza?

Prepelicza zastanowił się chwilę i zawahał: nie mógł się domyśleć, o co może chodzić temu obcemu przybyszowi. Długo i badawczo popatrzył w stalowe jego oczy, poczem rzekł przeźornie:

— Gadać to i sujka potrafi!

— Ja przyjechałem z Bystrzycy.

— Aha! No tak. Tam porządni ludzie mieszkają. To też mnie się widzi, że ja pana kiedyś już spotkałem.

— Chyba mojego brata młodszego — wtrącił przebiegle Gregorics: pamiętasz pan, tego, u którego miałeś robotę z tym tajemniczym kotłem.

— Z tym kotłem!... (Prepelicza otworzył usta szeroko ze zdumienia i trwał tak chwil kilka). Więc to był pański brat młodszy... Tak, teraz rozumiem... To jest właściwie... (nagle zmieszany, zaczął się drapać w ucho). O jakim kotle pan mówisz właściwie? Boże drogi, gdybym ja chciał

pamiętać każdy kocioł, czy patelnię, jaką w życiu widziałem!

Gregorics przygotowany był na wykręty. Nie nastawał przeto na Prepeliczę, tylko w milczeniu poczęstował go cygarem. Cygaro to uległo najpierw dokładnemu oblizaniu, aby zwilżało, dopiero potem zostało zapalone; delektujący się niem obywatel, udając doskonałą obojętność, bębnił po stole kanciastym ołówkiem murarskim, tak właśnie, jakby to czynił każdy przeciętny śmiertelnik, uczyniwszy nagle odkrycie, że posiada w zanadrzu klejnot do sprzedania i że oto na klejnot ten pojawił się właśnie prawdziwy, rzetelnie łaknący go nabywca. Teraz tylko zimnej krwi, jaknajwięcej zimnej krwi, aby cenę klejnotu podbić jaknajwyżej.

Serce biło mu, jak bęben. Biały kogut na obrazku, wiszącym w ramach nad zielono pomalowanym bufetem winiarni, zdawał się nabierać życia w promieniach roziskrzonego wzroku murarza i piał do niego co parę chwil do taktu: Dzień dobry, Michale Prepelicza! Kikiriki! Znalazłeś furtkę do szczęścia, Andrzej Prepelicza,

— Więc twierdzisz pan, panie Prepelicza, że nie pamiętasz tego kotła? Ej, ej! Waćpan, jak widzę, bierzesz mnie za głupca. No proszę, to ja ładnie wyglądam! W każdym razie dobrze robisz, panie Prepelicza, bardzo dobrze. Zdaje mi się nawet, że i ja robiłbym tak samo, gdybym był na twojem miejscu. Ale niezłe wino, zdaje się. Co, że je czuć beczką?... No bracie, trudno, aby je było czuć łóżkiem. Te, mały! przynieś nam jeszcze po lampce, a potem idź do dyabła i zo-

staw nas samych. Na czymżeśmy to przerwali? A prawda. Powiedziałeś pan przed chwilą, że i sujka umie gadać. Zaprawdę — wygłosiłeś całkiem mądre słowo. Jesteś pan łebski człowiek, panie Prepelicza! Widzę z tego wszystkiego, że trafiłem na ciebie, jak frant na franta, cieszy mnie to niezmiernie i wnioskuje z tego, że łatwo nam będzie porozumieć się z sobą. Więc jak to pan powiedziałeś roztropnie? Że i sujka potrafi gadać, ale oczywiście wtedy dopiero, jeżeli jej kto umiejętnie języczek podetnie? Nieprawdaż, to miałeś pan na myśli?

— Uhm! — odparł murarz, a trzy włosy na jego nosie poruszały się pracowicie, w miarę tego, jak silnie sapiąc, wdychał i wypuszczał powietrze.

— Wiem i to również, — ciągnął dalej Gregorics, że sujce można język podciąć kozikiem. Ponieważ jednak pan, panie Prepelicza, nie jesteś sójką.

— A nie.,! — bąknął Prepelicza skromnie.

— Tobie przeto wypada podciąć język nie kozikiem, ale temi oto dwoma banknotami!

Tu wyjął Gregorics z pugilaesu dwa papierki po sto guldenów każdy i położył je przed sobą na stole.

Oczy murarza łakomie przywarły do tych dwóch świstków, pełnych magicznego uroku: dziwnie ponętne mu się wydały dwa bose smyki, wyrysowane na rogach tych papierków, jeden ze snopem kukurydzy, a drugi — z książką w ręku. Nieomal źrenice wyskakiwały mu z orbit do tych dzieciaków, ale się opanował, tylko po chwili za-

czał mówić nieco zachrypniętym, bezdźwięcznym głosem:

— Kocioł był bardzo ciężki... Niesłychanie ciężki był ten kocioł.

Nic więcej powiedzieć nie umiał, choć rozpaczliwie szukał w głowie szczegółów więcej i określeń, ale tymczasem oczyma wciąż pochłaniał banknoty i te wyrysowane na nich prześliczne dzieciaki. Sam ma ich przecież także coś z sześć sztuk: ale nie są takie ładne.

— No cóż to znaczy, Prepeliczo? — spytał Gregorics zdumiony. — Czy pan nie przemówisz?

— Ciężki kamień wziąłbym na sumienie, gdybym coś więcej powiedział, — westchnął murarz: strasznie ciężki kamień. Zdaje mi się, iż nie zdołałabym go udźwignąć.

— Cóż za głupota! Mój panie, trzeba mieć kielbie we łbie!... Kamień, kamień! Murarzem pan jesteś, całe życie nad kamieniami pracujesz i zamiast być oswojony z nimi — teraz lamentować zaczynasz, że będziesz miał kamień na sumieniu. To go ciągnij, jak ci spadnie! Nie będziesz pan chyba żądał, abym wydał dwieście reńskich i nie kamieniem, ale ciepłemi kluskami cię częstował. Nie trzeba być dzieckiem, Prepeliczo!

Prepelicza uśmiechnął się blado, ale brudne, czerwone ręce schował po za siebie, na znak, że nie chce tknąć pieniędzy.

— Czyżby zamało?

Murarz nie odrzekł ani słowa: tępyim wzrokiem sztywno spoglądał przed siebie, wichrząc sobie włosy. Przypominał wyglądem chorą papugę. Po dłuższem milczeniu jednym haustem do

dna wychylił kieliszek i z takim impetem uderzył nim o stół, iż szkło prysnęło w kawałki.

— Łajdactwo! — wybuchnął z goryczą.—Honor biednego człowieka oceniać na dwieście reńskich! Wszakże Pan Bóg wszystkich ludzi stworzył jednakowo. Takim samym honorem mnie obdarzył, jak jakiego biskupa, lub barona na Radwany. A waszmość tymczasem ośmielasz się mój honor taksować na dwieście reńskich! Wstydl! Nikczemność!

Rzucił tuza, lecz Gregorics umiał mu zadać kozere.

— Ha, dobrze, panie Prepelicza. Nie trzeba się zaraz obrażać. Jeżeli waścin honor jest tak kosztowny—poszukam tańszego. (To mówiąc schował napowrót w czeluście pugilaresu dwie czarujące stówki). O bliższe objaśnienia poproszę pańskiego kolegę, tego drugiego murarza.

Wyjął ołówek i zadzwonił nim w butelkę.

— Placę!

Prepelicza roześmiał się.

— No proszę! Więc biedak ma się już nie odezwać ani jednym słowem. Oczywiście, skoro pan zamierzasz wyszukać tego drugiego... A ten drugi—myślisz, że będzie mniej cenil swój honor. Może być, może być... (Zafrasowany drapał się w kark, zeszpecony złośliwą jakąś narością). Więc niech tam... do ciężkiej cholery! Dołóż pan jeszcze pięćdziesiątkę. Powiem panu wszystko.

— Niech będzie! Zgoda.

Prepelicza opowiedział teraz z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co się działo owej

ostatniej nocy, jak nieśli kocioł przez podwórze, przez ogród do małego jakiegoś domku.

— Do Libanonu! — syknął z radością pan Kacper, a z wielkiego rozmachu, jaki przy tem uczynił, aż mu czupryna podskakiwała. Do domu tego bękart!

Prepelicza w opisie swoim nic nie opuścił: Gregorics wszystko wysłuchać musiał, jak murarz ze swym towarzyszem zawezwani zostali pewnego wieczora do nieboszczyka, jak potem musieli zanieść kocioł do małego domku, jak Paweł Gregorics stał nad nimi i pilnował ich aż do ukończenia roboty. Pan Kacper coraz przerywał mu nerwowo pytaniami:

— Ciężki był kocioł?

— Niesłychanie.

— I nikt nie widział, jak go nieśliście przez podwórze?

— Ani żywa dusza. Wszyscy już spali o tej porze.

Kacper z rozkoszą wchłaniał każde słowo murarza: pierś mu się rozszerzała, oczy błyszczały niepomiernie, a myśli biegły daleko w przyszłość: już widział się bogaczem, panem niezliczonych skarbów, może nawet—kto wie? dziedzicem utytułowanym. „Baron Kacper Gregorics”. Hm! nieźle brzmi. A Minka będzie baronesą. Ten osioł, Pawelek, nie umiał majątku swego wyzyskać. Ale zebrać musiał niemało: masę zebrać musiał. Żyjąc tak skromnie...

— I cóż wam dał za to mój brat?

— Dostaliśmy po pięćdziesiąt reńskich.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie.

Niemal kamień spadł mu z serca, gdy się dowiedział, że tylko po pięćdziesiąt reńskich dał Pawełek tym ludziom: obawiał się bowiem, że tysiącami opłacił ich milczenie.

Żałowałby tego okrutnie, bo przecież byłaby to jego krzywda, teraz, gdy Libanon na jego własność przejdzie. Przejść bowiem musi na jego własność razem z owym kotłem. Zaraz jutro odkupi go Kacper od opiekuna! Z góry się cieszył jakiego figla tem wypłata Boldizsarowi i Panyó-kowej.

Jak tylko mógł najprędzej dostał się do domu i nawet nie wysiadł u siebie, tylko odrazu zajechał przed dworek Sztolarika, oznajmiając mu na wstępie, że chce nabyć Libanon.

Tak nazywano drobną posiadłość nieboszczyka pastora, od wdowy, po którym odkupił ją Paweł Gregorics dla Jerzyka Wibry. Zmarły ten duszpasterz nie wygłosił w życiu swoim ani jednego kazania, w któremby nie było mowy o „cedrach Libanu”, nabywszy zaś ten mały gruncik, sam usiłował założyć hodowlę drzew cedrowych w sadzie, pomiędzy jabłoniami. Cóż, kiedy oporna ziemia bystrzycka iście sprzysięgła się przeciwko obcej roślinie: zdusiła ją, nie chciała jej karmić i cedry przepadły. Ale mieszkańcy miejscowi mieli używanie: szydzili zdrowo, a zachwalstwo swoje posunęli do tego stopnia, że kuryę pastora przewalili Libanem.

Pan Sztolarik nie okazał najmniejszego zdziwienia propozycją Gregoricsa.

— Chcesz pan nabyć Libanon? Ładny sad, śliczne owoce rodzi. W tym roku także pewien

pierwszorzędnny restaurator wiedeński zakupił wszystkie jabłka i nawet anibys pan przypuścił, ile dał za nie. Ale wogóle skąd panu przyszło na myśl to kupno?

— Chciałbym tam dom pobudować, dwór większy.

— Hm! tego rodzaju negocjacje zawsze są połączone z nieprzyjemnościami,—zauważył Sztolarik chłodno. — Gdzie właściciel jest małoletni, dużo trudu, pisaniny, podań i ceregieli wymaga komisya sieroca. Co do mnie—wolałbym pozostawić rzecz tak, jak jest. Niedługo chłopak dorośnie, skończy szkoły, będzie pełnoletni — niech wtedy sam robi co mu się podoba ze swoją *skwarką* *). Jeszcze mógłby mi wymawiać. Nie, nie, panie Gregorics, daruj mi pan, ale nie mam ochoty się w to wdawać. Wreszcie i to trzeba wziąć pod uwagę, że mała ta posiadłość jest *praetium affectionis* dla chłopca: na tych dwóch morgach — rzecz można, wychował się i urósł: bawił się tam jako dziecko, tam się uczyć zaczął...

— Ale jeżelibym po pańsku zapłacił... — przerwał rozdrażniony Gregorics.

Pana Sztolarika tknęła ciekawość.

— Co pan nazywasz pańską zapłatą? Ileż dałbyś pan za to?

— Dałbym... — zaczął Gregorics, ale nagle atak kaszlu go napadł, zaczerwienił się jak szkarłat, aż zduszonym głosem wyksztusił: — dałbym piętnaście tysięcy reńskich.

*) Tak brzmi w tamtych stronach pogardliwa nazwa drobnej posiadłości ziemskiej.

Hm, ładna sumka. Paweł Gregorics nabył to swego czasu za pięć tysięcy od wdowy po pastora. Gruntu jest zaledwie dwie morgi, daleko to leży od placu. Nikt nie dałby więcej niż po trzy reńskie od sążnia. Domek — liczymy: dwa tysiące reńskich... Ale to już maximum.

— *Utcumque*, — rzekł głośno Sztolarik — oferta nie najgorsza. Nawet... nawet, że tak powiem... Wiesz pan co, panie Gregorics, — dodał po chwili z nagle postanowieniem — gotów jestem wdać się w tę sprawę w interesie chłopca, ale wpierw napiszę do niego, a także pomówię z jego matką.

— Rzecz ta jednak jest dla mnie bardzo pilna.

— Jeszcze dziś napiszę.

Pan Gregorics nie nalegał dłużej, aby nie wzbudzić podejrzeń, pożegnał się, poszedł do domu, a w trzy dni potem, popołudniu, przysłał Sztolarikowi maleńką beczułkę wina tokajskiego (z piwnicy, odziedziczonej po Pawle Gregoricsu, którą się podzieliło rodzeństwo), zapytując przytem, czy nie nadeszła jeszcze odpowiedź z Budapesztu.

Pan Sztolarik odpisał, że każdej chwili oczekuje odpowiedzi i że pięknie dziękuje za cenny podarunek: piwniczemu, który wino przyniósł, powiedział nawet coś w tym rodzaju, że ma nadzieję, iż wszystko gładko się potoczy. Czy wino gładko się potoczy, czy też co innego — tego już nie wiedział piwniczy.

Zaledwie ten odszedł, kiedy w ślad za tem przyniesiono list oczekiwany (Jerzy zgadzał się na sprzedaż) i pan Sztolarik właśnie chciał posłać

swego dependenta z wiadomością o tem do Kacpra Gregoricsa, kiedy nagle rozwarły się szeroko drzwi kancelaryi i wtarabanił się przez nie pękaty pan Boldizsar Gregorics, świszcząc i sapiąc, jak zanadto przetuczona gęś.

— Witam, witam pana! Co dobrego pana tu sprowadza?

— Przynoszę panu masę, masę pieniążków, — wyjąkał gość, nie mogąc jeszcze tchu złapać.

— Oh, to się przyda u mnie.

— Chciałbym nabyć posiadłośćkę tego sierotki, Libanon!

(Pan Boldizsar sławny był z tego, że każdy rzeczownik spieszczał).

— Libanon?—zawołał Sztolarik zdumiony i zaraz jął debatować w duchu: Co ich tknęło u licha?

— Pewno pan chcesz dla brata starszego?— rzekł po chwili, obojętnością maskując zdziwienie.

— Bynajmniej, chcę to nabyć dla samego siebie. Bardzo wygodna mała rezydencyjka, ładna, miłutka i prócz tego ma pewną wartość, bo przecież te jabłoneczki...

— To dziwne jednak... to bardzo dziwne!

— Co pan w tem widzisz tak dalece dziwnego?

— Bo właśnie mamy już innego kupca na tę posiadłość.

— Oh, psiakrew! Ale to nic nie szkodzi: nie ustąpimy nikomu. Jako krewny mam niewątpliwie pierwszeństwo. Wreszcie nawet, mogę dać więcej, niż tamten.

— Wątpię—odparł na to opiekun.—Pierwszy nasz klient daje piętnaście tysięcy reńskich.

Boldizsarowi nawet powieka nie drgnęła.

— Nic nie szkodzi. Ja mogę dać dwadzieścia.

Nagle zastanowił się, że nieruchomość ta na pewno i piętnastu tysięcy nie jest warta, więc zwrócił się do opiekuna z pełnem nerwowego niepokojem pytaniem:

— Piętnaście tysięcy daje? I któż jest takim waryatem?

— Rodzony brat pański, pan Kacper Gregorics.

Na te słowa zachwiał się i w tył potoczył pan Boldizsar, jak wół, obuchem w łeb uderzony. Śmiertelnie blady runął na krzesło.

Ruszał ustami, lecz nie mógł z nich głosu wydobyć. Sztolarik był pewien, że paraliż tknął starego, więc wybiegł co tchu, wołając pomocy, ale zanim powrócił z kucharką, która odrazu i lekarstwa z domowej apteczki pozabierała, aby je stosować,—pan Boldizsar już przyszedł trochę do siebie, zaczął submitować się i przepraszać.

— Zawrót głowy mię schwycił... Ja często miewam takie ataki. Cóż robić, stary już jestem i maszyna organizmu się psuje... Ale wracając do rzeczy, oświadczam panu, że najchętniej dam dwadzieścia tysięcy reńskich za ten Libanon. Mogę natychmiast zapłacić.

Sztolarik zaczął rzecz rozważać.

— Daruje pan, ale tego rodzaju spraw nie załatwia się tak od ręki. Potrzeba przedewszystkiem zasięgnąć opinii komisji sierocej. Jako opie-

kun mogę dziś jeszcze przedstawić jej pańską propozycję.

Jakoż tego samego zaraz dnia dotrzymał słowa (przecież chłopiec jakby los na loteryi wygrał!), a wciąż bił się z myślami, jaki powód mają obydwaj Gregoricsowie, że tak na prześcigi nabyć chcą ten Libanon. Ta nagła, a tak gwałtowna ochota musi mieć jakąś ważną przyczynę. Kto wie, może odkryli, iż żyła złota idzie przez ten grunt? Całkiem możliwe. Wszak wiadomo, że królowie z linii Arpada, najpierw w tych okolicach złota szukać zaczęli, zanim natrafili na Selmecebanya.

Postanowił, że zaraz nazajutrz wyjawí swoje podejrzenia Stefanowi Drotlerowi, który był dymisyonowanym inżynierem górnikiem. Uczony ten człowiek jak zagłębi w grunt swój świder — napewno odrazu rozpozna co się w tych ziemnych pokładach mieści.

Zanim jednakże Sztolarik zdążył udać się do inżyniera, nazajutrz z samego rana wpadł do niego Kacper Gregorics dowiedzieć się, czy jest odpowiedź od Jerzego. Sztolarik zmieszał się cokolwiek.

Odpowiedź nadeszła... tak jest, owszem, otrzymałem list od Jerzego, ale cóż, kiedy rzecz się komplikuje. Trafíł się inny nabywca, który chce dać za Libanon dwadzieścia tysięcy reńskich.

Wiadomość ta podziałała na pana Kacpra, jak piorun z jasnego nieba.

— Czyż to być może?... — wyjąkał. — Chyba Boldizsar!...

— Tak jest, właśnie pan Boldizsar.

Kacper Gregorics popadł we wściekłość: zaczął przeklinać, jak stajenny, z wielkiego wzburzenia usta mu drżały, a wymachując nieostroźnie laską (rozmowa toczyła się w przedsionku) zrzucił i stłukł doniczkę z prześlicznym okazem rzadkiej odmiany hiacyntu, pieczołowicie wypielęgnowanym przez panią Sztolarikową...

— To lajdak! to lajdak!... — powtarzał przez zaciśnięte zęby.

Potem conajmniej przez kwandrans patrzył przed siebie bezmyślnie, powtarzając osłabionym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Zkąd on się o tem dowiedział?... Rzecz niepojęta!

Tymczasem nie było to wcale rzeczą niepojętą, ale raczej przeciwnie: całkiem zrozumiałą. Zaczny pan Prepelicza mianowicie dowiedział się bez trudu od swoich kolegów, z Bystrzycy rodem, że Paweł Gregorics, na którego rozkaz zamurowywał wtedy ów kocioł, ma nie tylko jednego brata, ale więcej rodzeństwa. Jeżeli jeden z nich zatem mógł się wykosztować za wysłuchanie tajemnicy na dwieście reńskich, to i drugi napewno chętnie da coś za to. Pan Michał Prepelicza tedy wsiadł do pociągu, przyjechał do Bystrzycy i bez trudu odszukał pana Boldizsara. Nie było w tem przeto nic niepojętego, najmniej zaś niezrozumiałem było chyba to, że pan Michał Prepelicza nie był osłem, ale miał głowę na karku, obdarzoną rozumem.

— Oh nicpoń, psiawiara... jęczał w dalszym ciągu Boldizsar coraz namiętniej. Ale niedoczekanie jego! Nie zdobędzie skarbu! Nie dopusz-

czę do tego! Ja kupię Libanon! Dwadzieścia pięć tysięcy daję za Libanon!

Pan Sztolarik uśmiechnął się, ukłonił i zacięrał ręce.

— Kupi — kto da więcej. Gdyby majątek ten był moją własnością — trzymałbym się pierwszego słowa naszego, jakie wypowiedzieliśmy wczoraj, to jest piętnastu tysięcy reńskich. Bo co się raz rzekło, to nie uciekło. Słowo mężczyzny — równa się żelazu. Ponieważ jednak posiadłość ta należy do dziecka — to interesów dziecka niewolno gwałcić — nawet takim żelazem... Panie Gregorics, nie zaprzeczysz pan chyba, że aforyzm mi się udał?

Kacper Gregorics uznał wysoką piękność świeżo ukutego aforyzmu, namęczył, nanudził Sztolarika, żeby jemu pierwszeństwo zagwarantował, na koniec odszedł, obwarowany słowami, jak żelaznym pancerzem.

Ale wszystko się na licha zdało. Pan Sztolarik tegoż samego jeszcze wieczora spotkał się w kasynie z Boldizsarem Gregoricsem i nie widział się wcale w obowiązku tać, że w ciągu dnia był u niego pan Kacper, i że o pięć tysięcy reńskich więcej, niż on, zaofiarował za Libanon.

— Kiedy tak, to ja daję trzydzieści tysięcy.

Waryacka ta licytacja wzrastała z dnia na dzień, tak, że w końcu całe miasto zaczęło zwracać na nią uwagę; czy poszaleli ci Gregoricsi? — szeptano sobie dokoła, — czy też jaki inny „gwóźdź” się w tem mieści, nieznany nikomu?

Przyszedł Kacper, obiecał dać trzydzieści dwa tysiące; dowiedział się o tem Boldizsar — do-

dał jeszcze trzy tysiące, i tak dalej i dalej, że już włosy dęba stawały ludziom, obserwującym ten zaciekły pojedynek. Prezes komisji sierocej umyślnie opóźniał udzielenia urzędowego pozwolenia na sprzedaż:

— Niech rośnie cena nieruchomości, niech sobie rośnie!

Rosła też, aż dorosła do ceny pięćdziesięciu tysięcy reńskich. Tyle już zaofiarował Boldizar Gregorics. I jeszcze nie wiadomo do czego dojdzie. Jestto to zaś tem dziwniejsze, że inżynier-górnik Drotner, który podczas całej tej akcji z polecenia Sztolarika istotnie dokonał na gruncie Libanonu dokładnych doświadczeń górniczym świdrem — oznajmił stanowczo, że w głębinach gruntu bystrzyckiego niema ani jednej uncji złota — na co może najuroczyściej przysiądź, wyjąwszy chyba to złoto, które jako *plomby w zębach* damskich razem z niemi złożone zostały do grobów...

— No to może węgiel kamienny się kryje pod Libanonem?

— I węgla kamiennego tam niema.

— Więc widocznie ktoś otumaniał głupich Gregoricsów.

Cóż komu do tego, co nimi powoduje. Jedna rzecz jest pewna, ta mianowicie, że panicz Jerzy ma szczęście i że najświętszym obowiązkiem opiekuna jest szczęście to wyzyskać — do ostatniego kresu możliwości. Wszak ziarna winogronowe dopiero wtedy do wytłoczyn odrzucić można, gdy w nich już niema ani odrobiny wil-

goci; jakżeżby wyglądało, gdyby je kto usuwał wtedy, kiedy jeszcze sama okapuje winem?

Pan Sztolarik przeto nie przeszkadzał licytacji iść coraz crescendo: słowo mężczyzny jest wprawdzie żelazem, ale nawet żelazo musi rejterować przed złotem. A tu przecież padał istny deszcz złota.

Właśnie tylko czatował już na to, żeby zafiarowane przez Boldizsàra pięćdziesiąt tysięcy zakasować pięćdziesięcioma dwoma, gdy naraz nastąpił dziwny przewrót w biegu tej sprawy. Panu Kacprowi pewien pomysł przyszedł do głowy. Kacper—trzeba przyznać był cokolwiek mądrzejszy i przebieglejszy od swojego brata.

Otóż Kacper uczynił spostrzeżenie, że trzecia osoba z rodzeństwa, pani Panyókowa, nic nie przedsięwzięje. Co to znaczy i dlaczego tak jest? Nic innego, tylko widocznie Panyókowa o niczem nie wie. Michał Prepelicza — pokazuje się — jej nie sprzedał swojej tajemnicy. Prepelicza i tym razem dowiódł, że ma rozum na miejscu. Albowiem gdyby był i Panyókowej zdradził tajemnicę, rola jego raz na zawsze byłaby skończona: tak zaś — dopóki obaj bracia nie wyczerpią skarbów, zawartych we wnętrzu kotła, dopóty będą się czuli dłużnikami murarza, ażeby nie pokusił się wprowadzić w grę osoby trzeciej, t. j. siostry.

Wszystko to ukształtowało się jasno pewnego dnia w umyśle Kacpra Gregoricsa i przejrzał nareszcie, jak wielkiem było głupstwem ze strony Boldizsàra i jego, że przy akompaniamencie chichotu całego świata gotowi są roztrwonić wszystko co mają, na rzecz tego nieprawego synka dla

kupienia Libanonu, przez co, samochcąc, i w siostrze mogą rozbudzić pewne podejrzenia. Prócz tego jest rzeczą, nie ulegającą wątpliwości, iż którykolwiek z nich nabyłby Libanon, to drugi będzie mu czynił o ten kociel wszelkie możliwe i niemożliwe wstręty... Czyż nie roztropniejszą i praktyczniejszą o wiele wobec tego rzeczą byłoby działać w porozumieniu: razem nabyć nieruchomości, razem rozwalić mur, kryjący skarby, i, trzymając pod hamulcem język Prepeliczy, bez wrzawy i hałasu napchać sobie kieszenie złotem, które nieboszczyk Paweł zostawił? Rzecz pewna, iż byłoby to o wiele rozsądniej i taniej.

I oto nadszedł pewien piękny dzień, w którym Kacper pogodził się z Boldizsárem i pan Sztolarik niepomiernie się zdumiał, gdy przyszedł do niego pan Boldizsár z oznajmieniem, iż cofa słowo co do kupna Libanonu. Namyslił się w domu, wypawszy się należycie, porachowawszy ściśle—i doszedł do przekonania, że Libanon nie jest wart pięćdziesięciu tysięcy.

— Mniejsza z tem; kupi za czterdzieści ośm tysięcy pan Kacper Gregorics.

Z niecierpliwością oczekiwał chwili spotkania z Kacprem i pierwszy go zagadnął o ukończenie układów. Ale pan Kacper wzruszył ramionami.

— Szaleństwem to było z mojej strony — rzekł niedbale.— Wyparowało mi już z głowy, jak zły sen. Dziękuję panu serdecznie, kochany panie Sztolarik, że odrazu mię wtedy nie schwyciłeś za słowo, ale teraz już nie będę o to traktował. Tam do licha! Za czterdzieści ośm tysięcy

reńskich można królestwo nabyć, nie dwumorgową nieruchomość!

Biedny opiekun był bliski rozpacz. W przekonaniu, że przeciągnięciem struny sam zepsuł wszystko, czuł, iż całe miasto śmiać się będzie z jego niezręcznej gospodarki cudzem dobrem, i pewny był, że Jerzyk, dorósłszy, zasypie go wyrzutami. Popędził tedy do pana Boldizsára, proponując mu nabycie Libanonu za czterdzieści pięć tysięcy. Boldizsár jednak odparł, popijając tokaj:

— Czy mię pan bierzesz za waryata?

Od Boldizsára co koń wyskoczy pognął Sztolarik do Kacpra.

— No, mniejsza z tem. Bierz pan Libanon za czterdzieści tysięcy.

Kacper pokręcił głową.

— Mój panie: nie piłem blekotu.

I znów się rozpoczęła licytacya, tylko już nie *in plus*, ale *in minus*. Sztolarik częstował ich Libanonem za trzydzieści pięć, trzydzieści, dwadzieścia pięć tysięcy, aż nareszcie po wielu perypetyach, wahaniach i targach, stanęło na tem, od czego się zaczęło, t. j. na piętnastu tysiącach reńskich. Bracia dopełnili kupna do wspólki i razem złożyli swoje podpisy w księdze hipotecznej.

Tegoż samego zaraz dnia, kiedy odebrali od opiekuna klucze małego domku, zamknęli się w nim obydwaj na wszystkie spusty, przyniósłszy z sobą pod płaszcami topory (jak to ustalono zostało na późniejszym śledztwie). Oczywiście, najpilniejszą dla nich rzeczą było rozbić mur, kryjący tajemniczy kocioł. Ale co w kotle znaleźli—tego nikt nigdy nie potrafił ściśle ustalić, aczkol-

wiek ten właśnie szczegół stanowił punkt najważniejszy w rozgłośnym procesie Gregoricsów, który przez dziesiątek lat z górą ciągnął się w Bystrzycy przed królewskim sądem.

Proces ów rozpoczął się w ten sposób, że w kilka miesięcy po wyżej opisanych wypadkach, zgłosił się pewnego razu do braci Gregoricsów pan Michał Prepelicza z żądaniem wydania mu części skarbów, znalezionych w odmurowanym kotle, z góry grożąc, że jeżeliby doznał odmowy, to natychmiast całą tajemnicę wyda pani Panyókowej.

Gregoricsowie natomiast wpadli na jego widok w nieopisaną wściekłość.

— Oszukałeś nas, psu bracie! Byleś w zmo-
wie z tym bandytą, nieboszczykiem, który postanowił oszukać nas i wyzyskać jeszcze i po śmierci na rzecz tego nieczystego podrzutka. Nie dosyć innych krzywd, ale jeszcze za to kurze gniazdo drogo nam kazał zapłacić. Dlatego to napchał gwoździ i starego żelastwa do kotła i podstępnie a tajemniczo zamurować go kazał! Dobrze, żeś przyszedł wasan, zaraz ci wypłacimy należną tobie częśćkę tych pięknych skarbów!

Tu każdy z nich złapał kij sękaty i łupu cupu, łupu cupu tak dokumentnie zgarbowali skórę osłupiałemu Prepeliczy, że ten — jak stał, tak prosto pobiegł do doktora z żądaniem, żeby zdjął dokładną mapę sińców, pręg ciemnych i innych obrażeń na plecach i całym ciele, potem zaś popędził do Jana Krekicsa, pokątnego adwokata, aby natychmiast wysztychował na prześlicznym papierze instancję z oskarżeniem do samego kró-

la w Wiedniu na Gregoricsów, którzy poważyli się znieważyć wysłużonego kaprała z pod Este. (Król nie potrzebuje się wstydzić za mnie — zauważył nawiasem Prepelicza do adwokata—bo i ja się nie wstydzę. Siła złego dwóch na jednego!) Trzecim zaś bezpośrednim czynem Prepeliczy było wsiąść na bryczkę (piechotą nie mógł się ryzykować skutkiem poturbowanych kości), i kazać się wieźć do Varecski, gdzie mieszkała Panyókowa. Tam opowiedział jej szczerze od początku do końca, jak się rzecz miała.

Tak się rozpoczął słynny proces Gregoricsów, w którym jedną ze stron pozywających była rodzona ich siostra, Panyókowa, a który zajmował uwagę całej okolicy przez lat przeszło dziesięć. Do sprawy tej stawał istny legion świadków, zaś akta urosły z czasem do wagi siedmdziesięciu trzech funtów. Pani Panyókowa zdołała dowieść trzy główne zarzuty, mianowicie istnienie kotła, zamurowanie go i złą wiarę dwóch braci Gregoricsów. Więcej—nic innego dowieść nie mogła. Gregoricsowie ze swojej strony, tudzież ich obrońca bili tylko na podstępność i zdradliwy charakter nieboszczyka, który dokładnie obmyślił ich krzywdę i w tym celu napakował pełen kocioł gwoździ i starego żelastwa, aby im głowę zawrócić i wykwitować ze schedy.

Ponieważ nieboszczyk nie mógł mieć adwokata ani protekcji—więc, oczywiście, on pozostał w matni. Byli jednak tacy, którzy chętnie w to wierzyli, iż dopuścił się on istotnie imputowanego mu podstępu, że napelnił kocioł istotnie samem tylko żelastwem i gwoździami, aby złemu, znane-

mu z interesowności rodzeństwu swemu zostawić w spadku po sobie ten proces bez dowodów, bez wyjścia, który dopiero natenczas się skończył, gdy już wszystko jedno było stronom kto wygra, kto przegra, ponieważ puste torby im pozostały: owe siedmdziesiąt trzy funty papieru i pięciu, czy sześciu adwokatów—całe ich mienie pożarzy.

Gregoricsowie niebawem po kolei poumierali—wszyscy w ciężkiej biedzie. Pamięć o nich niedługo zaczęła się zacierać, tylko prokurator nieraz delektował się wspomnieniem Pawła Gregoricsa.

— Hoho! To był cwaniak nielada!

Ale gdzie jego majątek się podział — tego nikt nie umiał odgadnąć.

A faktem przecież, że był,—i to że był duży. A ślad po nim zaginął. Nie dostał się nikomu.

Choć raczej — owszem! Odziedziczyły go *bajki*. Bajki rozporządzać nim zaczęły z całą swobodą nieprzebranej fantazyi: dzieliły go, rozmnażały, to tu, to owdzie przenosiły, — gdzie im się żywnie podobało.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TROPY.

Wyłania się parasol.

Upłynęło lat wiele, niejedna przez ten czas tratwa przepłynęła po Garamie, rozmaite niezliczone zmiany zaszły w Bystrzycy,—ze wszystkich zmian jednak nas ta jedna tylko obchodzi, że na domu, ongi Gregoricsów, nad drzwiami, prowadzącymi do sieni wchodowej, widnieje obecnie tabliczka, na której złożone litery składają się w napis: „Jerzy Wibra, adwokat przysięgły”.

Postępuje świat, postępuje, wciąż naprzód idzie.

Mały Jerzyk wyrósł na słynnego adwokata. Gdy zasiada w radzie—zdania jego zasięgają najpoważniejsi mężowie komitatu: gdy idzie ulicą — śmieją się do niego przez okna z po za doniczek kwiatowych najpiękniejsze, dziewczęce buziaki. Bo istotnie: śliczny chłopak i nie byle co. I wykształcony, i ładnie ubrany... Czegóż więcej potrzeba na tym Bożym świecie? Młody, zdrów —

świat cały stoi przed nim otworem. Kto wie,—tylko patrzeć, jak posłem zostanie.

Tak daleko jednak nie buja małomieszczańska fantazja. Dla niej potrzeba drabinki i szczebelków, ściśle pilnowanych. A cóżby innego mogło być w tym wypadku takim pierwszym szczeblem, jeżeli nie pytanie: z kim się też Jerzy Wibra ożeni?

Z pocałowaniem ręki wyszłaby za niego nawet Kasiunia Krikowska—a jestto przecież najpiękniejsza dziewczyna w mieście. Oddałaby mu rękę bez wahania i Matylda Hupka, pomimo, że taka harda i pogardliwa dla innych. Co więcej! nie ulega żadnej wątpliwości, iż nie dałaby mu ko-sza sama Mariszka Biky, chociaż córka obywatelska i posiada pięćdziesiąt tysięcy reńskich posagu. Tak, tak, ciężkie czasy na panny: nie bardzo się dziś drożą!

Ale Jerzy Wibra zdawał się ani myśleć o tem. Był to młody człowiek wogóle bardzo poważny i głęboko myślący. Znajomi jego wszyscy czynili jedno spostrzeżenie, mianowicie, że całkiem co innego kluje mu się w głowie, niż innym pospolitym ludziom. W zwykłym rzeczy porządku taki przeciętny młody chłopiec, uzyskawszy dyplom, przedewszystkiem myśli o tem, żeby własną kancelaryę otworzyć i, o ile możliwości, jaknajwięcej klientów sobie zjednać, — następnie, w miarę jak powodzenie jego wzrasta, rozszerza się i pierwotne jego gniazdko, aż spostrzegać zaczyna, że znaczny już obszar, jaki terytorjum jego zajmuje, dziwnie jest pusty i że przeto zaludnić go trzeba. Więc sprowadza sobie jaki jasny, lub ciemny te-

pek niewieści, aby mu pustkę zaludnił. Tak czynią prawie wszyscy młodzi adwokaci, którym Bóg nie poskąpił życiowego sprytu.

Jerzy tymczasem ani myślał o tem. Kiedy pewnego razu mama Krikovska, zręcznie chcąc rzecz zagać, zagadnęła go, ni ztąd ni zowąd, kiedy też nazwisko jego można będzie wyczytać w ogłoszeniach Hymenu, odpowiedział niemal z oburzeniem:

— Daruje pani, ale ja nie mam zwyczaju się żenić.

Bo czyż istotnie nie jest to zwyczaj, zły zwyczaj, który żadną miarą nie chce wyjść z mody. Od niezliczonych tysiącoleci panuje ta moda, spływając naksztalt dziedzictwa z pokolenia na pokolenie, skarżą się na nią ludzie, że niewygodna, kręcą głowami, uznają że głupstwo zrobili, ale na nic mądrzejszego jeszcze się świat nie zdobył. Dopóki będą rosły młode dziewczęta — zawsze rosnać będą dla kogoś...

Kancelarya młodego adwokata prosperowała wspaniale: z dnia na dzień wzrastała jego klientela, szczęście mu się uśmiechało, lecz on nie odplacał mu za to uśmiechem. Pracował bo pracował, ale rzec można, że raczej z przyzwyczajenia, z nałogu, niż z przekonania, albo ochoty: ot tak—jak się człowiek myje i czesze codziennie rano, tak on wypełniał swoje adwokackie obowiązki. Duch jego błędził gdzieindziej. Ale gdzie?

Hej, gdzież to zwykła błdzić dusza o tej porze życia?

Przyjaciółom zdawało się, że się domyślają wszystkiego i zarzucali Jerzego pytaniami.

— „Stary!” czemu się nie żenisz?

— Nie mam pieniędzy.

— Więc też właśnie dlatego trzeba się ożenić. Żona ci da grosze. (Tak rzecz pojmuje tegoczesna młodzież).

Jerzy potrzasał głową, a miał śliczny, po męsku zarysowany kształt głowy owalny i pełne wyrazu, czarne, smutkiem powleczone oczy.

— Nieprawda. Grosze dają żonę.

Hoho, widzicie go! Ciekawa rzecz jakiej to żony mu się zachciewa. Muszą się tam knuć pod tą czupryną jakieś bardzo ambitne zamiary.

— Tam do licha! Nie byle jaki *Streber* z tego Jerzyka Vibry. On sobie coś wielkiego wymarzył, po coś wielkiego sięga.

Co mu tam po tych ładnych, gąskowatych mieszczkach! On widać parol zagina na jaką pannę Mednyńską, albo na baronównę Radvaińską. Karyerowicz w wielkim stylu, jeden z tych, którzy, jak dzikie wino, wpierw wysoko się wspiąć muszą zanim zakwitną. A przecież, gdyby się teraz ożenił—nic nie przeszkadzałoby mu w dalszym ciągu się wspinać. Ot na przykład fasola: jednocześnie się wspina i kwitnie...

Ludzie pletli bezmyślnie, sami nie wiedząc, co mówią.

Jerzy Wibra nie był przesadzenie ambitny: to, co karierę jego wytrącało z orbit, co brzmiało rozdźwiękiem w jego duszy, nie było to nic innego, tylko owa nieszczęsna legenda o należnej mu schedzie. Żadne cudne liczko dziewczyny ukochanej, ani majaki upragnionej wielkości—tylko ta legenda.

Legendą bowiem było to dla innych, dla niego jednak—niemal objawioną prawdą, która błyszczała przed nim to tu, to owdzie, jak błędny ogień. Myśl o niej nie opuszczała go ani na chwilę, a dosięgnąć jej nie mógł. Pędził i pędził za nią na jawie i we śnie,—wciąż słysząc głosy, niewiadomo z kąd idące, to z muru, to z przydrożnych kamieni: „Przecież miliony do ciebie należą, waryacie!”. Podczas gdy pisał mizerne podania za pięć, albo za dziesięć reńskich, zaraz esy floresy ozdobnych liter skręcały się w jedno wołanie: „Rzuć pióro, Jurku Wibra, masz skarbów pod dostatkiem, Bóg wie jak wielkie posiadasz skarby! Zostawił ci je ojciec twój, bo on ojcem był twoim... Dla ciebie je zbierał, jesteś prawym jego spadkobiercą! Ty wielkim panem jesteś, Jurku, nie adwokatem biednym! Rzuć do kroćset dyabłów te przeklęte akty, a zajmij się skarbami twymi. Trzeba ich szukać. Otóż to właśnie. Gdzie ich szukać?... W tem sęk, od którego można zwaryować. Gdy znużony spoczniesz gdziekolwiek—być może, iż na nich właśnie siedzisz. Być może, iż rozgrzewa je właśnie dłoń twoja, gdy ją na czemkolwiek oprzesz. A mimo to wcale nie wykluczoną jest rzeczą, że ich nie odnajdziesz nigdy. A jakimbyś ty umiał być panem! Jak ty byś potrafił używać pieniędzy! Jeździłbyś prześliczną czwórką, spijałbyś szampana, trzymałbyś służby bez liku. Inny świat, inne życie stałoby przed tobą! Srebrne klucze w herby zdobnych podwoi z cichym zgrzytem roztwierałyby je dla ciebie na szelest kroków twoich... Tylko odrobiny domyślności na to potrzeba! Szczęśliwego

rozjaśnienia umysłu, zbłysku pojęć, z którego wykrzesaloby się objawienie!... Ponieważ jednak nie ma objawienia, ani rozjaśnienia, ani domyślności,— więc skrob piórkiem w dalszym ciągu, jak dotąd, biedny przyjacielu i egzekwuj ze szlachetnym spokojem śmiesznych pieniaczy słowackich!...”

Prawdziwą niedolą stała się dla Jerzego świadomość o zaprzepaszczonej mieniu. Sam dokładnie zdawał sobie z tego sprawę i nieraz gorzko żałował, że wiedział o istnieniu tego majątku. Wiele dałby za to, gdyby z pomroku tej ciemnej sprawy naraz wyszło coś na jaw, co mogłoby za dowód służyć, że dziedzictwa tego wcale nigdy nie było. O gdybyż stanął kiedy przed nim jakibądź człowiek i powitał go słowami:

— Spotkałem kiedys starego Gregoricsa w Monako: szalone sumy przegrał...

Lecz nie, przeciwnie: wszystko sprzysięgło się na to, aby coraz dowodniej go utwierdzić w przekonaniu, że majątek istnieje gdzieś ukryty: spotykał samych tylko takich ludzi, którzy go upewniali, jakby ich zmowa wiązała:

— Ogromną schedę, bez żadnej wątpliwości znaczne kapitały musiał panu zostawić nieboszyk Paweł Gregorics. Mogę się panu zakląć na wszystkie świętości, że stary posiadał ogromne pieniądze. Czy pan się naprawdę wcale nie domyślasz, gdzie się to wszystko podziało?

Nie domyślał się niczego, ale mózg jego ciągle w tym kierunku pracował i psuł mu każdą przyjemność, pozbawiał go chwili spokoju. Znakomity ten, młody prawnik zaprawdę stał się niby *pół-człowiekiem*, ponieważ nastarczać musiał na-

strojom moralnym dwóm, zupełnie różnej natury ludziom. Jednego dnia żył pogodzony z myślą, iż jest synem służącej i w dodatku nieprawym; odczuwał i pojmował z całą słusznie sobie należną dumą, że oto własną pracą, własnymi siłami zaszedł tak wysoko, zdobył sobie imię, był przyzwoity, czuł się pokrzepionym w swojej indywidualności, szczęśliwym, zadowolonym i rozmiłowanym w swej pracy. Lecz jedno słowo, jedna myśl, w bok rzucona, starczyła, aby go nagle przerzucić w inną ostateczność i innym uczynić człowiekiem. Wszakże on jest synem bogacza, Pawła Gregoricsa, krociowego pana... Bezdomnym tułaczem jest i będzie, dopóki nie odszuka należytej sobie po ojcu puścizny. I z dnia na dzień porywała go paląca żądza tych niewiadomo gdzie ukrytych skarbów, tantalowe pragnienie, niczem nie dające się zaspokoić. Nieraz rzucał swoją wziętą, świetnie rozwijającą się kancelarję, aby całe tygodnie przesiedzieć w Wiedniu szukając i szperając wszędzie i wszystko, co mogło mieć swego czasu jakąkolwiek styczność z jego ojcem. Poruszał w tym celu wszystkie stosunki nieboszczyka i wszystkich jego znajomych.

Bogaty fabrykant powozów, który nabył od Pawła Gregoricsa jego dom w Wiedniu, powiedział mu pewnego razu rzecz bardzo znamiennej.

— Pamiętam, jak ojciec pański rzekł do mnie tego dnia, kiedy zapłaciłem cenę kupna: „złożę te pieniądze na dowód asygnacyjny w którym ze znaczniejszych banków”. I zaczął mi się wypytwać o zasadniczą różnicę między naturą czeków a assygnat.

Jerzy na tej zasadzie rozpoczął badania wszystkich banków po kolei, bez żadnego jednak rezultatu. Zmordowany, wyczerpany, zniechęcony wrócił nareszcie do Bystrzycy z tem mocnem postanowieniem, iż wszystko, co dotyczy mniemanego spadku, będzie uważał za niebyłe. „Nie będę już więcej uganiał się za tem niby kiepski waryat. Nie pozwolę, żeby złoty cielec całe życie ryczał mi do ucha i wszystko mi pożerał. Już ani kroku nie uczynię dla tych poszukiwań, a całą legendę o schedzie będę uważał za sen za marę!”

Ale czyż możebną jest rzeczą wykonać takie postanowienie? Zarzewie można przysypać popiołem, ale czyż iskry w niem zagasną? Czy nie rozdmuchuje ich ustawicznie byle najmniejszy wietrzyk?

Ten to powie, tamten znów co innego... Mama, pocziwa, stara mama, która teraz już o kulach chodzi—nieraz wspomina dawne czasy. Szczерze, szczegółowo wszystko opowiada przy ciepłym kominku. Dawno to było,—już wszystko jedno. Można wszystko z zaufaniem mówić. Węć wyznała kiedyś, że gdy zacny Paweł Gregorics miał zamknąć oczy, domagał się koniecznie, aby zawezwano Jerzyka depeszą.

— O jakże oczekiwać ciężko mu było, nie mógł umrzeć, bo koniecznie ciebie pragnął zobaczyć. A wszystkiemu ja byłam winna.

— A dlaczego tak koniecznie oczekiwał i widzieć mię pragnął? Nie mówił?

— A jakże, mówił. *Chciał ci coś doręczyć.* O jakże ciemności się mienia, to mroczą się

to rozwidniają... Drobne jak pył blaski mającą tu i owdzie... Z tego, co mówił fabrykant powozów w Wiedniu, mógł Jerzy wnioskować, że scheda po Pawle Gregoricsu musiała istnieć w asygnatach bankowych. Ze słów mamy, staruszki, znowuż wynika, jakgdyby chciał synowi do własnych rąk te asygnaty oddać... To znaczy, że miał je u siebie do chwili skonań. I gdzie się podziały? Jaki bank je wydał? Czyż taką rzecz można zostawić bez zbadania? Przejść nad nią do porządku dziennego, spokojnie, z lekkim sercem, z zimną krwią zapomnieć o niej doszczętnie?

Nie, niepodobna! Takie kapitały nie mogą zginąć bez śladu! Przecież i ziarno kukurydzy, jeżeli padnie na krawędź rowu — albo gdziekolwiek — wszędzie zaznaczyć potrafi swoje istnienie, nawet w kieszeni kubraka kielkuje. Nie zaś dopiero majątek! Iskra zapali, słowo rozdmucha...

Rozdmuchanie nie dało też na siebie nazbyt długo czekać. Pewnego dnia zawezwano Jerzego do umierającego burmistrza, Tomasza Krikovskiego, aby napisał testament. Byli przy tem obecni główny rejent miasta i kilku innych senatorów, których chory chciał mieć przy sobie w ostatniej swojej godzinie.

Głowa miasta (ta stanowcza zawsze, rozkazująca głowa) leżała na poduszkach bezsilna i pozołkła, ale i teraz nawet zachowała pewną uroczystość dykcji i tonu, jakim żegnała się z ciałem urzędniczem, zaklinając tych ludzi na wszystkie świętości, aby w dalszym ciągu sumiennie pełnili pieczę nad szlachetnem miastem,—poczem,

wydostawszy z pod poduszki urzędową pieczęć miasta, podał ją burmistrz z głębokiem westchnieniem głównemu rejentowi.

— Przez lat dwadzieścia znakiem tym stwierdzałem wyroki sprawiedliwości.

Potem zaczął dyktować Jerzemu swoją wolę ostatnią, a czyniąc przy tem przegląd całego życia swojego, zahaczył o wspomnienia z czasów rewolucyi.

— Tam do licha, panie, jakie to były czasy!—zawołał, zwracając się wprost do Jerzego. Pański ojciec posiadał parasol czerwony, który miał rączkę wydrążoną wewnątrz. W tem to wydrążeniu przenosił on z obozu do obozu najtajniejsze dokumenty.

— Ah... tak? Parasol!... — wyjąkał Jerzy Wi-bra i naraz oczy mu rozbłysły tysiącem promieni.

Jak huragan przeleciała mu teraz przez głowę cała wichura myśli. Oh Boże! Naturalnie, że w tym parasolu musiały być ukryte asygnaty bankowe!... krew zaczęła mu pulsować w żyłach z nieopisaną szybkością, skronie kroplami potu się pokryły, a domysł tryumfalnie pogalopował pod znak pewności.

Tam być musiały, tam były, tam są dotychczas—to rzecz niewątpliwa! Naraz żywo przed oczyma stanęła mu scena, jaka się niegdyś odegrała nad brzegami Cissy, gdy parasol wypadł z łódki w piękne, jasne nurty. Jak się stary wtedy przeraził, jak wielką nagrodę wyznaczył za wyłowienie tego niepokażnego sprzętu!

Nie ulega kwestyi! To rzecz całkiem pewna!—I naraz przypomniały się Jerzemu słowa,

jakie Gregorics wtedy do niego powiedział: „gdy parasol ten kiedyś na twoją własność przejdzie, przyda się, przyda przeciwko deszczom i chmurom”... Słowa te zabrzękły mu, zadźwięczały teraz w uszach, jakgdyby co tylko w powietrzu rozbrzmiały—jakgdyby głos z tamtego świata je teraz powtórzył.

Senatorowie byli zdziwieni, że młody adwokat wydaje się tak bardzo wzruszony ostatnimi chwilami pana Krikovskiego; ostatecznie stary dobrze czyni, iż umiera, bo przecież i tak już ledwie-ledwie że powłóczył schorowanemi nogami: należy mu się już spocząć, a przytem pora już nadeszła, aby młodszemu ustąpił miejsca na świecie. Nie żył popróżnicy, napracował się rzetelnie i zasłużył na to, aby wymalowano jego portret i zawieszono w sali obrad miejskich. Gdyby jeszcze z dziesięć lat był pokierował nawą miasta, to i tak już większego zaszczytu nie byłby się dobił, i tylko ta byłaby różnica, że portret byłby brzydszy, bo musiałby przedstawiać jeszcze starszego człowieka.

W prawdziwą atoli konsternację wprowadziło senatorów oryginalne pytanie, jakie zadał młodzieniec umierającemu, nie bacząc na uroczystość chwili.

— Duże też było to wydrażenie, szanowny panie burmistrzu?

— Jakie wydrażenie? — odpowiedział pytaniem konający, który już zapomniał o tem, co mówił przed chwilą.

— W rączce tego parasola, panie burmistrzu. Konający popatrzył na niego szklanemi,

bielmem śmierci zaszłemi oczami i, z trudnością chwytając przez zaciśnięte zęby powietrze, wyjąkał w odpowiedzi:

— Nie mam pojęcia. Nie pytałem się o to nigdy pańskiego ojca.

Po chwili przymknął oczy i cichym głosem, z tym rozrzućnym humorem szubienicznym, z jakim tylko Węgier potrafi umierać, dodał:

— Poczekaj pan jeszcze chwileczkę, zaraz się go zapytam.

I niezadługo istotnie miał możność dotrzymać tego przyrzeczenia, bo zaledwie odszedł młody adwokat, tudzież cała starszyzna miejska, niepełna w pół godziny potem hajduk Privoda przymocował do wieży ratusza czarną flagę żałobną, a dzwon katolickiego kościoła rozbrzmiał posępnymi jękami, wzywającymi do pacierza za duszę umarłego.

Jerzy Wibra tymczasem wróciwszy do domu, w gorączce, silnie podniecony, biegał tam i napowrót po swej kancelaryi. Z radości o mało mu serce nie wyskoczyło z piersi. „Więc jest nareszcie, jest skarb utracony!” Po chwili jednak znów opanowały go wątpliwości. „To jest byłby niewątpliwie, gdybym wiedział, gdzie jest ten parasol. Ale gdzie on może być?”

Ani jeść, ani pić, ani spać nie mógł, dopóki nie poczynił chociaż wstępnych kroków do odnalezienia parasola. Przedewszystkiem jął wypytywać matkę. Staruszka zaczęła wysilać całe swoje zdolności pamięciowe, ale niewiele umiała powiedzieć.

— Ktoby to wiedział, ktoby to spamiętał,

drogi synku, przecież to już tyle lat temu! Ale właściwie, na co ci się teraz przyda ten zniszczony rupieć?

Jerzy westchnął głęboko.

— Paznogciami własnymi wykopałbym go z pod ziemi, gdyby to było możebne!

Kobiecina wzruszyła ramionami, pokręcając głową.

— Może Maciek będzie umiał co powiedzieć.

Maćka łatwo było wziąć na wypytki, bo stary poczwiwna i teraz pykał fajeczkę w przedpokoju u młodego pana, jako jego służący. Cóż, kiedy i on na nic innego nie umiał się zdobyć, jak na zapewnienie, że od tej pory i o wielu ważniejszych rzeczach zdążył zapomnieć nietylko o parasolu. Mimo to, pamięta dokładnie, że starszy pan, nawet umierając, jeszcze go wciąż przy sobie trzymał. Pan Bóg raczy wiedzieć z jakiej przyczyny taką go otaczał uwagę.

(Wiedzą już o tem i inni, nietylko Pan Bóg).

Najcenniejszemi jednak okazały się zeznania starej wdowy, Botarowej, która wciąż jeszcze dzierżawiła kramikowy sklepik w domu Gregoricsa, i była obecna—czy też nawet pomagała przy myciu i ubieraniu zwłok jego po śmierci. Jejmość ta zaklinała się na niebo i ziemię, że widziała parasol w rękach umarłego, któremu palce tak zesztyniały na nim, iż trzeba je było siłą rozprostowywać, żeby go z nich usunąć, a włożyć między nie, jak pobożny obyczaj każe — krzyżyk poświęcany.

Młody adwokat odwrócił się, żeby ukryć lzy,

które mu napłynęły do oczu na to wspomnienie.

— Tak, tak, umarły trzymał go w ręku—powtarzała z całem przeświadczeniem wdowa Botarowa: bodajbym się na sto sążni w ziemię zapadła, jeżeli to nie prawda!

— I cóż mi z tego!—mruknął Jerzy w zamyśleniu:—mnieby trzeba było wiedzieć, gdzie ten parasol teraz się znajduje.

— Napewno sprzedano go na licytacji, razem z wieloma innymi rzeczami.

Niestety — to właśnie było najprawdopodobniejsze. Jerzy co tchu popędził do archiwum miejskiego, gdzie wśród akt, traktujących o puściźnie po jego ojcu, musiała się znajdować i rejestralna księga licytacyjna. Bez trudu znalazł wykaz przedmiotów sprzedanych, tudzież ich nabywców: kto, i za jaką cenę nabył szafy, stoły, krzesła; nie pominięto starej bundy, strzelby myśliwskiej, laski sękatęj i filcowych papuci, ale o parasolu nie było ani słowa. Po dziesięćkroć przeglądał, czytał, szukał dopisków—wszystko po próżnicy, nigdzie ani śladu. Jedna tylko jedyna, nader ogólnikowa wzmianka zwróciła jego uwagę:

„Rozmaite bezużyteczne rupiecie—2 reńskie. Kupił biały żyd”.

Licho wie, może między tymi rupieciami był właśnie i parasol? Ale tylko może. Ostatecznie stary taki, wysłużony parasol mógł zostać zaliczony do bezużytecznych rupieci. Kupił „biały” żyd. Oczywiście trzeba przedewszystkiem tego białego żyda wyszukać. Musi to być pierwszym etapem działania.

Właściwie jednak—któż to taki, ten biały żyd?

Rzeczą zaznaczenia godną bowiem było, iż dawniej w takich małych, górniczych miścinach nawet na licytacyach żyd bywał istną rzadkością. Jeżeli się wobec tego dwóch, trzech kiedy trafiło, nietrudno ich było rozróżnić. Jednego nazywano żółtym dla jasnych włosów, bruneta — czarnym, innego — dajmy na to czerwonym, o ile się trafił rudy, jeżeli osiwał — białym: te cztery barwy zupełnie wystarczały na określenie wszystkich żydów w miastach. Cóż, kiedy od tamtej pory zdążyli się żydzi rozmnożyć conajmniej na setkę rodzin w Bystrzycy, że zaś Pan Bóg zaniedbał równocześnie powiększyć ilości kolorów uwłosienia, kwestya rozróżniania żydów jednego od drugiego stała się teraz bardziej skomplikowana.

Pomimo to jednak nie było rzeczą trudną wyśledzić o jakim to mianowicie białym żydzie wzmiankowała księga licytacyjna: starsi ludzie w mieście pamiętali jeszcze, że za owych czasów białym żydem nazywano Jonasza Mintza. Tem prawdopodobniejszem było, iż o nim to właśnie musiała być mowa, ponieważ cała wogóle starzyzna miejscowa, spodnie, kamizelki *et tutti quanti* dawały sobie przez długi szereg lat, przed rozpoczęciem drugiego etapu ziemskiej wędrówki nieuniknione *rendez vous* w małym sklepiku przy ulicy Kukurydzowej. Wielu jeszcze pamiętało niewielki ten sklepik, gdzie zamiast szyldu, wszystko wisiało w naturze u wejścia: trzewiki, sznurowadła, intymne i bardziej na pokaz kwalifikujące się części ubrania, rozmaite popisowe, lub całkiem poufne utensylia domowe, na drzwiach zaś figurował następujący, węglem postawiony napis:

„Chyba lilie polne ubierają się taniej, niż ci, którzy w tym sklepie kupują”.

(Była to—dodać trzeba — bezsprzeczna prawda. Inna rzecz, że lilie trochę się piękniej ubierają, niż klientela rzeczzonego sklepu...)

Wszystkie te dane nie bardzo zadowolily Jerzego; to też — aczkolwiek nader słabą miał nadzieję odnalezienia starego parasola, jednak—żeby sobie nie mieć nic do wyrzucenia, udał się z archiwum miejskiego do prezesa sądu, jasnie wielmożnego pana Sztolarika, wypytać go o szczegóły, bo ten, jako że dłuższy czas był bardzo znany i wziętym rejentem w mieście—niemal osobiście znał każdego mieszkańca i wszystkie ich stosunki.

Otwarcie i szczegółowo opowiedział Jerzy swojemu byłemu opiekunowi odkrycie swoje, że majątek Pawła Gregoricsa, złożony prawdopodobnie w jednym z zagranicznych banków za dowodem asygnacyjnym—został *prawie* że odnaleziony. Asygnaty—bez żadnego wątpienia schował Paweł Gregorics do wydrażenia w rączce swego parasola, który to parasol—są pewne poszlaki, iż nabył po jego śmierci na licytacji pewien żyd, nazwiskiem Jonasz Mintz.

Wszystko to wyrzucił Jerzy z siebie zadyuszany, szybko, jednym tehem.

— Tyle mi się udało dowiedzieć. A dalej co mam teraz przedsięwziąć?

— To dużo! To bardzo dużo, to więcej, niżeli śmiałem się spodziewać. Teraz obowiązkiem twoim jest dalej prowadzić badanie.

— Dobrze, ale gdzie i jak badać? Przecież

Mintza napewno już niema, a chociażby nawet żył jeszcze, kto wie na jakim śmietniku poniewiera się od tej pory mój parasol!

— W żadnym jednak razie zdobytej nici puszczać nie należy.

— Znałeś ojciec, opiekunie, Jonasza Mintza?

— Naturalnie. Bardzo porządne żydzisko było, i dlatego też, biedak, nie dorobił się niczego. Często zachodził do mnie; jakbym go widział, z dużą, łysą głową, tylko z kosmykami jak mleko siwych włosów nad karkiem i u skroni. Tam do licha! (tu pan Sztolarik aż podskoczył pod nagłym napływem wspomnień)—jak dziś pamiętam, kiedy go po raz ostatni widziałem, właśnie trzymał w ręku czerwony parasol Pawła Gregoricsa!... Słuchaj, Jerzy, już teraz wiem napewno i mógłbym na to przysiąc, nawet żartowałem sobie z tego powodu: „To Jonasz, jak widzę, nawet i na tamten świat chodzi handlować i tam nabył ten parasol od pana Gregoricsa?” Roześmiał się stary na te słowa i, wpadłszy w dobry humor, odrzekł, iż tak daleko jeszcze nie zwykł chadzać, gdyż bywa tylko w Zólyom i Hont, inne zaś komitaty rozdzielił pomiędzy swoich synów: do Moryca należą Trencsén i Nyitra, do Szmula—Spiż i Liptó, najmłodszy zaś smyk, Kobi, dopiero w ubiegłym tygodniu otrzymał komitat Barski. Na tamten świat jednakże to ani on sam jeszcze nie robił wycieczek, ani też żadnego z synów nie puści, chyba gdyby kiedyś przemocą do tego zostali zmuszeni.

Oczy Jerzego Wibry ciskały promienie zachwyty.

— Brawo, drogi ojczy, opiekunie!—zawołał, lub raczej wykrzyknął, nie umiejąc panować nad siłą głosu z radości. Taką pamięcią chyba tylko bogowie mogli się szczycić!

— Szczęśliwiec z ciebie, kochany Jerzy. Przeczucie jakieś mi szepce, że tym razem trafiłeś na trop prawdziwy, który cię doprowadzi do odzyskania schedy po twym ojcu.

— Teraz i ja również jestem tego pewny,—prawił z zapalem adwokat, który równie łatwo wpadał w optymizm, jak w przeciwną ostateczność.—Ale cóż się dzieje obecnie z tym pocztowym Mintzem?

— Istnieje o żydach pewna legenda chrześcijańska. Powiadają, że w porze roku, kiedy dnia przybywa, codzień jeden żyd przepada gdzieś bez śladu. Tak też właśnie i stary Jonasz zniknął pewnego razu i wieść o nim zginęła. Coś około cztertnastu lat temu przyszła kolej na niego. (Nie bój się, kochanku: z pomiędzy Rotszyldów żaden nie zawieruszy się podobnie). Żona i dzieci czekali na niego, czekali—ale Jonasz nie wrócił. Nareszcie wyruszyli synowie na poszukiwania, i wydało się, że stary Jonasz popadł w obląkanie i laził bez celu od wsi do wsi: wśród Słowaków się tułał, widzieli go to tu, to owdzie, synom coraz błyskała nadzieja odnalezienia starego, ale nie zdążyli, gdyż pewnego dnia rzeka Garam wyrzuciła martwe jego zwłoki.

Piękna twarz adwokata zachmurzyła się wyrazem zniechęcenia.

— To i parasol przepadł w Garamie.

— Niekoniecznie. Zkąd pewnoś, że wy-

chodząc na swoją ostatnią wędrowkę, nie zostawił parasola w domu? A jeżeli go zostawił — to do dziś dnia leży może wśród stosu domowej starzyzny. Bo przecież sprzedać takiego gratu chyba nie mógł żyd nikomu. Nie można ustawać w pół drogi; dalej synu, probuj szczęścia! Na twojem miejscu wskoczyłbym na bryczkę i jeździłbym, jeździłbym, dopóki...

— Ale gdzie jeździć? Dokąd się kierować?

— No prawda, prawda!...

Pan Sztolarik popadł w zamyślenie.

— Synów tego Mintza jest pełno po całym świecie—rzekł po chwili—i jestem najpewniejszy, że ich skromne stoliczki z zapalkami, z jakimi rozpoczynali swój handel—dzisiaj już przeobraziły się w przyzwoity dochód dającą kamienicę. Ale wiesz co, radziłbym ci jechać prosto do Bábaszék: ich matka, wdowa, tam mieszka.

— Gdzież to jest, ten Bábaszék?

— Zaraz tuż koło Zólyom, pomiędzy górami: kpią z tej miejscowości, że taka zimna, iż podczas największej kanikuly owce tam marzną.

— Czy tylko napewno Mintzowa tam mieszka?

— Z największą pewnością. Parę lat temu mieszkańcy Bábaszéku zgodzili ją i zabrali do siebie na „żydówkę“.

Nasza Rozalja.

Tak było istotnie: starą Mintzową zabrano do Bábaszéku „na żydówkę” z pensją czterdziestu reńskich, ponieważ Bábaszék nie miał wcale

żyda, a tak się okoliczności złożyły, że koniecznie potrzebował posiadać bodaj jednego przedstawiciela tej przyjemnej rasy.

Rzecz się mianowicie tak przedstawiała (trudno to zrozumieć mieszkańcom miast wielkich), że Bábaszék, kolibrowej maleńkości miścina, tem jedynie różniła się od pobliskich ubożuchnych wiosek, że wójta swego tytułowała burmistrzem, i że raz do roku z okolicznych wsi i innych siedzib spędzano tam po kilka cieląt, po kilka młodych wołków, kilka chudych szkapin, — że na ten dzień przybywał z Zólyom piernikarz tamtejszy, Samuel Plokár i roztasowywał się w przygodnym pawilonie, że rozkupywano tuzinami jego piernikowe serca, piernikowych huzarów, gwiazdki i kołyski, aby je w prezencie zanieść znajomym dziewczętom lub dzieciom. Jednem słowem: w Bábaszék odbywał się jarmark. Dumny z jarmarków miasta rodzinnego każdy rdzenny obywatel Bábaszéku zwykł też być kalendarzowy rok dzielić na dwie połowy i wszelkie drobniejszej wagi, lub też na świat cały głośnie wydarzenia w taki sposób rozmieszczać w czasie, że jedne legitymowano jako z przed jarmarku pochodzące, późniejsze zaś — jako już po jarmarku zjawione. Więc mówiono, że to i to stało się jeszcze na tyle i tyle tygodni lub miesięcy przed jarmarkiem, a — np. śmierć Franciszka Deáka przypadła we dwa dni po jarmarku w Bábaszék.

A wszystkiemu byli winni dawni królowie węgierscy, którzy, zjeżdżając na polowania do Zólyom, lub do innych okolicznych zamczysk, zamiast innego rodzaju napiwek obmyślić dla są-

siednich wiosek—mieli zwyczaj podnosić je w randze do znaczenia miasteczek.

Nie można zaprzeczyć, że piękny to jest przywilej. W mieście wszystko zaraz większej nabiera wartości, lepiej się wydaje i podwórze, i ogród—nawet i sam człowiek. Być mieszczaninem przecież także coś znaczy. Jak człowieka wybiorą do rady, to się z niego robi senator; stary dom pod słomianą strzechą, gdy w nim rada miejska zasiada, staje się ratuszem, wójt—sędzią; prostego pacholka, skoro dostanie trzos z mosiężną zapinką na brzuchu, nazywać będą powszechnie—hajdukiem. Taki hajduk to nawet musi posiadać umiejętność bębnienia, ponieważ miasto ma własny bęben, — co mówię, bogatsze miasta zdobywają się nawet na zakupienie sikawki! Trudno; co ranga, to ranga, ale trzeba ją też umieć reprezentować w sposób odpowiedni.

To mniemanie coprawda aż zanedo się rozpowszechniło pomiędzy ludźmi i nad każdym takim sławetnym ratuszyną małomiejskim takie też wichry huczą, że do góry dnem wywracają cały dobytek obywateli tych drobnych, ośm, lub dziewięć tysięcy ludności liczących miast, świeżo kreowanych. Jedno z drugim rywalizuje o pierwszeństwo, każde wykazać usiłuje swoją żywotność, swoją zamożność, każde pragnie hasać na wielkim rumaku, gdy w worku ma zaledwie tyle obroku, iż z biedą zdołałoby wyżywić żrebaka. Żle jest; koniec tego będzie żalosny. Zobaczysz kto dożyje.

Zacne miasto Zólyom szydzi z Tot-Pelsöc.
— To ma być miasto? Nawet apteki nie ma!

Zólyom w łyżce wody utopiłoby Tót Pelsöc; a przecież trudno, Boże drogi! Każdy kąt i zaścianek nie może być zaraz Bystrzycą, albo jakim innym Londynem.

Ale Tót-Pelsöc ma także kły i ze swojej strony potrafi sławę innych znów, słabszych od siebie miast szarpać. Nie daje spokoju biednemu Bábaszékowi, tylko szczeka na niego i жуży.

— Alboż to miasto? Czy bodaj jednego żyda posiada, chociaż na nasienie? A już jeżeli się żyd gdzie nie zagnieździ, najlepszy to jest dowód, że okolica nic nie warta, iż żadnej nie ma przed sobą przyszłości, i że się wcale na miasto nie kwalifikuje.

Bábaszék w odwecie innym, jeszcze mniejszym od siebie miejscowościom nie zaniedbuje urągać... Lecz wszystko to wspominamy tutaj nie dlatego, abyśmy się lubowali widokiem tych brzydkich sporów i jałowych rywalizacji, tylko dla zaznaczenia, że Bábaszék zdobyło się jednak na tyle mądrej dyplomacji, iż z drwin współzawodnika umiało wykruszyć dla swego postępu pożyteczne ziarno, tak, jak to czynią pszczoły, które nawet z trujących roślin miód dla siebie zbierają. Weszli oto w porozumienie z Mintzową, wdową po Jonaszu, zaproponowawszy jej, aby przeprowadziła się do Bábészéku i otworzyła tam na środku rynku sklep—wprost na przeciwko kuźni, dlatego, żeby każdemu przybyszowi z po za miasta obecność jej prawie wykalala oczy i żeby wreszcie bez trudu mógł trafić do miejsca, gdzie dostanie najrozmaitszych w świecie towarów: mydła, baty na konie, różu i innych szminek, farbki do

prania, zgrzebeł, mioteł, skrzydeł do porządków domowych, gwoździ, soli, farby do powozów, szafanu, imbiru, cynamonu, klajstru, oleju lnianego—słowem takich osobliwości, jakich okolica Bábaszékú sama z siebie nie wydaje, ani też ich nie wyrabia, jakich to zresztą produktów, oprócz wyżej wymienionych—jest na świecie jeszcze nieco więcej.

Takim to sposobem dostała się Mintzowa do Bábaszékú, gdzie ją przyjęto z wielkiem poważaniem i szczególniejszemi względami rozpieszczano,—niemal na rękach ją noszono—co nie byłoby wcale bagatelą, gdyż pani Rozalia ważyła conajmniej dwa centnary.

Początkowo niepodobało się niektórym, że magistrat sprowadził nie żyda, tylko żydówkę. O ileżby to piękniej, bardziej pokrzepiająco ducha brzmiało, gdyby można było np. w taki sposób mówić: „Nasz żyd to i to powiedział”, albo: „nasz Tobiasz, czy też Moryc to lub tamto zrobił”... Brzmiałoby to o wiele poważniej, solidniej, niż jeżeli się będzie mówiło: „Nasza żydówka... nasza Rozalia...” To zanadto skromnie się przedstawia, to jest tyle co nic. Co tu gadać: do Bábaszékú należało sprowadzić żyda: mężczyznę, z dużą brodą, nosem garbatym jak wielbłąd, i o ile można—najbardziej rudego. Takiego prawdziwego, w każdym calu żyda.

Ale pan Konopka, najmędrszy mąż z całego senatorskiego ciała, który zawierał umowę z Mintzową i sam z wynajętymi furmankami do Bystrzycy jeździł po nią i po jej ruchomości (kwiatami przyozdobił konie, które wiozły jejmość), niecier-

pliwie odprawił malkontentów takim argumentem, że nawet ów kamyk, wyrzucony z procy Dawida nie trafił bardziej celnie:

— Nie bądźcie też, wasanowie, głupcami, jak stołowe nogi! Jeżeli jedna kobieta mogła być *królem* na Węgrzech, to ciekaw jestem dlaczego inna nie mogła być *żydem* w Bábaszékul

Co prawda—to prawda. Powoli umilkły głosy niezadowolonych, niektórzy nawet zachwycać się zaczęli trafną odpowiedzią członka magistratu, zwłaszcza gdy z okazji świąt Purimu, albo też potem, na każde święta kuczek zjeżdżali ze wszystkich stron świata synowie Mintzowej w liczbie siedmiu i dawali się widzieć, paradując spacerem po rynku w bogatych, świątecznych szatach, w sznurowanych trzewikach, w wysokich jak garnki cylindrach na głowach. Przechadzali się poważnie w najwidoczniejszych punktach miasta.

Obywatele Bábaszékul przystawali wtedy w swoich ogródkach, wysadzonych malwami i z sercem, nabrzmiąłem dumą, przyglądali się potomkom Izraela, zwierając się sobie nawzajem po przez sztachety gmachu Liceum:

— No, jeżeliby i teraz jeszcze kto powiedział, przyjacielu, że Bábaszék nie miasto, to i nietoperz nie jest nietoperzem, tylko komarem!

— Przez dziesięć lat z rzędu nie naliczyłbyś tylu żydów naraz w Tót-Pelsöc—odparł drugi obywatel, z zadowoleniem głaszcząc okrągłe swoje kształty.

I stara Mintzowa pasła oczy widokiem synów, siedząc u drzwi sklepu: było to jej miejsce ulubione, zawsze tam siadała, dłubiąc robotę ja-

kąś na drutach, w mosiężnych okularach na nosie (okulary te umyślnie dla niej pożyczone zostały miastu Bábaszék przez jednego z obywateli, mieszkającego obecnie gdzieindziej); naogół biorąc, przyznać trzeba, że osoba jej, o milej twarzy, sprawiała sympatyczne wrażenie. Mintzowa nosiła zawsze białą, jak śnieg, falbanką obszyty czepek na głowie i tak była stylowo dopasowana do całości tego placu, do tych budynków, pomalowanych na białą, do poważnych konturów ratusza, że nikt jej nie mijał bez uchylenia czapki, tak jak przed posągiem św. Jana Nepomuki. Każdy odczuwał to odruchowo i umiał szanować, że ta stara babina zabiegliwie prowadzonym handlem przyczynia się niemal do zamierzonych z góry planów materyalnego rozkwitu Bábaszéku.

— Dzień dobry „młodej pani”. Jak się młoda pani miewa?

— Dziękuję, moje dzieci. Dobrze się czuję.

— A jak tam sklep idzie młodej pani?

— Dobrze, kochane dzieci.

Cieszyli się wszyscy z całego serca, że „młoda pani” jest żwawa, jak wiewiórka, zdrowa, jak żołądz, i że z dnia na dzień zamożnieje. Chwalili się też tem miejscowi obywatele na prawo i na lewo, dokąd tylko sięgały ich ładowne furmanki.

— Nasza Rozalia dobrze interesa prowadzi. Do kroćset karabinów, porasta w piórka nasza Rozalia! I nic dziwnego. Trudno, żeby jej się mogło nie powodzić w Bábaszéku. Bábaszék — to złote miasto. Bábaszék jest śliczny jak panna... W Bábaszéku żyć, nie umierać!

Jednem słowem—wszyscy rozpieszczali młodą panią Rozalię. Wiosen liczyła ona już siódmy dziesiątek, lecz nie przeszkadzało to nikomu tytułować ją „młodą panią”. I tkwi w tem głęboka, samorodna logika. Król zaanektował sobie wszystkie nic nie warte tytuły i tylko on jeden może je rozdawać; *lud* przeto (uważając, iż także posiada w pewnym rejonie suzerenne jakieś prawa), nadaje *młodość*—jak tytuł. Więc—jak powiadam—szanowali wszyscy i rozpieszczali „młodą” panią Rozalię, i kiedy w kilka lat po sprowadzeniu się do Babaszéku, zaczęła sobie budować murowaną kamieniczkę na placu, zamożniejsi gospodarze, posiadający wozy i konie—bezinteresownie pożyczali jej podwód dla sprowadzenia drzewa i kamieni, ubożsi zaś, rzemieślnicy, wyrobnicy—choć po jednym dniu darmowej pracy jej ofiarowali; a jeśli się trafił niektóry leniwszy, albo skąpszy od innych i ociągał się z okazaniem swojej pomocy, to mądrzejsi i znaczniejsi umieli takiemu dodać bodźca i przypilić, aby powinność swoją wykonał.

— Co wart taki człowiek—mówiono o takim opieszalcu — który nie uszanuje ani Boga, ani księdza, ani żyda...

Poważanie miejskich potentatów do takiego doszło stopnia, że daleko patrzący burmistrz, Jan Mravucsán, przy sposobności, jaką nastąpiło rozszerzanie granic miasteczka, ognistą mową, którą wszystkich porwał, wyjednał u rady miejskiej uchwałę, żeby wyznaczyć dwie posesye z placów, należących do miasta, jedną pod mogącą kiedyś, w przyszłości, stanąć bóżnicę, drugą zaś—na kirkut.

Wszystko jedno zresztą. Wszak przyszłość stoi przed nami i któż zdoła odgadnąć co z niej wypłynie? Przytem jakże to miło będzie móżdż w pobieżnej zwykłej rozmowie z mieszkańcami sąsiednich osad, albo mieścin wpleść niby mimochodem takie np. słowa: „to i to działo się w odległości rzutu kamienia od babaszeckiego kirkutu...” Albo: „przechodząc obok placu synagogi babaszeckiej...” i t. p.

Wszystko to przejmowało nieopisaną zazdrością mniejsze od Bábaszku miejscowości: mówiły sobie one cichaczem, gdy ich nie słyszeli interesowani:

— Ah, te pyszałki z Bábaszéku! Prawdziwa manja wielkości opanowała tych waryatów.

Nici, jak do kłębka, wiodą do Glogovy.

Pewnego roziskrzonego popołudnia wiosennego przed sklepem Jonaszowej Mintzowej stanął lekki wolant i wyskoczył z niego młody, piękny panicz. Dla nas nie jest tajemnicą, iż nie był to nikt inny, tylko dobrze nam znany Jerzy Wibra.

Młoda pani Rozalia, która właśnie pod tą chwilę zajęta była rozmową z burmistrzem Mravucsánem i senatorem Galbą, ciekawie zapytała szybkim krokiem sunącego do niej przybysza:

— Czem można służyć jaśnie panu?

— Pani jesteś wdową po Jonaszu Mintzu?

— Tak jest do usług pańskich.

— Chciałbym nabyć parasol.

Dwaj dostojnicy zdziwieni, mimowolnie spojrzeli na pogodne niebo bez chmury.

„Co u licha”—mruknął na stronie daleko patrzący Mravucsán: „na co mu parasol w tak piękną pogodę?”—i zapytał głośno:

— Zkądże to pan przybywasz?

— Z Bystrzycy.

Zdumienie Mravucsána zaczęło przechodzić wszelkie granice. Pierś o mało mu nie pękała, rozszerzona przyjemnem uczuciem dumy. To już chyba nie żarty, jeżeli z Bystrzycy do Bábaszékü przyjeżdżają podróżni sprawunki załatwiać. Piękna rzecz dożyć czegoś podobnego, tem więcej za czasów, kiedy się samemu jest burmistrzem. Lekko trącił łokciem Gaibę i szepnął mu, rozpromieniony:

— Słyszaleś pan?

— Ny, cóż, proszę jaśnie pana,—tłomaczyła się żydówka przybyszowi: to jest mały sklepik: nie trzymam parasoli, ani innych zbytkownych wyrobów.

— Tak!... to wielka szkoda, bardzo żałujemy,—mruknął zbity z tropu Mravucsán, przygryzając w zafrasowaniu wielkie, wyczernione wąsiska.

— Słyszałem jednak, — podjął przybysz—że pani miewasz czasami starzyznę. Może znalazłby się jaki stary, używany parasol?

Stary parasol? Pfuj!... Pan Mravucsán, który cierpiał na astmę, naraz uczuł w płucach zaduszenie, krótko a szybko zaczął oddychać, i już, już miał wypowiedzieć jakieś brzydkie słowo lekceważenia pod adresem przybysza z Bystrzycy,

gdy nagle uwagę jego odciągnął rozhukany tętent ponoszących koni. Tłum przekupni i nabywców, zebrany na rynku, rozbiegł się w popłochu ze środka placu pod mury, w przeciwną stronę kuźni ustało ogłuszające kucie, pomocnicy kowala ruszyli pędem na prawo, ku garkuchni, gdzie ognisko, wraz z piekącymi się ćwiartkami mięsiwa zostało wywrócone i strątowane przez waryacko, w podrygach toczący się amerykan. Zrumienione, popękane, tłusciutkie polcie i schaby wały się bezładnie w pyle ziemnym, a woń ich apetyczna kusząco łaskotała nosy kowalczyków. Kумы rynkowe zaczęły zawodzić, wrzeszczyć ze strachu: niektóre, nieco odważniejsze, odpasały błękitnawe fartuchy i powiewały niemi w stronę koni, czem udało im się szczęśliwie odegnać je na lewo ku namiotowi szewca. Więc w tamtej znów stronie nastął prawdziwy dzień sądny. Cały plac wrzał, biegał, falował w gorączce, zdenerwowany. Jeden z kowalczyków, korzystając z popłochu, złapał ogromny kawał pieczeni i co tchu zmykał gdzie go oczy niosły: kумы jęły go ścigać. Inny znów pracownik kowadła, chcąc kolegę obronić, schwycił z pod miecha odłam rozpalonego, czerwienią ziejącego żelaza i, jak wściekły, bijąc w niego młotem, że się aż na dwa sążnie dokoła syczące iskry sypały, wpadł z tym aparatem między drące się w niebogłoty kumoszki...

Dwa gniade rumaki tymczasem, taszcząc za sobą szczątki wytwornego amerykana, ponosiły coraz dalej i zmiotły doszczętnie cały towar garn-carza z Kolpach. „No, z tego narzędzia już nie będzie pojazdu!”—zaopiniował z flegmą kowal,

spokojnie przyglądając się zajściu z rękami, schowanymi za skórzany fartuch. Istotnie, nieszczęśliwy amerykan roztrącał się o węgiel niemal każdego domu i lewa strona tyłu była już całkiem rozbita, oś uległa złamaniu, jedno koło zostało już gdzieś po drodze z listwą i kozłem, tak, że już zupełnie opadać zaczął kosz, pomalowany na żółto. Lejce, które wpadły między konie, wlokły się po ziemi i było coś porywająco pięknego w tym widoku wspaniałych, rozhukanych zwierząt z rozwianymi grzywami, pyskami parskającymi, pianą i rozdętymi chrapami, wyrzucającymi snopy lilijowej pary. Wyglądały jak delirium rozkiełzanej swobody: z odrzuconymi wstecz łbami naoślep pędziły beztroskie, przednimi kopytami zdawały się pływać w powietrzu.

— Śliczne klacze! — orzekł pan senator Galba.

— To są konie proboszcza z Glogovy, — odparł Mravucsán.—Kto wie, czy się jakie nieszczęście nie stało. Chodźmy panie Galbo.

Pani Mintzowa tymczasem rozmawiała z przechodniami przed sklepem, aż nagromadziło się sporo interesantów, których należało obsłużyć. Wszyscy cierpliwie czekali na swoją kolej u „młodej pani”, ona zaś coraz zwracała się do nieznanego z Bystrzycy:

— Może się znajdują jakie stare parasole, proszę łaski pana, na strychu... Ale co to warte? To nie dla takiego eleganckiego panicza, jak pan.

— Nic nie szkodzi. Właśnie pragnąłbym je obejrzeć.

Mintzowa, wchodząc do sklepu, trzymała

drzwi za klamkę, aby za sobą wpuścić czekających klientów i jeszcze od progu dawała Jerzemu znaki zniechęcające.

— Zapewniam, że nie będziesz pan chciał patrzeć na nie!

Ale nasz bohater nie dał się tak łatwo strząsnąć z karku; wszedł za Mintzową do sklepu, przecekał ze stoicyzmem całą gromadę kupujących i dopiero kiedy się już ostatni wyniósł, powtórzył chęć obejrzenia starzyzny.

— Eh, jaśnie panie, daj pan temu spokój. Mówię że pan nic nie będzie mógł wybrać z tych gratów. Parasole, które mam, pochodzą jeszcze z tych czasów, kiedy żył błogosławionej pamięci mój mąż, bo umiał je naprawiać. Ale zostały same tylko popsute, z połamanemi sprężynami, podziurawione, a przytem jeszcze tak pobutwiały na strychu pomiędzy stosem różnego rodzaju rupieci i szmelcu, że nie warto się nawet trudzić oglądaniem... Prawda! nawet choćbym chciała, nie mogę ich panu pokazać. Mój syn poszedł na targ, a służąca ma wrzód na nodze i nie może się ruszać. Ja sama zaś podczas targu kamieniem siedzieć muszę w sklepie.

Adwokat wyjął z pugilaesu papierek wartości pięciu reńskich.

— Nie żądam zadarmo tej grzeczności, moja pani Mintzowo. Ja parasole te koniecznie muszę obejrzeć. Puść mię pani samego na strych, już ja sobie tam sam poradzę. Proszę przyjąć na zadatek.

Ale Mintzowa nie sięgnęła po pieniądź. Jej drobne oczki, głęboko osadzone po nad tłustemi

policzkami, świdrująco i podejrzliwie przyglądać się zaczęły młodemu klientowi o dystygowanym wyglądzie.

— Kiedy tak, to właśnie że nie pokażę panu parasoli,—oświadczyła stanowczo.

— A toż czemu?

— Ponieważ mój mąż nieboszczyk pouczał mię zawsze: „Nigdy nic takiego nie czyń, Rozalio, czego nie rozumiesz”. A biedny mój mąż był człowiekiem bardzo mądrym.

— Tak to prawda. Moja pani kupcowo, masz słuszość, że ci się dziwnem wydaje, iż za samo obejrzenie starych parasoli pięć reńskich ci dają.

— Rzecz prosta, łaskawy panie. Za pięć reńskich mógłbyś pan obejrzyć coś bardziej osobliwego.

— A jednak jak ci udzielię pewnych wyjaśnień, założę się, że sama przyznasz, iż niema w tem nic dziwnego. Oto poprostu ojciec mój posiadał stary, bardzo zniszczony parasol, który ogromnie lubił: rzec można, iż przywiązał się do niego, jak do żywego stworzenia. Otóż dowiedziawszy się przypadkowo, że parasol ów przeszedł po śmierci ojca w posiadanie pani męża, moja pani Mintzowo, chciałbym go teraz napowrót odkupić, aby go mieć u siebie jako relikwię.

— A kto był pańskim ojcem? Może coś będę wiedziała.

Gość zarumienił się lekko.

— Paweł Gregorics,—odparł.

— Ah! ten Gregorics!... Czekaj pan! Tak tak, doskonale go pamiętam, taki oryginalny,

mały człowieczek... Po jego śmierci w testamentcie...

— O to, to, właśnie. Zapisał po dwa tysiące reńskich znajomym paniom z Bystrzycy...

— Tak, wiem, pamiętam... Tylko że—o ile mi się zdaje, to on nie zostawił syna...

— Istotnie... To jest... (Jerzy zmieszał się i urwał). Ja właściwie jestem Jerzy Wibra, adwokat.

Teraz Mintzowa się z kolei zawstydziła.

— Ah, no tak jest, rzeczywiście... Oh, oh! Moja stara, głupia głowa. Oh, już wiem wszystko, przypominam sobie. Jakżeżbym miała nie wiedzieć! I o jaśnie panu słyszałam już niejedno. Bardzo się cieszę, że widzę jaśnie pana u siebie. Znałam biednego tatę, ajakże! Jaśnie pan podobny do niego, jak dwie krople wody, tylko że o wiele ładniejszy. Znałam go bardzo dobrze, chociaż — dodała z uśmiechem — nie zapisał mi dwóch tysięcy reńskich. Ba! ja i wtedy już byłam stara, kiedy on był młody. No to niechże jaśnie pan obejrzy te parasole. Zaraz pokażę drogę na poddasze i wytłomaczę w którym kącie mogą się znajdować. Proszę za mną! Życzę panu jaknajszczyściej, aby pan znalazł sobie parasol starszego jaśnie pana!

— Pięćdziesiąt reńskich dostałaby za niego pani Mintzowa!

Na dźwięk słów, zwiastujących pięćdziesiąt reńskich, oczy starej kobieciny rozblęły jak świętojańskie robaczki. Oh, co to za dobry syn! — westchnęła, wznosząc oczy ku niebu. Czyż może być cnota bardziej miła Bogu, jak syn, który

czci pamięć rodziców! Słowa te, pięćdziesiąt reńskich, ukazane w oddali, uczyniły ją tak lekką, tak żwawą, niczem jastrzęb, sunący na żer upatrzony. Zamknawszy z zewnątrz wewnętrzne, oszklone drzwi sklepu, żywo podreptała na podwórze, prowadząc Jerzego do drabiny: a tak była podniecona nadzieją hojnego zysku, że teraz sama wejść chciała na górę, aby pomagać w poszukiwaniach.

— Nie, nie, moja pani Mintzowo: proszę zostać sobie na dole. Cóżby świat na to powiedział, — żartował Jerzy, — gdyby wieść gruchnęła, żeśmy sobie byli we dwójkę na strychu?

Pani Rozalia zaniosła się od śmiechu, klaszcząc w ręce z zachwyty nad dowcipem pięknego panicza.

— Oh, kochane, jaśnie pańskie serduszek! Hoho, daleko mi już do tych czasów. Już i pański tata nic mi nie zapisał. Chociaż niegdyś... (pogładziła dłonią rozwichrzone włosy nad czołem). No, więc włącz pan sam, skoro łaska.

Dobre pół godziny przetrząsał Jerzy Wibra wszystkie rupiecie pani Mintzowej: wszystko, co istniało na strychu miał w ręku i badał. Kobięcina dwa razy wybiegała ze sklepu, patrzeć czy nie schodzi. Tak niecierpliwą czyniła ją nadzieja pięćdziesięciu reńskich.

— No cóż? siano, czy słoma? — spytała, ujrawszy go nareszcie schodzącego z drabiny. Próżno się jednak pytała: odrazu widać było, że wraca bez parasola.

— Przeszukałem wszędzie, obejrzałem wszyst-

ko, jest kilka parasoli, ale tego, którego mi potrzeba—niema.

Twarz żydówki przybrała wyraz zgnębienia, podgardle zaczęło jej drgać, jak do płaczu, a oczy mrugały szybko. Ajwaj, gdzie go też to mógł wpakować ten głupi Jonasz?—mruknęła. Pięćdziesiąt reńskich!... To okropność. Jonasz to nigdy nie miał sprytu...

— Mnie się zdaje, właściwie pewien jestem, że parasol ten pozostawał w ciągłym używaniu nieboszczyka męża pani. Pan Sztolarik, obecny prezes sądu, twierdzi, że widział go chodzącego z tym parasolem. Przypomina to sobie napewno.

— Jak wyglądał ten parasol?

— Miał wierzch czerwony w kropki koloru wątrobianego, z wąskim szlaczkiem u brzeźnicy w zielone kwiatki. Czarną jego łaskę kończyła u góry rękojeść z szarej kości.

Młoda pani Rozalia wykrzyknęła z ożywieniem:

— Bodajbym nigdy nieba nie oglądała, jeżeli parasola tego nie zabrał Jonasz na swoją ostatnią wędrówkę! Widzę go z nim, jakgdyby teraz stał przedemną. Zabrał go z sobą, na miłość Boską, zabrał go!...

— Bardzo źle zrobił.

Matka Rozalia, dotknięta surowym tonem, zaczęła bronić swego nieboszczyka.

— Zkądże on mógł wiedzieć, że ten parasol będzie kiedy potrzebny? On biedak, nie miał sprytu.

— Zatem—koniec wszystkiemu!—westchnął młody adwokat, stojąc bezradnie obok drabiny,

zwątpiały, zdrętwiały, jak Maryusz nad zwaliskami Kartaginy: tylko że z jego Kartaginy nawet ruin nie pozostało. Wszystko rozwiało się, wyparowało w przestrzeń, w powietrze, skąd było rodem, gdzie zbudowane było.

Zniechęcony zwrócił się ku bramie, kierując się do czekającego wolantu, żydówka strapiona dreptała za nim ociężała, z boku na bok się kiwając, jak gęś utuczona. Gdy jednak wyszli na ulicę, ożywiła się nagle i schwyciła Jerzego za rękaw.

— Ale, ale, prawda, ledwie że nie zapomniałam. Przecież teraz właśnie mam u siebie mojego syna, Maurycego, który jest rzeźnikiem w Ipolysąg i przyjechał tu po zakup baranów. Mój syn, Moryc, wszystko wie, i bodajbym nigdy nieba nie oglądała (pani Rozalia—zdaje się, iż najlepiej byłaby wolala zostać tu na ziemi), jeżeli on nie będzie nam umiał dać jakich objaśnień o tym czerwonym parasolu. Niech jaśnie pan posłucha mojej rady: trzeba, żeby jaśnie pan prosto stąd poszedł na targ, pomiędzy barany i wyszukał najpiękniejszego człowieka ze wszystkich, jacy tam będą. Będzie to właśnie mój syn, Maurycy... Bo on jest ogromnie piękny, nadzwyczajnie piękny, mój Moryc. Opowiedz mu pan wszystko i przyobiecay mu te pięćdziesiąt reńskich. Bodajbym nigdy nie oglądała nieba, jeżeli mi Moryc czegoś kiedyś nie opowiadał o tym parasolu. Albowiem gdy zginął mój biedny Jonasz, Maurycek poszedł go szukać, a znalazłszy nitkę, trop po tropie, ze wsi do wsi wędrował, wypytyując się, badając, dopóki się nareszcie wszystko nie wy-

dało (Tu pani Rozalia spojrzała ku niebu oczyma lez pełnemi). Oh, Jonaszu, Jonaszu, dlaczegoś nam to uczynił? Jeżeli rozum twój cdszedł od ciebie, to dlaczego potrzebowałeś i ty za nim odejść? Synowie twoi mają go podostatkiem, starczyłoby go dla nas wszystkich!

Jerzy Wibra byłby się i słomki uchwycił, któraby mu obiecywała jakąś nadzieję: udał się więc czempredzej przez targ, koło kramów, zawieszonych ciżmami i łokciowemi towarami, na plac jarmarczny, znajdujący się za kościołem.

Łatwo się dopytał o Maurycego Mintza, który był sobie krępym, klockowatym tłusciochem z obliczem tak pokrytem piegami, jak jajko perliczki. Jednem słowem: brzydki był, jak faun. Od pasa zwisał mu kawał stali w formie liścia turzycy, a na prawem ramieniu miał wytatuowany byczy łeb.

Targował właśnie krowę o krzywych rogach. Sprzedawca, jakiś podrzędny kuśnierzyna, na niebo i ziemię się zaklinał, że tak zyskowej krowy jak świat światem jeszcze nikomu się nie zdarzyło kupić w Bábaszéku.

— Bo ona będzie żarła i słomę, — mówił, — a będzie mimo to dawała czternaście wiader mleka dziennie.

— Głupstwo! — fuknął gniewnie Maurycy Mintz. — Nie jestem cielakiem i niebędę jej ssal, abyś mi waćpan zachwalał, że tyle mleka daje. Ja jestem rzeźnik. Zarżnę ją i zważę.

— No tak, to prawda, — submitował się pokornie kuśnierz i z własnej inicjatywy opuścił z ceny, stawianej na krowę — pięć reńskich.

Ale dla Maurycego była to jeszcze zbyt mała obniżka. Badał, oglądał zwierzę i klepiąc je po chudych łopatkach, zaczął lamentować.

— Same kości! — wykrzyknął zrozpaczony. Potem ścisnął krowie pysk i zajrzał w zęby.

— Ah, nawet zębów już niema!

— Co pan rozprawiasz o zębach? — zniecierpliwił się kuśnierz. Nie będziesz pan chyba krowich zębów sprzedawał na wagę!

— Ale też wierzga, paskudne bydle!

— A cóż to pana obchodzi? po śmierci nie będzie wierzgała, a mam nadzieję, że dopiero zabijwszy, będziesz ją pan ważył.

Honorowy kuśnierz roześmiał się z własnego dowcipu, a ponieważ wtrąciło go to w dobry humor, więc z tego rozochocenia jeszcze opuścił pięć reńskich.

Aliści i ta cena musiała wydawać się zbyt wygórowaną Maurycemu, gdyż nie przestawał przyglądać się „Pączkowi”, aby coraz nowe odkrywać defekty, gdy naraz stanął przed nim Jerzy Wibra, i rzekł po węgiersku:

— Chodźno pan na słóweczko, panie Mintz!

Kuśnierz, widząc, że mu ktoś odwołuje klienta, ze strachu czempredzej znów pięć reńskich odstąpił i tym razem nareszcie dobił targu z przemądrym Maurycem, który miał zwyczaj zawsze pod wieczór odkładać tego rodzaju kupna, kiedy właściciele wystawionego na sprzedaż bydelka byli bliźcy zwątpienia i tracili nadzieję, czy znajdą nabywcę.

— Nu, czego pan sobie życzy?

— Chciałbym, żebyś mi pan sprzedał coś, co nie jest ani moje, ani pańskie.

— Hoho! takiego towaru to nigdy na świecie nie zbraknie—zaśmiał się Moryc—Pan dobrze trafił: tanio sprzedam.

— Ale odejdzmy stąd trochę.

Jerzy wyprowadził Mintza z tłumu do studni miejskiej, w cień rozłożystego cisa. Wspaniałe to drzewo uważane było za jedną z podwalin przyszłej wielkości Bábaszèku. Szlachetne miasto kazało je też otoczyć parkanem, dla ochrony od możliwych uszkodzeń, a z dwóch stron poustawiano ławki. Na wąskim, a podłużnym listowiu drzewa tego bowiem siadały złocisto-zielonawe chrząszczyki, wydające woń piżma, a z owadów tych wyrabiano lekarstwo, nazwane przez uczonych „drażnikiem, wywołującym bąble”. Otóż posiadanie drzewa takiego, tudzież takich robaczeków posłuży w niedalekiej przyszłości za rozstrzygający argument u władz miarodajnych, jako że miasto Bábaszék powinno mieć aptekę.

Kobiety bábaszéckie miały dawniej zwyczaj zbierać te chrząszczyki w garnuszki, zanosily tę zdobycz do Zólyom, gdzie sprzedawały ją aptekarzowi za jakie kilka groszy: w ostatnich czasach jednak rada szlachetnego miasta wzbronila tej machinacyi, w myśl zasady: „Drzewo zrodzi aptekę. Nasze chrząszczyki niechaj będą dla nas!” Daleko widzący pan Mravucsán wiedział, co ma wiedzieć!

Jerzy opowiedział Maurycemu pokrótce o co mu chodzi, że chciałby odzyskać jako pamiątkową relikwię po swoim ojcu parasol, który stary

Jonasz nabył po śmierci ojca na licytacji i zawsze go potem z sobą nosił.

— Czy wiesz pan co o tym parasolu?

— Toć wiem,—odparł Maurycy niechętnie, z nosem, spuszczone na kwintę. Obiecywał sobie Bóg wie co, a tu raptem o starym parasolu mowa!

— Pięćdziesiąt reńskich dam za niego, jeżeli mi pan wskażesz, gdziebym go mógł odnaleźć i jeśli go istotnie znajdę.

Maurycy zdębiał i w trwodze ściągnął czapkę z głowy. Pięćdziesiąt reńskich za stary parasol!... Ha! Ależ to chyba sam książę koburski z Sankt Anton! Teraz dopiero, przelotnym błyskiem oczu przekonał się Moryc, jak piękne, wykwentne ubranie ma na sobie nieznajomy klient.

— Ajakże, ależ naturalnie, proszę jaśnie pana, odnajdziemy parasol!—upewniał skwapliwie, poczem, zastanowiwszy się trochę, dodał przeznornie: mam wszelką nadzieję!...

— Więc powiedzże mi pan wszystko, co tylko wiesz o nim.

Maurycy milczał jakiś czas, pogrążony w myślach: wspomnienia, dotyczące ojca, spoczywały w jego mózgownicy bezładnie nastroszone i rozwichrzone naksztalt stosu ścierniska.

— Hm, tak, ten parasol! Gdzie on być może obecnie? To już jest czternaście, piętnaście lat temu, jak zniknął mój ojciec, bardzo wiele szczegółów zbladło w mej pamięci, ale jednakże to jedno wiem napewno, iż, wyruszywszy z moim młodszym bratem na poszukiwanie ojca, dopiero w Podhrádzie znaleźliśmy pierwszy ślad, według

którego kierując się, doszliśmy do jakiegoś zo-
ryentowania. W Podhrádzie ojciec był jeszcze
zupełnie przy zdrowych zmysłach, sprzedał kilka
drobiazgów tamtejszym mieszkańcom, przenoco-
wał w karczmie i nabył za dwa reńskie starożyt-
ną pieczęć od pewnego, niskiego, pękatego szlach-
cica, nazwiskiem Raksányi. Że podówczas był
jeszcze całkiem zdrow na umyśle, dowodem, iż
wydobyto jego zwłoki z Garamu, znaleziono tę
pieczęć w jego kieszeni, i sprzedaliśmy ją pe-
wnemu starożytnikowi za pięćdziesiąt reńskich,
ponieważ wydało się, iż jest to pieczęć Wita Mo-
korał'ego, z epoki Arpadów.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale te szcze-
góły nic mnie nie obchodzą, mój panie Maury-
cy,—przerwał nasz bohater, nie tając zniecierpli-
wienia.

— Zaraz jaśnie pan zobaczy, że to bardzo
zajmujące.

— Może zajmujące, lecz nie tyczy się wcale
parasola.

— Właśnie, że i parasola dotyczy, niech
pan tylko uważnie posłucha. W Podhrádzie po-
wiedziano, że stamtąd poszedł do Abelloy. Nu,
to i ja poszedłem do Abelloy. Z tego, co mi
tam naopowiadano, zacząłem sobie miarkować,
iż umysł mojego starego uległ już zaćmieniu, bo
zresztą on zawsze miał pewną skłonność do me-
lancholii. Nagadano nam mianowicie, iż zmienił
u tamtejszych wieśniaków *anielskie krajcary* na
zwyczajne, każąc sobie płacić za każdy *anielski*
po cztery zwykłe. Później jednak okazało się,
że byłem w błędzie.

— Jakto, więc jeszcze ciągle był przytomny?

— W każdym razie niezupełnie jeszcze był obłąkany, bo w kilka dni potem, jak się okazało, przywędrowało do Abelloy dwóch młodych żydków, z których każdy przyniósł torbę pełną anielskich krajcarów i wymieniali je miejscowej ludności, biorąc po trzy zwykle za sztukę swoich,—niektórzy tak płacili, pomimo, że wiedzieli dobrze iż anielskie idą po cztery krajcary.

— Wobec tego możebne jest...

— Nietylko możebne, ale zupełnie pewne jest, jaśnie panie, że ci dwaj żydkowie to byli oszuści i naciągnęli mojego uczciwego staruszka, ażeby puszczał w obieg ich fałszywe pieniądze. Bezwiednie stał się współwinnym ich zbrodni. To też stąd można wnioskować, że już niezupełnie na miejscu musiał mieć rozum, inaczej bowiem nie byłby się dał oszukać. Z Abelloy poszedł do Wisokiej Hory, skąd przez las brzozowy przybył do Dolinki, gdzie jednak nic osobliwszego nie umiano nam powiedzieć o jego zachowaniu się, pomimo, że przepędził tam dwa dni. Dopiero w sąsiedniej wsi, w Strecznió, biegały już za nim dzieciaki, krzycząc i drażniąc go, jak niegdyś proroka Eljasza, a on, rozwiązawszy worek, (t. j. nie prorok Eljasz, tylko mój tata), rzucał w nie wszystkimi towarami, jakie miał w worku. Po pięćdziesięciu latach jeszcze nie zapomną tego dnia w Strecznió! Mydła kokosowe, karmelki, koziki, harmonijki — wszystko fruwało w powietrzu i spadało jak manna niebieska pomiędzy naród. Nowe przysłowie powstało od tej pory,

jak słyszę: „*Chodził raz w Strecznió żyd obłąkany...*“

— Tam do licha z całym Strecznió! Przejdźmy raz do rzeczy!

— Jesteśmy już u rzeczy. W Kobolniku o czerwonej bramie widziano mojego biednego ojca już bez worka, tylko broniącego się od psów, jakimi go szczuto, kijem w jednym, a parasolem w drugim ręku. Stąd właśnie wiedzieć można, iż w Kobolniku miał jeszcze parasol przy sobie.

Piegowata twarz Moryca skurczyła się i spiywać po niej zaczęły grube łzy. Ścisnęło mu się serce i tak silnie go rozrzewniło wspomnienie ojca, że nawet brzmienie głosu jego uległo zmianie: nieskończenie łagodny się stał i przytłumiony.

— Dość długo szukaliśmy potem, śledziliśmy daremnie po całej okolicy, aż nareszcie w Lahota znów dowiedzieliśmy się nowego szczegółu. W pewną letnią noc burzliwą zapukał biedak do mieszkającego u kraju włoski stróża polowego. Ten jednak, ujrawszy, że to żyd, wygnał go precz. Nie miał już wtedy ani kapelusza ani parasola. Miał tylko jeszcze swój gruby kij sękaty z którym nieraz uganiał się za nami, jak byliśmy bachorami.

— Ah, zaczynam rozumieć sens przewodni opowiadania pańskiego. Parasol przepadł na przestrzeni pomiędzy Kobolnykiem a Lehotą. To chciałeś mi pan wykazać?

— Tak jest.

— Mój panie Maurycy, wierzę ci jaknajchętniej, ale wszystko to tyle znaczy, co nic. Ojciec twój mógł go bezmyślnie gdzie porzucić w lesie,

między skałami zgubić... W najlepszym razie, jeżeli go ktoś znalazł, to mógł go, dajmy na to, wetknąć w żerdź strachowi na wróble, aby go uczynić jeszcze straszniejszym.

— A właśnie, że nie. Ja wiem, co się z nim stało.

— No?

— Dowiedziałem się o tem całkiem przypadkowo, bo ani mi w głowie nie powstało szukać parasola. A cóż mię parasol obchodził! Ja szukałem ojca. Wśród wzgórzy Kvetu spotkałem pewnego garncarza. Szedł on piechotą obok swego wozu i był bardzo rozmowny. Jak bez wyjątku każdego człowieka w tych stronach, tak zapytałem i jego, czy, wędrując dużo po świecie, nie widział przypadkiem pewnego, tak i tak wyglądającego, starego żyda? „Jako żywo! widziałem takiego!“ — odparł — „kilka tygodni temu, w Glogowie, podczas oberwania chmury wpadł mi w oko właśnie w chwili, gdy rozpościł parasol nad małym dzieckiem, pozostawionem w koszu na przyźbie jakiegoś domostwa. Rospostarł go, zostawił i poszedł swoją drogą“.

Młody adwokat aż podskoczył z radości.

— Oho! No dalej, dalej, cóż dalej?

— Już nic niema dalej, proszę łaski pana. Skończyłem. Ale i tego jest dosyć, tembardziej, że jest to całkiem pewne. Opis garncarza zupełnie się zgadzał z wyglądem mojego ojca, a przysięgam Glogowa leży jak raz pomiędzy Lehotą a Kobolnyikiem.

— Tak, masz pan słuszość, jest to nader cenny przyczynek! — zawołał adwokat, wyjmując

z pugilareshu papierek pięćdziesięcio-reńskowy. — Przyjmij pan to za informacje, których mi udzieliłeś i zostań z Bogiem.

Popędził, jak wyżeł, który nareszcie poczuł wiatr prawdziwego tropu. Hejże, naprzód! Przeskoczył przydrożny kopiec, aby prędzej przebiec między krzakami jałowcu przestrzeń, dzielącą go od drogi, gdzie czekał jego wolant. Żałował, że nie posiada skrzydeł.

Biegł, biegł, ale w chwili, gdy na krótkie mgnienie oka przystanął w miejscu, gdzie, obok budki piernikarza, za matą z sitowia stał sklepik maticy ś go Marcina z Turóc, (który zjechał tu w gościnę z Zólyom) i mimowiednie czytać zaczął wystawiony na pokaz budujący wiersz nieznanego poety:

„To, co mówię, Słowacy, nie jest tajemnicą,
Ej! niedobrzy druhowie są ci, którzy źle chcą...”

naraz znów ujrzał przed sobą Maurycego Mintza.

— Niech jaśnie pan mi przebaczy, że za panem gonię, — rzekł, — ale przyszło mi na myśl, iż mogę służyć panu bardzo dobrą radą.

— Proszę.

— Tyle zebranej tu jest ludności na placu, że napewno i z Glogowy znajdzie się gromada: może jaśnie pan każe obębnić swoje życzenie... Nie wiem, czy odpowiednio tytułuję jaśnie pana?

— Aż nazbyt odpowiednio — odpowiedział adwokat.

— Więc mogliby obębnić na targu, że jeżeli kto z obecnych słyszał co kiedy o zdarzeniu z parasolem, jakie miało miejsce przed laty, to niech się zgłosi, a otrzyma nagrodę. Jestem głęboko przekonany, iż nie dalej, jak za godzinę, jaśnie ban będzie miał wyłożone wszystko, co można wiedzieć o tej sprawie. W takiej małej osadzie, to wszyscy wszystko wiedzą.

— To zbyteczne — odparł adwokat — sam natychmiast jadę do Glogovy. W każdym razie dziękuję za życzliwość.

— Ah, jaśnie panie, to ja panu dziękuję! Po książęcemu wynagrodzony zostałem za taką drobnostkę. Aż mi wstyd, doprawdy! Pięćdziesiąt reńskich za kilka słów objaśnienia... Byłbym jasnemu panu wszystko to opowiedział i za jednego guldena!

Adwokat uśmiechnął się.

— Ja zaś byłbym chętnie dał za to objaśnienie choćby i tysiąc reńskich!

Odwrócił się i zniknął spiesźnie za błękitną bramą domu Szraneków, za którego węglem figlarne kumoszki z Zelevnyi rozpostarły długie swoje łańcuchy z orzechów laskowych, w ogromne stosy ułożone wieńce cebuli i t.p., a zamiast pieniędzy, o wiele chętniej przyjmowały zapłatę w produktach naturalnych.

Maurycy długo w zamyśleniu spoglądał za odchodzącym.

— Byłby dał nawet tysiąc reńskich za moje

opowiadanie! — rozmyślał, łamiąc głowę nad tą zagadką niepojętą i, wzruszając ramionami, poszedł do świeżo nabytej krówki od kuśnierza.

K o l c z y k.

Naprzeciwno domu Szramków, odrobinę na ukos, przez otwarte okna karczmy rozbrzmiewała, hen na świat, wielka, jarmarczna wesołość. Ah, przepraszam: nie karczma to była, ale jadalnia, tak ją z poszanowaniem nazywali mieszkańcy Bábaszku, i słusznie, gdyż, pogardziwszy gminnym wiechciem jałowcu, zwieszał się nad jej przyźbą o wiele arystokratyczniejszy, duży bukiet, misternie z kolorowych wiórków ułożony. Zdaleka słychać było skoczne dźwięki wyborowej kapeli cyganów z Pelcsök. Ciekawe kobietki słowackie, z włosami gładko przyczesanemi w „żabki“, w zalotnie upiętych chusteczkach, które, zfryzowane figlarnie przy uszach, wypuszczały pęki koronek, powiewających swobodnie, jak również smukłe ni to promyki dziewczęta, z ponsowemi wstęgami, wplecionemi w jasne, jak len, warkocze, śmiejąc się wesoło, wyglądały przez okno, lub porwane ochoczą nutą, puszczały się w płasy i w izbie i na ulicy.

Aliści nawet od tańca, nawet od muzyki silniejszą jest ciekawość. I oto nagle przerwało się skakanie — ochota w inną powiała stronę, ujrzało powiem Jana Fiałę, miejskiego hajduka, idącego poważnie w otoczeniu wielkiej cizby i dźwię-

gającego przed sobą ogromny bęben. Przystaje w pewnej chwili i, co ducha starczy, bić w bęben poczyną.

Co to znaczy, co się stało? Czyżby młode gąski pani Mravucsanowej zginęły z łączki, na której się pasły?

Z dziesięć, jedna przez drugą, pyta Fiałę, co zaszło, lecz Fiala za żadne skarby świata nie wyjmie z ust wspaniale palącej się „zapiekaczki” *): a wreszcie jest on zbyt ambitnym mężem na to, ażeby miał ważnych, urzędowych nowin prywatną drogą udzielać i to byle komu.

Wyběbnił przeto jak się patrzy przynależną strofę, poczem, odpowiednio gestykulując pałeczkami, oznajmił uroczyście głosem, godnym Stentora:

— Podaje się publicznie wszem wobec do wiadomości, jako, że zgubiony został kolczyk szczerzo złoty z drogim kamieniem koloru zielonego. Zginął na drodze między cegielnią, a kościołem. Uczciwy znalazca niechaj go odniesie do ratusza, a pewien być może odpowiedniej nagrody.

Jerzy poniewoli był także świadkiem tej sceny, wysłuchał ogłoszenia i dusił się ze śmiechu na widok min, jakie czyniły na to do siebie kobietki i dziewczęta.

— No, już ja go tam nie oddam, jeżeli go znajdę — upewniała jedna.

*) Jest to rodzaj fajeczki glinianej, którą Słowacy, nałożywszy, kładą jeszcze na jakąś chwilę między węgle, w żar, i dopiero potem zaczynają palić.

— A ja sobie każę z niego zrobić szpilkę do włosów — projektowała druga.

— Racz spojrzeć na mnie łaskawie, Boziu! — wzdychała trzecia, błagalnie patrząc w niebo.

— Nie gap się w obłoki, sroko, tylko patrz pod nogi — strofowała ją czwarta.

Los jednak zrządził, że znalazł kolczyk ktoś taki, kto go wcale nie szukał. Tym kimś — był Jerzy Wibra.

Ledwie uszedł kilka kroków, gdy naraz uśmiechnął się do niego błyszczący, zielony kamyczek wielkości ziarenka pieprzu.

Pochylił się, podniósł — i oto był właśnie ogłaszany kolczyk złoty ze szmaragdowym okiem. Także przygoda, właśnie teraz, kiedy się Jerzy tak spieszy! To nie mógł go kto inny znaleźć, z tych kilkuset ludzi, którzy się tu po ulicach włóczą!

W rezultacie jednak — trudno. Zielony kamyczek tak jakoś wdzięcznie spoglądał na niego... Nie może go przecież Jerzy napowrót rzucić na ziemię pod piętę pierwszej lepszej parze grubych butów, aby go zdeptała.

Ciekawa rzecz, kto też tu nosi takie wytworne klejnoty? Mniejsza o to wreszcie, czyj być może ten kolczyk: już skoro go znalazł, zanieś go do ratusza. Nie połamie nóg od tego: dzie sięć, dwadzieścia kroków wszystkiego.

Jerzy skręcił w bramę starożytnego ratusza, gdzie u sklepień wisiały imponująco skórzane i rzemieńne utensylja miejskie, w kącie zaś poniewierała się wstydliwie żelazna klatka, szczątkowy okaz przeżytych form karnych (*sic transit*

gloria mundi): potem wbiegł po schodach na piętro i uchylił drzwi do sali obrad miejskich.

Przy stole, okrytym jak przystoi serwetą z zielonego sukna, siedziała tam zebrana właśnie cała rada miejska, zajęta rozpatrywaniem poważnych i nie cierpiących zwłoki zagadnień.

Nader nieprzyjemna sprawa była na wokandzie. Podleśny boru Liskowina, stanowiącego własność miasta, przybył przed chwilą strwożony i zadyszany, z wiadomością, że znaleziono jakiegoś nieznanego, z pańska ubranego mężczyznę — powieszzonego na jednym z drzew. Chodziło o to, co zrobić z ciałem nieboszczyka?

Nad tem to właśnie radzili pod tę chwilę ojcowie miasta, a pobladłe ich twarze i troską zorane czoła świadczyły z jak niezwykłym wysiłkiem pracowały ich myśli.

Senator Konopka twierdził, iż pospolitą rzeczą koleją jest w takich razach, sprowadzić zwłoki wisielca do kostnicy przedpogrzebowej i natychmiast zawiadomić o tym wypadku wielmożnego pana Michała Góri, sędziego śledczego, aby, pospołu z lekarzem okręgowym czempredzej zjechali dla dokonania sekcji na nieboszczyku.

Ale pan Galba potrząsnął głową. Galba był zawsze dyplomatą, który każdą rzecz lubił kręto dokoła obchodzić. Toteż i teraz wyraził zdanie, iż uważałby za wskazane, nic nikomu o wypadku nie mówić, nic nie protokulować, a natomiast — w wielkiej tajemnicy — zawlec zmarłego o jakieś dwieście kroków do brzezinki, zwanej Kvaka, należącej już do terytoyum Travników. Niech się o niego tamtejsi mieszkańcy kłopotą.

Mravuczán znowuż chwiał się, wahał, ruszał ramionami, nerwował się o byle co, targał czuprynę — nareszcie zaczął gderać, że jest strasznie duszno i gorąco w sali, że podagra mu narywa rękę, że stół senatorski się kiwa na jedną nogę, że zatem trzeba natychmiast podeprzeć go jakimiś starymi aktami komitatowymi. Oczywiście rzeczą było, iż zwłóczy, aby wymiarkować zdanie większości.

Większość, jak się okazało, była po stronie Galby. Tylko że stronnictwo Galby — z miejsca rozpadło się na dwa odłamy. Ściślej wzięci Galbaiści żądali przeniesienia zwłok aż do samej granicy Travników; umiarkowańsi zaś, za podszepem Andrzeja Kozsehuby, w przeciwieństwie do mameluków Galby, gotowi byliby zadowolić się tem, żeby nieszczęśliwego zakopać w rodziną ziemię pod temże drzewem, na którem się powiesił.

Chodziło im głównie o to, jak się po cichu przyznawali, żeby nie było potrzeba przenosić trupa wzdłuż granicznej linii na cmentarz, czego nie dałoby się uniknąć, gdyby sędzia śledczy został powiadomiony o wypadku. Ściągnęłoby to wielką klęskę na Bábaszék, wiadomo bowiem, że obrzęd podobny grozi gradobiciem.

— Cóż za niedorzeczne przesady! — rozgniewał się Konopka.

— To prawda, to prawda, masz pan świętą słuszość, panie Konopka, — uspakajał go senator Fajka, należący do partji Kozsehuby: ale cóż robić, cała ludność w to wierzy.

Konopka ręką, zdobną w sygnet rodowy, ze

złością w stół uderzył, wobec czego zapanowała cisza jak w kościele.

— Smutną jest rzeczą, — rzekł uroczyście, że senator w ten sposób przemawia. Mogę zapewnić waszmoście, że Pan Bóg nie nasunie nam nad głowy chmur gradowych, z powodu tych mizernych szczątków. Dla jednego grzesznika, który, samochcąc, dyabłu w szpony się oddał, nie będzie chciał karać kilka setek niewinnych, którzy przy nim trwają, — i to w taki właśnie sposób, któryby winnemu wcale nie dokuczył... A cóżby to był za Pan Bóg?

Mravucsán odetchnął z ulgą na to mądre słowo. Całemu magistratowi zresztą język kołem w gębie stanął na energiczne oświadczenie Konopki: Mravucsán zaś, wyczuwszy odpowiednią chwilę, postanowił niby ów strzyżyk z pod skrzydła orlego, wyżej, niż sam orzeł pomknąć.

— Tak jest, jako się rzekło, — oświadczył, z godnością każdy wyraz cedząc i prostując zbakierowane nieco szamerunki na świątecznej bekieszy. — W następstwie czego stanowczo oznajmiam, iż z przytoczonych powodów gradobicia nie będzie.

Wyskoczył na to pan Fajka, jak chomik.

— Wszystko jedno! Niech sobie i będzie gradobicie, jeżeli tak sądzono! Bo jak się całe miasto ubezpieczy w stowarzyszeniu, to właściwie nie widzę w tem już żadnej różnicy, czy grad wytłucze zboże, czy go nie wytłucze. Owszem, w takim razie już nawet lepiej byłoby, żeby je wytłukł, ponieważ mieszkańcy Bábaszeku, o ile ich znam, już jeżeli przeniesienie zwłok przez

granicę stanie się faktem, napewno tłumnie rzucają się do ubezpieczeń i nawet ponad miarę przeceniać wszystko będą. Zło bowiem nie tkwi tutaj w gradobiciu, jako takim, ale w przeprowadzeniu nieboszczyka przez granicę.

Dobry był szermierz z pana Fajki, trafił w samo sedno; obie partye, Galby i Kozsehuby, uczuły się jego słowami jak zelektryzowane.

— A cóż za mózgownica!—ryknął Kozsehuba.

Wyraz „mózgownica” *per associationem idearum* przypomniał Galbie sekcję, więc wtrącił z ożywieniem:

— Właściwie nawet poco tego nieboszczyka krajać? I tak wiemy wszystko, czego nam potrzeba. Bodajem zszedł na psy, jeżeli to nie był jaki zapamiętały agent którego z ubezpieczeniowych towarzystw: z całym rozmysłem napewno tylko dlatego się u nas powiesił, żeby zmusić tu-tejszych mieszkańców do nabywania polis. Przecież to jasne jak słońce.

— Osiół z pana, Galbo!—wrzasnął na niego Konopka rozirytowany.

Tu wybuchnął do czasu hamowany tumult, hałas, krzyki, piekło, — lub jak się hajduk Fiala zwykł był wyrażać: wykipiały garnuszki miejskie, a wszystkie oczy zwracały się tylko ku burmistrzowi, jak ku owej warząchwii, która każdej chwili mocna jest zebrać i wyrzucić zbyteczne szumowiny.

Cóż kiedy burmistrz wsunął głowę głęboko w wysoki kołnierz swojej granatowej czamary, i znikł jak lupina wśród fal rozhukanych. Bezradnie przygryzał wąsy, nieborak, nie mając po-

jęcia co rzecz, ku której się stronie przychylić — — — gdy naraz — drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Jerzy Wibra...

To darmo. Nad aureolą potężnych czuwa sama Opatrzność.

Na widok oryginalnego osobnika, który kilka godzin temu domagał się starego parasola od Mintzowej, burmistrz gwałtownym ruchem wyrzucił krzesło z pod siebie, dopadł uszczęśliwiony do przybysza: niechaj senatorowie myślą, że ma do załatwienia ważny interes z nieznanym.

— Ah, pani! — zawołał skwapliwie:—pewno pan mnie szukasz?

— A czy pan jesteś burmistrzem?

— Naturalnie — ależ naturalnie!

(Któż inny mógł być burmistrzem Bábaszéku, jeśli nie Mravucsán?)

— Obębniano przed chwilą zgubiony kolczyk.

— A tak, tak, obębniano!

— Znalazłem go, oto jest.

Oblicze burmistrza rozpromieniło się zadowoleniem i dumą.

— Oto, moi państwo, to się nazywa uczciwość! To lubię, panie dobrodzieju. Odkąd burmistrzuję—nie zdarzyło się jeszcze ani razu, żeby kolczyk komu zginął, dzisiaj dopiero, ale się też zaraz znalazł. To się nazywa porządek i ład w urzędzie!

Tu zwrócił się do senatorów:

— Niespełna godzinę temu wysłałem Fiałę z bębniem i oto już znaleziony kolczyk! Czegoś podobnego nawet Budapeszt nie umiałby zaprodukować. Tylko w Bábaszéku tak potrafią.

Nagle zauważył, że nieznajomy znalazca, złożywszy ukłon, zamierza się oddalić; zaczął go więc zatrzymywać z osobliwszą natarczywością.

— A toż co, jakto, pan chce odejść? Tam do dyabła, panie... przecież się za to nagroda należy!

— Zrzekam się nagrody.

— Oh, na to nie pozwolimy! — (Burmistrz pokręcał głową, mocno zgorszony.) — Niech pan nigdy żadną nagrodą nie gardzi. Nie pamiętam już który apostoł wypowiedział pamiętne zdanie: „Przyjemność i uciecha nie zawsze ze złota i srebra pochodzi.” Paniczu, paniczu, nie poczynaj sobie zbyt lekkomyślnie ze szczęściem! Na niewidzianego pewien nędzarz w bajce sprzedał coś dyabłu, czego potem niesłychanie żałował! Znasz pan pewno tę bajkę?

— A tak, żałował — odparł adwokat, uśmiechając się na wspomnienie znanej bajki—ale tutaj wątplę, aby się trafiło coś podobnego.

— Pan nawet ani przypuszczasz, do kogo należy ten kolczyk.

— Czyżże zatem?

— Siostry proboszcza z Glogovy.

Jerzy mocno zagryzł usta, żeby nie parsknąć ironicznym śmiechem.

— Mój panie, nie mędrkuj pan, tylko chodź ze mną na chwilę.

— Dokąd?

— Tutaj zaraz do sąsiedniego pokoju.

Burmistrz przemocą postanowił Jerzego zatrzymać, licząc na to, że zanim się z nim ułatwi—to senatorowie może sami nakoniec rozstrzygną,

jaka przyszłość ma być udziałem zwłok wisielca. Gwałtem opanował Jerzego i zaciągnął z sobą.

— Ależ panie, ja nie mam czasu!

— Wszystko jedno, tylko chwilka.

I otworzywszy, drzwi przyległego pokoju, dosłownie wtaszczył tam Jerzego przed sobą.

— Oto jest zguba! — zawołał z poza pleców młodego człowieka. Przynosimy pani znaleziony kolczyk!

Na te słowa szybko zwróciła ku nim głowę młoda dziewczyna, która, klęcząc przy kanapie, troskliwie okładała zimnemi kompresami obnażone ramię leżącej tam starszej osoby.

Jerzy, nie przygotowany na tego rodzaju scenę, uczuł się dziwnie skrępowany i zmieszany: nie lubił wykroczeń przeciwko towarzyskiej etykiecie, więc aż ścierpl z przykrości. Starsza dama leżała na kanapie porozpinana i do połowy rozebrana, zranione prawe ramię (ale bardzo chude i wcale nie piękne ramię) miała zupełnie obnażone i widać było dokoła mokrych kompresów niezupełnie świeżą białosć jej ciała.

Jerzy mruknął coś naksztalt przeproszenia i energicznie cofnął się ku drzwiom. Mravucsán jednak jeszcze energiczniej zagroził mu drogę.

— Oho, ho! Nie odgryzą tu panu nosa!

Młode dziewczę, której miluchna twarzyczka zaledwie na chwilę mignęła przybyłym swoją wiosenną urodą, okryła pospiesznie cierpiącą damę, aż po szyję leżącą obok spódnicą i zerwała się z klęczek na równe nogi.

Ah, jakaż to śliczna była postać młodzieńcza! Wydłużona i smukła, jak promyk. Jerzy

miął wrażenie, że to kwiat lilii, zgięty przed chwilą, lekko i elastycznie wyprostował się nagle, w całym swym hożym i niewinnym majestacie.

— Ten oto młody człowiek znalazł i przyniósł nam pani kolczyk, panno Veronko!

Miły uśmiech pojawił się w kącikach różowych usteczek panienki (jakgdyby promień wiosennego słońca zawitał do ponurego, wiecznie ciemnego gabinetu pana burmistrza), zarumieniła się leciuchno, a następnie złożyła uczciwemu znalazcy pelen poważania ukłon: taki oto, prawdziwie pensyonarski, niezgrabny, a jednak czarujący dyg.

— Dziękuję panu, że pan był tak łaskaw... Tembardziej się teraz cieszę, bo już byłam pewna, że się nie znajdzie.

I, ująwszy kolczyk w dwa palce, obracać nim zaczęła, jak dzwoneczkiem i zdawało się, że odzywa się w nim maleńkie serduszko do taktu w rytm tych poruszeń, akcentowanych bujaniem prześlicznej główki. Było to jeszcze prawdziwe dziecko, które tylko urosło tak prędko jak topola.

Jerzy czuł, że należy mu teraz powiedzieć coś, odezwać się, ale do tego szczebiotu dziewczęcego nie umiał narazie dostroić ani głosu, ani myśli swoich. To dziewczę wprowiło go w obce mu uczucie zakłopotania. Przytem jeszcze i to powietrze jakieś słodkavo-duszne, jakie panowało w „kancelaryi” (tak bowiem brzmiała w języku mieszkańców Bąbaszku nazwa tego najpospolitszego w świecie pokoju)—odurzało go do reszty.

Stał niemy, bezradny, jakgdyby na coś czekał. Może myślał, że się ten kolczyk naprawdę

jak dzwonek odezwie? Lub może na nagrodę czekał?

Milczenie stawalo się męczące. Oczywiście—sytuacja, drażliwa sytuacja była temu winna...

Aż wreszcie i panienka spostrzegła, że uczciwy znalazca jeszcze wciąż stoi, więc zawołała z lekkim odcieniem zmięszania:

— Oh, mój Boże! ledwie że nie zapomniałam z radości, że ja za to przecież... to jest — jakby tu powiedzieć...

Jerzy niby prądem elektrycznym wyczuł słowo, zawieszone w powietrzu (w chwilach niebezpieczeństwa osłupiały umysł odzyskuje nagle swoją elastyczność) i niby pawężą zasłonił się przed nim swoim nazwiskiem.

— Jestem dr. Jerzy Wibra z Bystrzycy.

Podłotek aż klasnął w ręce z uciechy.

— Dzięki Bogu! Jakie szczęście! Właśnie potrzebujemy doktora: biedna *madame*...

Doskonale posłużyło wszystkim to drobne nieporozumienie. Jak w bibułę wsiąknęła w nie odrazu cała, panująca tu przed chwilą sztywnota.

Jerzy uśmiechnął się.

— Upewniam panią, że mi jest niezmiernie przykro, ale, niestety, nie jestem takim doktorem, który leczyć umie, tylko zwyczajnym adwokatem przysięgłym.

Podłotek zasmucił się, spostrzegłszy, że palnął baka, nawet spiekł raka, ale zato tem większe zadowolenie okazał Mravucsán.

— Jakto, co słyszę? To pan jesteś Wibra? Ten sławny, młody Wibra? Ależ to ślicznie! Któżby był przypuścił? Tam do dyabła, teraz już

rozumiem. (Mravucsán dłonią w czoło się uderzył.)—Szanowny pan śledzisz widocznie za jakąś sprawą karną. Że mi też to odrazu nie przyszło na myśl u Mintzowej. Przecież, do stu bizunów, taki pan nie kupuje starzyzny bez powodu. No, sam Pan Bóg zesłał nam tu pana dobrodzieja, bo właśnie łamiemy głowy nad takimi rzeczami, które przechodzą siłę naszych rozumów. Oh, oh, panno Veronko, jakież to szczęśliwy traf, że najślawniejszy ze współczesnych adwokatów znalazł pani koleczyk.

Veronka przyglądała się ciekawie z pod oka najślawniejszemu ze współczesnych adwokatów, i teraz dopiero zauważyła jaki to przystojny chłopak i jaki dystygowany. Aż jej serduszko zabiło ze wstydu na wspomnienie, iż ledwie, ledwie że nie ofiarowała mu owych pięciu reńskich, które, idąc za radą Mravucsána, wyznaczyła dla uczciwego znalazcy.

Mravucsán tymczasem przysunął krzeselko adwokatowi, i przyglądał się z pewnem zakłopotaniem nieładowi, panującemu w kancelaryi: wszystko leżało tu pozwalane jedno na drugim, stosy papierów, kożuchów i chustek, branych na zastaw, puste kieliszki i butelki, od uczt, jakie tu zwykle miewały miejsce po ukończonych ważniejszych procesach. Było już zwyczajem, że zasądzano strony na koszty przyjęcia, jest to bowiem rzeczą całkiem naturalną, iż, wydawszy z siebie pewną porcję sprawiedliwości—nanowo zaczerpnąć jej trzeba: wiadomo zaś, że sprawiedliwość, zarówno jak prawda—przemieszkuje w winie. Oplakany wygląd kancelaryi byłby wytrącił pana burmistrza

z dobrego humoru, gdyby nie ratował sytuacji wiszący na głównej ścianie portret nadzupana, barona Radvanszkyego. Istotnie konterfekt ten sam przez się nadawał pokojowi cechę jakiejś poważnej, uroczystej pompy. Burmistrz byłby pragnął z duszy serca, aby portret ten mógł ożyć, wyjść z ram na posadzkę i własnymi oczami sprawdzić obecność tak niezwykle doborowego towarzystwa w kancelaryi.

Ponieważ jednak podobizna jego ekscelencji nie chciała ożyć i z ram wystąpić, przeto burmistrz sam postarał się dać wyraz przepelniającemu jego duszę uczuciu dumy:

— Chociaż ubogim jestem człowiekiem—za sto reńskich nie oddałbym zaszczytu, że tak wykwintne kółko mam honor przyjmować w mojej kancelaryi. Do stu bizunów, to nie bagatela mieć u siebie jednocześnie najślawniejszego w komitacie adwokata i najpiękniejszą pannę...

— Ależ, Mravucsán bácsil! — broniła się zawstydzona tak obcesowo wypowiedzianym komplementem Veronka i znów spłonęła, jak pocho dnia.

— No, no — starał się ją ulagodzić Mravucsán: niema się czego wstydzić, że się jest ładną, moja maleńka. Ja także byłem kiedyś piękny, ale się tego nie wstydzilem. Zresztą uroda—to wielka pomoc dla kobiety, nieprawdaż, panie mecenasie?

— Tak, to wielkie szczęście,—odparł Jerzy, nagle wyrwany z zadumy, prawie machinalnie.

Ale Mravucsán potrząsnął głową.

— Pozostanmy przy tem, że jest to tylko

pomoc: szczęście bowiem zbyt łatwo może się przeobrazić w nieszczęście, tak, jak i przeciwnie: z nieszczęścia może wynikać szczęście. Jak oto na przykład gdyby nie dzisiejszy nieszczęśliwy przypadek, nie miałbym szczęścia widzieć u siebie państwa wszystkich, razem zebranych.

— Jakto,—spytał Jerzy:—czy się stało jakie nieszczęście?

Veronka chciała odpowiedzieć, lecz uprzedził ją gadatliwy Mravucsán.

— Stało się, stało, ale niedługo nie będzie z tego ani śladu.

Oto kolczyk już się znalazł: ramię madamy jest także na miejscu, a że tam trochę sine, to coś wielkiego. W ramieniu nie o kolor chodzi, do stu par dyabłów... No, i amerykańan zaraz będzie, bo go kowal już naprawia.

— Ah, więc ten rozbity amerykańan, który wlokły za sobą rozbiegane konie na placu...

— Tak, był to właśnie nasz amerykańan!—potwierdziła Veronka: obok cegielni rozbiegały nam się konie, wyrwały lejce z rąk woźnicy, ten, wychyliwszy się, żeby je uchwycić — spadł z kozła, a my, w przerażeniu, powyskakiwałyśmy jedna za drugą. Mnie się nic nie stało, ale biedna madame rozbiła się mocno. Boże mój, żeby tylko to stłuczenie nie było szkodliwe! Czy pani bardzo cierpisz, madame Krisbay?

Madame Krisbay otworzyła swoje, szczelnie dotychczas zamknięte, małe, przenikliwe, żółte oczki, i odrazu pierwsza rzecz, która z całego świata Bożego najpierw jej wzrok uderzyła, był to nieład we fryzurze Veronki.



— Popraw sobie włosy,—zwróciła jej uwagę po francusku, potem raz, dwa razy jęknęła i znów zawarły się jej źrenice.

Veronka przestraszona schwyciła się za włosy i teraz dopiero przekonała się, iż rzeczywiście jeden warkocz zsunął jej się na plecy.

— Oj, moje włosy!—wykrzyknęła zupełnie jak mała dziewczynka i, podniósłszy oba ramiona, usiłowała sploty swoje doprowadzić do porządku. Po chwili jednak aż pobladła z wielkiego zmieszania, jękając: pogubiłam i szpilki od włosów, wyskakując z amerykana, nietylko kolezyki!... Boże mój, co ja teraz zrobię?

— Spuść pani i drugi warkocz,—doradził jej Mravucsán. Ot—tak! Jak mi Bóg miły—tak jeszcze ładniej! No nieprawdaż, panie mecenasie?

— Ładniej, ładniej, — przytwierdził Jerzy leniwie i zmuszony, przyglądał się dwom, jak smoła czarnym, aż w błękit wpadającym warkoczom, oprawiającym niby w ramki twarzyczkę Madonny i ginącym nisko między tysiącem fałd gęsto namarszczonej, kwiecistej spódniczki.

Więc to jest siostra proboszcza z Glogovyl... Nie do uwierzenia. To chyba sen jakiś uroczy. Jerzy inaczej wyobrażał sobie siostry plebanów. Był przekonany, że wszystkie muszą być otyłe, ruszające się, jak kaczkę, o cerze czerwonej, zdobnej w liczne brodawki, a doszedłszy do pewnego wieku, stają się zupełnie podobne do samych proboszczów: mają podbródek okazałych rozmiarów i o trzy mile dokoła wonieją pomadą. Już to podbródek ich zwłaszcza stanowi o całym powabie parafii.

Młody adwokat zaczął nabierać ochoty do rozmowy.

— Musiała się pani bardzo przerazić.

— Nie tak bardzo znowuż. Właściwie nawet nie wiem, czy się przestraszyłam. Teraz dopiero zaczynam się obawiać. Mój brat będzie w rozpacz.

— Ksiądz?

— Tak jest, ksiądz. On mnie bardzo kocha. Będzie okropnie zatrwożony, dlaczego nie wróciliśmy do domu. A ja nawet nie wiem kiedy będziemy mogły powrócić.

— Dlaczego,—wtrącił pocieszająco Mravucsán:—konie są, ekwipażu pożyczymy...

Karczek Veronki zadrżał, potrząsnęła główką, aż dwa ogromne warkocze zwichrzyły się z szelestem koło ramion, połyskując pod światło krociem odcieni.

— Ja?... Miałbym jechać tymi końmi? — Nigdy!

— Ależ, droga pannuńciu moja: nie należy koni brać zbyt tragicznie. Konie mają zmienny charakter. Bo i z jakiego powodu się to stało? Przy cegielni stoi ten chrobocący wiatrak—gdyż, Boże drogi! miasto wszystko posiadać powinno... To trudno, świat postępuje naprzód. Postępuje ciągle, chociaż się to panu senatorowi Fajce nie raczy podobać. Więc stoi tam—jak powiadam—ów wiatrak. Sam postawić go kazałem, bo nam ciągle urągano, że nie mamy wody. Prawda, że nie mamy wody, ale zato wiatr potrafimy zaprządz do roboty, niechaj on nam miele. Ale konie ze swojego punktu widzenia — inaczej to pojmują.

Pełnej krwi koniki węgierskie, które jeszcze nigdy nie widziały takiego ogromnego zwierza, obracającego skrzydłami w powietrzu, przeraziły się i zgłupiały. Nie można im tego brać za złe. Ale teraz wywietrzała im już strach ze łbów i spokojnie zawiozła do domu panienkę i jej ochmist-rzynię.

— Oh nie, nie, za nic w świecie! Ja się teraz już boję tych koni. Jakież one były straszne! Gdyby je pan był widział! Niech Bóg bro-ni, już nigdy ani kroku nimi nie pojedę. Jabym nawet mogła coprawda, piechotą do domu po-wrócić, ale biedna madame Krisbay...

— A toby pięknie było, — oburzył się Mravucsán—gdybym piechotą puścił od siebie uko-chaną siostrzyczkę mego najszanowniejszego pro-boszcza i to jeszcze na tych małych nóżyn-kach! Ojoj! Tylkoby tego było potrzeba. Jakby to dreptało nasze małe niebożątko: tip-top, po spi-czastych kamieniach w tych swoich *everlasting* pantofelkach! Wielebny księżunio powiedziałby, jakbym słyszał: „to dopiero stary bałwan z tego przyjaciela Mravucsána! ugaszczałem go, w mle-ku i maśle kąpałem, a ten idyota piechotą w świat puścił mój skarb najdroższy! Shańbiłbym się na całe życie i raczej wolalbym panienkę na wła-snych rękach do glogovskiej plebanii zanieść.

Veronka z wdzięcznością spojrzała na Mravucsána, a Jerzemu przemknęło przez myśl, że gdyby tak naprawdę nie było żadnego wehikułu na świecie i gdyby rzeczywiście trzeba było na rękach zanieść do domu panienkę, to czy Mravucsán dałby temu radę? Czy nie skończyłoby

się na tem, że niósłby ją on sam, Jerzy? Mravucsán jest już stary, siły już sterał...

I jął mu się przyglądać ciekawie, jakgdyby ocenić usiłując, ile też są warte jego siły fizyczne: na ile mocy szacować można jego muskuły, ramiona, piersi, zupełnie jakgdyby w ściśle dosłownem znaczeniu najważniejszą kwestyą pod tę chwilę było pytanie, komu z nich ma przypaść w udziale szczęście niesienia Veronki do domu?

Ocena wypadła na niekorzyść Mravucsána; Jerzy zaopiniował w duchu, iż musi on być słaby, zaniedbany w ćwiczeniach fizycznych i aż się zdziwił, że spostrzeżenie to zupełnie wyraźną przyjemność mu sprawiło.

Ludzie nieraz nawet ani się nie domyślają w jak dziwne, groteskowe kierunki rozgałęziają się bezwiedne pędy ich myśli i z jak dalekich, nieznanych zaułków wytryskuje pierwsza kropla potoku, który się później miłością nazywa.

— Tak, tak, serce, duszyczko, — starał się wszelkimi siłami uspokoić dziewczę Mravucsán: — wypocznij sobie trochę przedewszystkiem, już my obmyślimy, co zrobić, wszystko będzie dobrze. Nie ulega kwestyi, iż przydałyby się jakie inne konie: ale skąd je wytrzasnąć, u licha? Tutaj, w Bâbaszékeni nikt nie trzyma koni, tylko woły. Ja sam tylko woły posiadam. Co góry, to góry, moja panno. Do gór koń niezdatny, ponieważ w naszych okolicach koń także tylko tyle może, co wół, to jest wlec się krok za krokiem. Tutaj nie można paradować, galopować, fikać, z fantazyą lbem na wszystkie strony rzucać: to jest poważna okolica. Tak jest, poważna, posępna

okolica. Tutaj koń się zniechęca: wobec nie-sprzyjających warunków, na „święty nigdy” nie urośnie, jakby chciał przez to powiedzieć: „niema głupich! lepiej nazawsze pozostać żrebakiem!” Jeżeli się tu gdzie jaki koń pojawi, to nie większy od kota, aż obrzydliwość bierze patrzeć.

Byłby jeszcze długo snuł i rozwlekał swoje spostrzeżenia, odzierając ród koński z wszelkiej czci i chwały, gdyby mu nagle nie był przerwał Jerzy.

— Ale przecież ja mam tutaj mój pojazd, najchętniej odwiózłbym panie do domu...

— Co, doprawdy? uczyniłbyś pan to? — zawołał Mravucsàn z radością. Wiedziałem, że pan jesteś galant! Ale czemuż pan cicho siedziałeś aż dotychczas? Dlaczego nie odezwałeś się z tem odrazu, na miłość Boską?

— Bo nie daleś mi pan przyść do słowa.

— A prawda, prawda, — zaśmiał się Mravucsàn dobrodusznie. Słowem—odwozisz pan panie?

— Ależ naturalnie! Odwiózłbym z największą przyjemnością nawet gdybym sam nie jechał do Glogovy.

— Jakto, pan sam zamierzałeś jechać do Glogovy?...

— Nieinaczej.

Veronka popatrzyła na niego chwilę swojemi głębokimi, rozmarzonymi oczami, pomyślała, nakoniec, zasępiwszy się lekko, zupełnie, jak dzieciak pogroziła mu paluszką:

— Niewolno mnie wywodzić w pole!

Jerzego zachwycił ten buńczuczny despotyzm. Roześmiał się.

— Słowo honoru pani daję. Jechałem właśnie do Glogovy. Więc pojedą panie ze mną?

Veronka wesoło skinęła główką i już wyciągnęła ręce, żeby klasnąć w dłonie z radości, kiedy naraz madame poruszyła się na swoim legowisku, wzdychając ciężko.

— O dla Boga, madame!—zawołała Veronka, jak zmyta. — Zapomniałam, że może nie będzie można z panem jechać?

— Czemużby nie?—zdziwił się adwokat prostodusznie.—Wolant mój jest dosyć wygodny, pomieścimy się wybornie.

— Tak, ale... Nie wiem, czy można.

— Jechać do domu? A ktośby mógł zabezpieczyć?

— Jakto, pan nie wie?

— Któż taki?—pytał Jerzy zdumiony.

— Może to... nie wypada—odparła nieśmiało.

Jerzy parsknął śmiechem. Cóż za miluchny głuptasek!

— Ależ tak, mój panie—upewniała, potrochu urażona, że się z niej śmieją, bo i Mravucsán aż się wziął za boki.—Prawidła światowe wyraźnie zaznaczają, iż „nie należy przyjmować ramienia obcego mężczyzny”.

— Ależ co ramię, to nie wolant! — wybuchnął Mravucsán.—Jakimżeż cuden wolant miałby to samo znaczyć, co ramię? W takim razie i ja posiadałbym dwa pojazdy przy mojej figurze. Rzućmy, kochanie, te prawidła światowe psom na pożarcie. W Bábaszékú ja nadaję prawidła, nie angielskie frajle. Otóż ja oświadczam pani, że ramię co innego, a wolant co innego. *Punctum.*

— Tak, tak, to prawda, ale swoją drogą muszę pomówić z madame.

— Niech pani pomówi.

Więc Veronka znów przykucnęła przy kanapie, pochyliła się nad chorą, dłuższą chwilę szeptały, lecz o ile można było miarkować z tonu i pojedynczych słów oderwanych, jakie Jerzemu udało się uchem wylawiać, madame Krisbay podzielała pogląd Mravucsána, że co ramię to nie pojazd, przytem, jak kto już jest przedstawiony, to temsamem przestaje być obcym. Czyli, że, zdaniem pani Krisbay, należało przyjąć ofertę młodego człowieka. Wreszcie w nagłych wypadkach niebezpieczeństwa lub jakiegokolwiek przygody — ustaje wszelka etykieta. Piękną Blankę Montmorency pewnego razu — prosto z łóżka, w jednej tylko koszulinie, wyniósł z płonącego pałacu markiz Privardière,—no, i wieża katedry Notre Dame jakoś nie runęła.

Jerzego ogarniać zaczęła nerwowa jakaś niecierpliwość, podobna do uczucia, jakiego doznaje gracz namiętny, gdy najwyższa stawka jest na rozegraniu. Nareszcie odwróciła się Veronka.

— Przyjmujemy z wdzięcznością pański ekwipaż—rzekła z uśmiechem, myśląc w głębi ducha, że sama Blanka Montmorency w podobnym wypadku zrobiłaby to samo.

Jerzy przyjął ten wyrok z niekłamaną radością i bezzwłocznie chciał zarządzić odjazd.

— Biegnę po wolant—rzekł, biorąc kapelusz, ale Mravucsán z nieprawdopodobną chyżością zastąpił mu drogę.

— Oho, ho! Trafiła kosa na kamień! Nic

z tego, mój panie. *Pro primo* dlatego, że choćby nawet panienka mogła zaraz jechać, byłoby to prawdziwym grzechem panią madamę narażać teraz na trudy podróży. To jest proste niepodobieństwo: biedaczka musi wpierv wypocząć i po przestkach i po kompresach. Żona moja natrze jej na noc miejsca opuchnięte pewną cudowną maścią,—jutro będzie się czuła jak panna młoda w dzień ślubu. *Pro secundo*—dlatego nie możecie jechać, że ja nie pozwalam, abyście się stąd ruszyli. *Pro tercio* zaś—ponieważ się już ściemnia. Wyjrzyjcie tylko z łaski swojej przez okno—jakżebyście mogli na samą noc wyruszać?

Istotnie, słońce miało się już zaraz skryć po za błękitnawo-stalowymi górami komitatu Zólyom. Cień srebrnych świerków, rosnących przed oknami, zolbrzymiał i sięgał przez szeroką ulicę aż na przeciwko, do sztachet ogrodu Mravucsána, gdzie wśród krzewów muszkatelu chudy kot z przejęciem oddawał się myciu swego futerka na noc.

Swoją drogą adwokat nie chciał tak łatwo dać za wygraną; przecież rzemiosłem jego było umieć bronić swego posterunku.

— Zanosi się na cichą, łagodną noc — mówił,—dlaczego mielibyśmy nie jechać? Przecież dla pani ochmistrzyni na jedno wyjdzie w łóżku jęczyć, czy w wolancie,

— Ależ będzie ciemno, choć oko wykol — odparł Mravucsán — a do Glogovy prowadzi ztąd droga skalista i pełna wyboi. Prawda, że jestem burmistrzem, ale księżycowi, niestety, nie mam władzy rozkazać, aby się ukazał na niebie.

— Bo też niepotrzebny. Mam bardzo widne latarnie u wolantu.

Veronka wahała się, do jednej, to do drugiej strony się przechylała, w miarę jak który ze spierających się mężczyzn silniejszym argumentem zbijał drugiego. Nakoniec jednak Mravucsán rzucał słowo, od którego ciarki przebiegły Veronkę.

— Tej nocy, jako żywo, będzie burza, gdyż obok drogi, na jednym z drzew w lesie, wisi samobójca! Będziecie go widzieli, mijając.

Usłyszawszy to, biedne dziewczątka całe drżeć zaczęło.

— Ojoj, ja za nic w świecie nie chcę przejeżdżać przez las w nocy!

To rozstrzygnęło kwestyę. Jerzy posłusznie skłonił głowę, a wiosenny uśmiech był za to hojną nagrodą. Mravucsán, jakby w niego prąd elektryczny trzasnął, wpadł do sali obrad, powierzyć zastępstwo na sesyi Konopce (nie oddałby za konia z rzędem sposobności wycofania się z dzisiejszego posiedzenia), tłumacząc się, że coś pocznie, kiedy ma u siebie niespodziewanych gości, po drodze szepnął jednemu i drugiemu z senatorów (tym lepiej ubranym), aby przyszli do niego na kolacyę, następnie popędził do domu, poczynić odpowiednie przygotowania na przyjęcie takich znakomitych gości. Na schodach, spostrzegłszy hajduka Fiałę, natychmiast pchnął go po ekwipaż pana adwokata Wibry, stojący od rana przed sklepem Mintzowej, z tem, żeby wjechał w podwórze jego domu.

W niedługą chwilę potem sama pani Mravucsánowa przybyła po damy. Była to niska, mi-

lutka kobietka; z jej szerokiej, wiecznie uśmiechniętej twarzy wyglądała szczerą dobroć serca i wielka łagodność. Ubrana była tak, jak zwykły się ubierać na prowincyi żony zamożniejszych rzemieślników: miała zupełnie gładką suknię koloru lisich oczu, czarny jedwabny fartuch dostatni i czarny także jedwabny czepeczek z falbanką na głowie, w kokardę związany pod brodą.

Wpadła z wielką wrzawą, bardzo głośno mówiąc, jak to jest zwyczajem w pełnym prostoty i uprzejmości świecie zaściankowym.

— O mój Boże, czyż to prawda, co słyszę? Mravucsán powiedział mi, że panie przyjmą u nas gościnę? Jakże się cieszę! Ale przeczuwałam to, wiedziałam. Wyrosła mi dziś biała lilia z miski w umywalni. Naturalnie w nocy, we śnie. I cóż? Odrazu się sprawdziło. Niechże się panie zbierają żywo, wszystkie rzeczy, drobiazgi sama odrazu zabiorę, bo jestem silna, jak niedźwiedź. Ale, zapomniałam powiedzieć rzecz najważniejszą, którą należało przedłożyć na samym wstępie, to mianowicie, że ja jestem żoną Mravucsána. Aj, duszko moja, kochanie, nawet sobie nie wyobrażałam, że jesteś tak piękną! Matko Boska, Przenajświętsza Matko Boska! Teraz rozumiem, dla czego nasza orędowniczka, Marya Panna zesłała ci nad główkę parasol, aby deszcz nie zmoczył twojej czyściutkiej jak rosa twarzyczki. Ale prawda, słyszałam, że ta pani jest chora, że ma stłuczone ramię. To nic wielkiego, ja mam takie zioło, że jak je przyłożymy, to zaraz się zagoi, tylko niech panie iść raczą. Nie poddawaj się, gołąbku! A żołnierze na wojnie? Jak

ja raz wypadłam z bryczki! A powoził sam Mravucsán. Zsunęliśmy się z bryczką ze skalistego zbocza. Straszliwie potłukłam się cała,— i co? żyję i chodzę. Tylko wątroba—nie daj Boże nikomu... ciągle mi od tej pory dokucza. Ha, w podróży rozmaicie się trafia. Czy panią bardzo boli?

— Ta pani wcale nie umie po słowacku, — rzekła Veronka, ani po węgiersku.

— Święty Boże!—Mravucsánowa aż klasnęła w ręce z wielkiego zdumienia.—W takim wieku, i jeszcze nawet po węgiersku nie umie?... Jak to być może?

Więc Veronka musiała jej opowiedzieć, że madame przybyła do niej, jako dama do towarzystwa, prosto z Monachium, że nigdy jeszcze, nie była na Węgrzech i że jest wdową po oficerze wojska francuskiego. Mravucsánowa nie byłaby dała przemilczyć najdrobniejszego szczegółu. Onegdaj właśnie otrzymano list w Glogovie, że przyjeżdża, i Veronka sama pojechała po nią aż do stacji drogi żelaznej.

— Ah tak! Więc to ta... (pani Mravucsánowa chciała może coś lekceważącego powiedzieć, ale w porę sobie zasłoniła dłonią usta) — ta obca pani nie umie ani po słowacku, ani po węgiersku. Biedne, bezradne stworzenie! Ale proszę mi powiedzieć, co ja z nią zrobię? Kogo przy niej posadzę przy stole, jak ją częstować będę? To będzie ładna zabawa! Ach, na szczęście, nasz kantor umie po niemiecku! No, i zapewne młody pan także?

— Niech pani będzie zupełnie spokojna, —

odparł Jerzy—ja będę ją zabawiał i częstował przy stole.

Z wielkim trudem zaczęto pomagać pani Krisbay w ubieraniu: sykała, jęczała gdy przemocą wkładano na nią pozciągane części ubrania, Jerzego wyprawiono do sieni, aby nie patrzył na tę scenę, bo pani Krisbay była wstydliva: nareszcie Mravucsánowa pozbierała ciepłe chustki, płaszczyki i pozarzucała je sobie na ręce.

— Po kufer przyślemy służącego.

Następnie wzięła madame wygodnie pod rękę, aby się mogła na niej opierać i z wielkim trudem sprowadziła ją w ten sposób ze schodów.

Madame piszczala wciąż, utyskiwała, mruzczała coś w rozlicznych językach, a i Mravucsánowa także ciągle mówiła, to do idącej przodem młodej pary, to do biednej madamy, która ze swoją rozwichrzoną fryzurą wyglądała jak, chora kakadu.

— Tędy, tędy, panieneczko! Oto jest właśnie nasz domek. Już tylko kilka kroków panieneczko. Nie, ten pies nie kąsa. Leżyć, Garam, pójdziesz! Już zaraz będziemy w domu. Zobaczy paniusia, jakie wygodne łóżeczko pościelę na noc. Z czystego puchu poduszki!

Ani odrobiny nie zbijało jej z tropu, że Krisbay'owa nic z tego nie rozumie. Bywają kobiety, które poprostu dla tego tylko mówią, że im to do zdrowia potrzebne. Cóżby robiły, gdyby nie mówiły? Jeszczeby im w końcu pajęczyna pozasnuwała usta.

— Boli, nieprawdaż? Oh, ale jutro jeszcze gorzej będzie bolało. To tak zawsze bywa przy

tępem tłuczeniu. Jeszcze i po dwóch tygodniach będziesz pani to czuła. Ale niema co mówić, — dodała, rzucając znaczące spojrzenie na idących przed nimi młodych. — Prześliczna będzie z nich para!

Istotnie, tylko kilka kroków było do domu Mravucsána; był to sobie bardzo miły budynek z kształtną werandą i wesołemi — rzekłbyś: śmiejącemi się oknami. Cóż, kiedy byłoby do niego jeszcze znacznie bliżej, gdyby przed ratuszem nie była się rozprzestrzeniła wielka łąka błotna, skutkiem czego nie można było iść nawprost, tylko trzeba ją było obchodzić, kierując się ku karczmie. Łąka ta była coprawda, bardzo potrzebna: wielkiem poważaniem ją otaczali mieszkańcy Bábászéku, ponieważ żeglugę urządziły sobie po niej miejscowe gąski, u brzegów jej wylegiwały się młodociane prosięta, i ztąd wreszcie z największą łatwością czerpano wodę w razie pożaru: że już nie wspomnę, iż prócz tego wszystkiego obozowały tu wszystkie, ile ich było, żaby miejskie, racząc pobliskich mieszkańców nieporównanemi serenadami.

Słowem — łąka była potrzebna, istnienie jej znoszono chętnie, jako instytucji ogólnego pożytku, i gdy pewnego razu geometra komitatowy, pan Jan Nepomucen Brunkusz, zwrócił uwagę ojców miasta, że właściwie czas byłoby już zasypać ten dół w ziemi przed ratuszem, — wszyscy jak jeden mąż wyśmieli pana Jana Nepomucena Brunkusa.

Skutkiem tego i dzisiaj, tak, jak zawsze, trzeba było łąkę omijać i goście państwa Mravucsánów skierować się musieli ku karczmie, zwa-

nej przez obcych (z aluzją do milego klimatu Bábászeckiego) „Pod zmarzniętym baranem”. Wciąż jeszcze rozbrzmiewała tam muzyka, goście nie mieli się już gdzie pomieścić, kilka „szafranków” z komitatu Turóc przed drzwiami, na dworzu, zapijało wódkę, a pewien zolyomski taczkarz zasiadł przy jedynym stole i trzem posługaczom kazał sobie stawiać liczne butelki wina. Ululany był już co się zowie, a czując potrzebę ekspansyi ponad miarę rozbudzonego ducha, zapuścił się sam z sobą w ożywioną rozprawę, ilustrowaną rozmiłowaniem spojrzeniami, rzucanemi w stronę chudej szkapy, melancholijnie czekającej na swego pana przed zajazdem, przystrojonym w jałowiec.

— Powiada mój sąsiad,—prawił taczkarz, że mój koń to nie koń. Jakżeby, do stu piorunów, miał nie być koniem? Był koniem jeszcze za dni Kossutha! Powiada, że nie może udźwigać ciężarów. A jużci! A czy to ciężar nie ciężki? Że chudy? Jakżeżby u kroćset beczek miał nie być chudy, kiedy mu nie daję owsa. A dlaczego nie daję? Dawalbym mu przecie, gdybym miał. Co?! Że i dawniej nie mógł dać rady taczkom? No oczywiście, jeżeli koło ugrzęzło w kałuży... To osioł z mojego sąsiada! Prawda, czy nie prawda?

Powstał z miejsca i, zataczając się podszedł do szafranków z Turóc, aby otwarcie orzekli: czy sąsiad jego jest osłem, czy nie jest osłem?

Szafrankom udało się zręcznie wykręcić przed nim, więc taczkarz jak ten pies wściekły, który ani widzi, ani słyszy nic dokoła, tylko węch go na ludzi rzuca, stanął nos w nos przed wło-

kąca się u ramienia Mrawucsánowej panią Krisbay, i wrzasnął z całej siły:

— I cóż?! Koniem jest mój koń, czy nie koniem?

Pani Krisbay struchlała i rzuciła pisk prze-raźliwy. Z szeroko rozwartej paszczy taczkarza owionęła ją woń wypitego wina, więc biedactwo było blizkie omdlenia.

— Boże wielki!—jęknęła zamierającym głosem.—Do jakiegoż ja się kraju dostałam?

Lecz Mrawucsánowa o ile zazwyczaj dobra była i łagodna, o tyle jednak w potrzebie umiała okazywać energję.

— Czy koń twój jest koniem—tego nie wiem, zawołała:—ale że ty jesteś pijaną świnią — to widzę.

I tak go trafnie łokciem dotknęła, że legł, jak kloc na ziemi, płaczliwym belkotem w dal-szym ciągu rozsnuwając swój temat.

— Sąsiad mój powiada, że ślepy na jedno oko. To i cóż z tego? Jednem okiem akurat taki sam kawał drogi przed sobą widzi, jaki widziałby i dwoma!

Ale spostrzegł swoją sytuację: zerwał się wnet na równe nogi i z bezwiedną konsekwencją pijanych rzucił się w pogoń za odchodzącemi paniami, na skutek czego pani Krisbay, zapominając o swoim cierpieniu, wyrwała się z rąk opiekunki, żeby się nie zaplątać w powłóczystą suknię, ugięła ją niezręcznie razem ze spódniczkami aż po kolana, i pomykać zaczęła przed siebie, gdzie ją oczy niosły. „Szafrankowie”, patrząc za nią ryczeli ze śmiechu, i długo jeszcze potem wspo-

minali wesoło jej chude łydki, podziwiając, „jak ona może u dyabła biegać na takich cienkich nogach?”

Bardziej jeszcze zdumiała się Veronka, idąca naprzód z Jerzym, i tak zatopiona w rozmowie, że wcale nie zauważyła niesmacznej sceny z taczkarzem. To też nie mogła zrozumieć co się stało, ujrzawszy chorą damę, dającą szalone susy w dzikim popłochu.

— Madame, madame, co się pani stało!?...

Pani Krisbay nic nie odpowiedziała, pędząc prosto do bramy domu Mravucsánów: tam wszakże stanęła, jak wryta, rzucając krzyk zgrozy. U progu przyjęło ją gromkiem szczekaniem trzech kudłatych brytanów.

Tym razem już zupełnie zemdląła. Byłaby padła na ziemię, gdyby nie to, że szczęśliwie nadbiegł w porę oczekujący na gości Mravucsán, i slaniającą się podwikę schwycił w silne ramiona.

Zacny burmistrz trzymał ją i trzymał z poglupiałą twarzą. Nie zdarzyło mu się, jak żył, widzieć zemdlonej niewiasty, słyszał tylko coś nie coś o tem, że tak bywa i że wtedy dobrze jest kubał wody na chorego wylać. Cóż, kiedy po kubał wody nie mógł teraz pobiędz. Więc przyszło mu na myśl, że możnaby ją uszczypnąć (od takiego szczypnięcia wstrząsnęłaby się i nieboszczka...). Tak, ale żeby kogo móżdż uszczypnąć, trzeba, ażeby ten ktoś posiadał bodaj odrobinę mięsa: pani Krisbay zaś składała się z samych tylko kości.

Wobec tego Mravucsán z chrześcijańską
cierpliwością doczekał nadejścia reszty towarzy-
stwa, które też istotnie wprędce przywróciło zmy-
sły biednemu, nerwowemu stworzeniu.

— Ah! — wzdychała nieszczęśliwa od czasu
do czasu:—cóż to za kraj! co za okolica!

CZĘŚĆ CZWARTA.

Bábaszécka inteligencya.

Kolacya u Mravucsánów.

Nie będę się długo rozwodził nad tem, co teraz nastąpiło. To tylko z Chrystusa ubraniem stał się ów cud, że razem z dzieckiem rosło. Maleńki płaszcz, który nosił, gdy był pacholęciem, był tymsamym płaszczem, który okrywał mężczyzną dorosłego, Jezusa, idącego na Golgotę.

Od owej pory nie było już na świecie takich płaszczów (ku nieklamanej radości krawców), tylko u powieściopisarzy trafia się jeszcze niekiedy cud podobny: skąpy materiał, z którego by kto inny zaledwie kamizelkę wykrajał—pod ich piórem rozpręża się do nieskończoności.

Ale ja tego nie lubię, toteż załatwię się krótko z wyśmienitą zresztą i wykwinną kolacyą u Mravucsánów.

Jeżeli był kto, niezadowolony, to chyba madame Krisbay, która zaraz przy pierwszym daniu, przy wyśmienitym gulyászu z baraniny, poparzyła sobie usta, wołając:

— Ojoj, coś mię gryzie tam wewnątrz, w gardle!

Jeszcze gorszą opinię u niej zyskała sobie druga potrawa: ser w kawalkach, zapiekany ze skwarkami. Skrzywiła się jak nieboskie stworzenie i odłożyła widelec.

— *Mon Dieu*, ależ to są kawalki przemozonego sukna!

Biedna pani Mravucsánowa była w rozpacz, że egzotyczny gość nic nie je. „Jakiż to wstyd dla mnie!...” lamentowała. Nareszcie ustawiła przed cudzoziemką bateryę konfitur, które jakoś przemówiły jej do gustu, szczerze się koło nich zakrzętnęła i powoli, powoli, zaspokoivszy żołądek, zaczęła się potrochu godzić z otoczeniem.

I słusznie, gdyż miała przy stole z prawej i z lewej strony bardzo godnych uwagi sąsiadów: miejscowego duchownego luterańskiego, wielbnego pana Samuela Refanidesa, tudzież kierownika śpiewów chóralnych, kantora, pana Teofila Klemkę. Mężowie ci starali się możliwie najbardziej zajmująco ją zabawiać. Samo już zaproszenie, jakie otrzymali, brzmiało w tym sensie: koniecznie przyjść muszą, ponieważ będzie na kolacyi pewna niemiecka białogłowa, którą mają „*rozrywać*!”. Toteż przesadzali się obydwaj, choćby już tylko dla sportu, aby się popisać przed senatorami, jak płynnie władać umieją wykwinnym niemieckim *szprichszprechem*.

Madame Krisbay znajdowała, że jej sąsiedzi są bardzo sympatyczni, zwłaszcza gdy ją objaśniono, iż wielbny pan Samuel Refanides jest kawalerem do wzięcia. Jakto? Więc w tym dziwnym

kraju księża żenić się zwykli? (To jednak kraj ten ma i dobre swoje strony...).

Kantor był przystojniejszy, ale już żonaty i starszy wiekiem. Inteligentną jego, owalną twarz przedłużała jeszcze okazała, czarna broda, zakrywająca mu pierś całą. Rysował się nawet na jego twarzy wyraz pewnego dowcipu, który się jednakże tylko w minimalnych dozach ujawniał, jak — dajmy na to: z twardego pnia drzewnego — żywica.

Pani Kirsbay śmiała się wesoło z rozmaitych jego uwag i spostrzeżeń: szkoda tylko, że lękała się z całą swobodą oddać wesołości, ponieważ wciąż jeszcze drapała ją w gardle ta przekłeta papryka,—lub może już tylko samo wspomnienie o niej. Jak wosk żółta jej twarz co raz powlekała się czerwienią od gwałtownie powstrzymanego kaszlu, który nie tylko, że kobietę bardzo postarza, ale nadto robi dywersję całemu towarzystwu.

— To nic, to nic, — uspokajała ją Mravucsánowa: wykaszał się śmiało duszyczko, dowoli. Kuc! kuc! Kaszlu tak jak ubóstwa nikt nie utai.

Cudzoziemka coraz lepiej się bawiła, bo pastor posiadał jeszcze i ten atut, że w Monachium kończył szkoły i umiał opowiadać mnóstwo anegdot z owych czasów, tamtejszym dyalektem, co panią Krisbay w prawdziwy zachwyt wprowadzało, jakgdyby w maśle kąpało jej duszę.

Wielebny Samuel Refanides ani trochę nie należał do typu nudnych, pobożność udających duchownych i pomimo słynnego *bon mot*, ułożonego przez pana Teofila Klemkę, a powtarzanego

przez cały Bábaszék (polegajacem na czytaniu naodwrot jego nazwiska: „*sedi na fare Rafanides*”), ani jednego dnia nie zagrzeł miejsca na swojej plebanji: stanowił istną antytezę domatorów, lubił wizyty i przygody. Nawet, otwarcie mówiąc, był to człowiek z pewnym temperamentem, do tego stopnia, że z poprzedniej eklezyi gdzie przebywał, ustąpić był zmuszony właśnie dla pewnej awanturki z niewiastą. Pani Mravucsánowa знаła nie tylko historję całą, ale i jej bohaterkę, panią Maciejową Bahó: musiała to być dosyć ograniczona osobistość, bo sama wyśpiewała tę awanturkę przed swym mężem, głównym kuratorem, i przytem nawet nie była wcale ładna, Mravucsánowa bowiem w taki sposób mawiała o niej:

— Refanides miał kielbie we łbie, że się z nią zadawał. Brzydkiej kobiety nigdy nie należy całować, ani biedaka o pożyczkę prosić, bo się zaraz chwala!

Tak mówiła pani Mravucsánowa, dodając wszelako: „Gdyby się jednak kto na mnie chciał powoływać,—jako żywo—zaprzeczę”. Wobec tego i ja napewno nie twierdzę, bo nie miałbym się na kogo powołać.

Wreszcie wszystko jedno. Fakt, że pani Krisbay wesolo szczebiotała ze swymi dwoma sąsiadami. Dwaj luminarze miejscowi napravili w jej przekonaniu opinię naszej ojczyzny. Szczęście to wielkie, iż nie rozumiała po słowacku, gdyż wątpię, czy byłaby zbudowana dowcipem reszty towarzystwa. Śliczna Veronka nieraz szczerze się uśmiechała z tych żartów, zajmowały bowiem

jej dziecinny umysł, tem więcej, że po raz pierwszy dano jej było je słyszeć. Inni jednak na pamięć już znali zawsze jednakowo powtarzające się toasty bogatego rzeźnika, Pawła Kukucski, lub koncepty utrefionego fircyka, pomocnika re-jenta, pana Mokrego.

Veronka miała z jednej strony Jerzego, z drugiej zaś właśnie tego fircyka, a za nim siedziała pani Ślimińska z mężem, leśniczym. Jeszcze nie stara ta kobietka, kochając bardzo męża swego, nie przestawała strofować go co chwila.

— Odsuń na bok tłustość z tej gęsinie, Władziu!

Władzio marszczy brwi i gniewa się.

— Kiedy to właśnie najlepsze!

— To trudno Władziu. Nie pozwalam. Zdrowie jest ważniejsze.

Władzio zmuszony jest usłuchać.

— Dlaczego rozpiąłeś surdut? Nie czujesz że zimno? Zapnij się natychmiast, Władziu!

Władzio zapina surdut i z uczuciem ulgi po spełnionym obowiązku sięga znów do półmiska.

— Już ani kawaleczka, Władziu! Ani odrobiny. Już dosyć. Chcesz, żeby ci się znów byki przyśniły w nocy.

Władzio posłusznie odkłada widelec, i chce się wody napić.

— Pokaż wpierw,—woła żona ze strachem,—muszę sprawdzić, czy nie zbyt zimna.

Władzio podaje jej szklanę.

— No, możesz wypić kilka łyków. Już sta-

ła jakiś czas w pokoju. Ależ dosyć już, dosyć!... Władziu, pijesz jak tęcza! Postaw szklankę!

Nieszczęsny Polak, męczennik małżeńskiej miłości, od szesnastu lat w jarzmie tego przywiązania chodząc, aczkolwiek nigdy nie chorował — w końcu sam święcie w to uwierzył, że zewsząd mu co krok grozi zguba, że byle wietrzyk, byle kąsek zbyt czyny—katastrofę na niego sprowadzi.

— Uważaj Władziu! Jeszcze cię pies ukąsi w nogę pod stołem!

Dokoła stołu zaczyna panować tak zwana „*amabilis confusio*”. Wszyscy rozmawiają jeden przez drugiego, każdy o swoim, o tem, co go najbardziej obchodzi. Senatorowie wracają do spraw społecznych, do konfliktu, wywołanego kwestyą znalezionej w lesie wisielca, pani Mravucsánowa lamentuje, zmartwiona srodze, ponieważ—jej zdaniem—nikt nic nie je, pan Teofil Klemka, rozochocony trochę czerwonym winem, zauważywszy, że pani Kriszbay i tak więcej rozmawia z interesującym pastorem, niż z nim, woła wielkim głosem:

— Panowie senatorzy, mam uczynić ważne zeznanie!

— Słuchamy! słuchamy!

— O samobójstwie psów.

Ogólna uwaga skierowuje się na niego, nawet pastor musi przerwać gruchanie. Pst! pst! Słuchamy.

Od pewnego czasu, istotnie, sensację sprawiało w całej okolicy, że pod pasieką pana Klemki znajdowano bez mała codzień nad ranem — identycznie w jednym i tem samym miejscu jedne-

go z bezpańskich psów, włóczęgów, uśmierconego kulą. Intrygowało to wszystkich, ile — że komuby się chciało nocą na psy czatować.

— Ja to jestem sprawcą ich śmierci nie-szczęśliwej.—Klemka jął tłumaczyć w jaki sposób przez otwór w jednym z opuszczonych uli nastawia fuzyę, połączoną sznurkiem z kawalkiem mięsa, przyczepionym na przynętę. Pies sięga zębami po mięso, jednocześnie sznurek pociąga cyn-giel,—i po psie!

Homeryczny śmiech przyjął tę publiczną spowiedź figlarza Klemki, a Mravucsán pospieszył zaraz wyciągnąć z tego morał okolicznościowy.

— Samobójstw bezwątpienia rozliczne istnieją rodzaje: ze wszystkich jednakże najgorszem jest samobójstwo, dokonane za pomocą nieugaszzonego pragnienia. A zatem—pijmy, panowie!

Więc brzęknęły puhary, a wśród ogólnej wrzawy przebijał tylko cienki głosik kobiecy:

— Ej, Władziu! Władziu.

Był to głos pani Ślimińskiej, która brała za złe swojemu Władziowi, że się wraz z innymi także dość raźnie koło szkła krzątał. Jej znowuż brał za złe fircykowaty pan Mokry, że cała jej uwaga jej bezustanku pochłonięta mężem, pomimo frapujących tematów, jakie przed nią starał się roztaczać.

— Władziu, cygaro stanowczo ci zaszkodzi. Połóż je, proszę cię. Kilka razy pociągnąć wystarczy... Więc poco jeździłeś pan do Bystrzycy, kochany panie Mokry?

— Rozmaite drobiazgi musiałem pozalać,...

a przedewszystkiem przywiozłem sobie ztamtąd ten garnitur, który obecnie mam na sobie.

Z podziwem, graniczącym z rozkoszą przyglądał się—już niewiedomo po który raz tego wieczora swojemu ciemnogramatowemu ubraniu.

— Ładny garniturek. Gdzież go pan kupiłeś?

— Umyślnie dla mnie robiony u krawca Klenéra.

— I drogo też kosztuje? — pytała Ślimińska z roztargnieniem.

— To galicyjskie sukno, tak mocne i gęste, że niezdarte i nieprzemakalne. To przy dniu trzeba obejrzeć...

— Aha, miękkie, jak jedwab... Władziu, moje dziecko, może zamieniłbyś się na miejsce ze mną, bo zdaje mi się, że tam przeciąg okropny, jak drzwi otwierają... No, cóż to za przekornouparta mina? Może mi się chcesz sprzeciwić? Dalej: raz, dwa, trzy! Przesiadamy się, Władziu!

Męczennik miłości ze stulonemi uszy słucha komendy i pani Ślimińska siada teraz obok młodego adwokata Wibry, który jednak przeważnie Veronką jest zajęty. Podłotek świergoce, jak gdyby mu języzek podcięto, znakomity zaś, uczony adwokat, który według ogólnej opinii — tylko patrzeć, jak zostanie posłem z Bystrzycy, słucha tego świergotu z takim namaszczeniem, jak gdyby do niego jaki biskup przemawiał, a nadto — oczu nie odwraca od swojej sąsiadki—z wyjątkiem chwil, kiedy ona na niego spogląda.

Rozmawiają głosem ściszym, tylko dla siebie: możnaby myśleć, że pertraktują o jakichś

niesłychanie ważnych sprawach, a oni tymczasem zwierają się sobie tylko z codziennych spraw powszednich, co robią zazwyczaj, jakie książki czytają, nareszcie adwokat zapytuje panienkę, czy jej się w Glogovie nie przykrzy.

— Jakżeżby się mogło komu przykrzyć w Glogovie?... (To tak, jakby się kto kogo zapytał, czy mu się Paryż nie nudzi?).

— A jest tam las niedaleko?

— I jeszcze jaki!

Nareszcie dostaje się podlotkowi komplement jakiś, od którego piecze raki aż po samą szyjkę.

— Oh, jakże tu gorąco,—mówi, żeby zamaskować swoje pomieszenie.

— Istotnie, ociepliło się jakoś w pokoju!—przypowiada pani Ślimińska. — Władziu, możesz rozpiąć surdut!

Władzio wzdycha i rozpina się, ale jest rozniewany na żonę za nudzenie i objawia to w takiej formie, że grdyka mu skakać zaczyna z dołu do góry. Na szczęście gniew jego uśmierza szereg toastów, które pochłonęły uwagę wszystkich, podniecając wzajemnie natchnienie w tym kierunku.

W pewnej chwili powstał i Ślimiński.

— Władziu, nie mów! Za słabe masz płuca do głośnej mowy!

Ale rozpedzonego Władzia nie powstrzymały już teraz żadna siła.

— I ja, panowie, podnoszę puhar na cześć najpiękniejszego kwiatu na naszej niwie! Na cześć naszej ukochanej siostrzyczki w Jezusie

Chrystusie, tego baranka niewinnego, dla którego Bóg w miłosierdziu swoim raczył cud uczynić, mówiąc do swojego sługi: „Popędźno tam, Piotrze, co żywo, nie daj maleństwu zatonać!” Niech żyje panna Veronka Bélyi!”

Veronka zarumieniała się jak piwonia, zwłaszcza gdy goście pozrywali się z miejsc i wszyscy rzędem jęli podchodzić do niej, całując ją w rączki, niektórzy nawet przyklękali przed nią, a pobożna pani Mravucsánowa nawet nie tylko przyklękła, ale pocałowała kraj jej sukienki.

Jerzy, słysząc osobliwsze epitety, adresowane do młodego dziewczęcia, sądził na razie, że leśniczy się upił: ujrzawszy jednak, że i reszta towarzystwa postępuje tak samo—zaczął doznawać zdziwienia z przymieszką nieprzyjemnego jakiegoś uczucia.

— O jakimże to cudzie wspomniał pani małżonek?—spytał, zwracając się do pani Ślimińskiej.

Pani Ślimińska klasnęła w dłonie.

— Jakto? pan o tem nie słyszałeś? Czyż naprawdę? Przecież pisano o tem w druku. Są słowackie piosenki...

— O czem pisano w druku?

— O tem wydarzeniu z parasolem... Władziu! zgrzałeś się i zaczerwieniłeś, wyglądasz jak rak! Może ci dać wachlarza?

— O jakim parasolu? — naglił adwokat niecierpliwie.

— To jednak dziwne, że pan o niczem nie słyszał. Zdarzenie to miało miejsce, kiedy pańska sąsiadka była maleńką dzieciną: zostawili ją

w koszu przed plebanią i zapomnieli o niej. Jej brat i opiekun, proboszcz z Glogovy, modlił się w kościele i nie wiedział o tem, że przez ten czas ogromna burza wybuchła i nastąpiło oberwanie chmury: maleństwo byłoby napewno zatopięło w tych potokach, albo rozchorowało się srode, gdyby nie był nieszczęściu zapobiegł prawdziwy cud. Skąd przyszedł i gdzie się potem podział—niewiadomo, dosyć, że okazał się przy dziecku nagle jakiś siwowłosy starzec i osłonił je ogromnym parasolem.

— Moim parasolem!...—wybuchnął mimowoli adwokat.

— Co... co?

— Nic, nic!...

Krew zaczęła mu pulsować, jakgdyby żyły rozsadzić miała, serce biło mu nieomal głośno, drżącą ręką wykonał ruch jakiś niezręczny i wyrócił kieliszek z winem.

— Chrzcziny, chrzcziny będą!...—zaczęto wołać dokoła.

Struga wina pociekła w stronę pani Slimińskiej.

— A, winszuję pani, winszuję!—drażnił biedaczkę pastor Refanides.

Pani Slimińska wstydliwie spuściła oczy.

— Ależ nie, broń Boże... Władziu!

Jerzy jednakże nie chciał dopuścić, ażeby mu sąsiadkę zaanektowano byle jakimi bzdurstwami w chwili, kiedy go tak mocno zainteresowała rozmową.

— Więc cóż dalej? cóż dalej? — pytał rozdrażniony.

— Starzec znikł bez wieści. Niepodobna było o niego się dopytać. Kilkoro osób, które zdążyły go widzieć, utrzymują napewno, iż nie mógł to być nikt inny, tylko sam Święty Piotr z nieba.

— A to był Mintz stary.

— Co pan powiada?...

Jerzy przygryzł usta, zły, że nie umie nad sobą panować.

— Nic, nic właściwie. I co się potem stało?

— Święty Piotr zniknął, lecz parasol pozostał.

— Więc jest parasol?— pytał Jerzy niemal natarczywie.

— Ależ naturalnie! Strzegą go Glogovianie jak relikwii w kościele.

— To chwała Bogu!

Odetchnął, jakgdyby mu z piersi spadł studentnarowy ciężar i otarł chusteczką potem zroszone czoło. Więc jest nareszcie! Słowa te majały mu ciągle w umyśle i tak mu się kręciło w głowie, iż bał się spaść z krzesła. Teraz wiedział już wszystko i ogrom szczęścia aż go przygniatał. W karku czuł jakieś odrętwienie i ucisk na sercu. W oczach mu ciemniało chwilami, tak jakby widział płatki jakieś, bujające w powietrzu.

— Do kogóż należy teraz ten parasol?—pytał jeszcze tępo, machinalnie.—Do kościoła?

— Może należyć jeszcze i do pana!—zaśmiała się młoda kobietka. Veronka, jeżeli zechce, zabierze go z sobą, wychodząc za mąż. Mówił mi to sam proboszcz Glogovski: „Parasol

jest własnością mojej siostrzyczki, zrobi z nim co będzie chciała, o ile nie ofiaruje go kościołowi, wychodząc za mąż”.

— O nie, nie!—potrząsnął głową Jerzy, wodząc dokoła błędnym wzrokiem, jakgdyby był nie przy zdrowych zmysłach. — Na to nie pozwolę!... Właściwie—cóż ja mówię?... Bo o czym to była mowa? Oh, jakże tu gorąco. Duszę się poprostu! Szanowny panie Mravucsanie, czy nie można byłoby trochę uchylić okna?

— A czemużby nie?

Mravucsán wypełnił życzenie gościa.

— Władziu, zapnij surdut!

Do pokoju wpłynął prąd rzeźwego powietrza nocy wiosennej i w pewnej chwili — jak na komendę obie świece zagasił.

— Wolno całować!—zawołał w ciemnościach ten nicpotem, Klemka.

Przez otwarte okno wsunęła się do pokoju gałązka bzu, okryta kwiatem i napelniła powietrze pełnym miłosnych pokus aromatem, wzamian za uciekający na dwór dym z papierosów.

Pani Krisbay krzyknęła czegoś, pewno przestraszona nagłą ciemnością, ale szelma Klemka usiłował nadać niewinnej tej okoliczności zabarwienie bardziej zajmujące.

— Słowo honoru daję, to nie ja!

Naokoło zapanowały śmiechy i półśmieszki, które jak wiadomo—w ciemnościach, nabierają specjalnego znaczenia, jedna tylko pani Ślimińska, demonstracyjnie pragnąc okazać, dopóki świec napowrót nie pozapalają—jak dalece przetrasta wszelkie tego rodzaju niesmaczne dowcipy,

ciągle głośno rozprawiała jeszcze o parasolu, aby dowieść wszystkim obecnym, że skoro mówi—za-tem żadnych innych praktyk ustami—pod tę chwilę nie uprawia.

— Jest to naprawdę bardzo ładna, pełna wdzięku legenda, panie Wibra, niech mi pan wierzy. Nie należę do dewotek nazbyt łatwowiernych, tem więcej, że jesteśmy wyznania ewangelickiego (choć się o tem nie mówi.), lecz mimo to ogromnie mi się ta legenda podoba. Ten parasol to prawdziwie cudowny jakiś sprzęt. Chorzy odzyskują zdrowie, gdy go nad nimi rozposrzeć: pewien umarły zmartwychwstał, dzięki dotknięciu tego parasola. Nie kręć pan głową. To fakt. Sama znalazłam tego człowieka, do dziś dnia jeszcze żyje. Trudno zliczyć i opowiedzieć rozmaite dziwy, przypisywane temu parasolowi. Już choćby to samo, ile powodzenia i jaki dostatek sprowadził na glogovską parafię.

Jerzego schwyciło nagle straszne podejrzenie. Świece już pozapalano i przy ich migotliwym a rozjaśnionym blasku, piękna twarz jego rysowała się ostro, blada, jakgdyby z niej życie uszło.

— Ksiądz jest bogaty?—spytał cicho z upiornymi błyskami w oczach.

— Oh, nawet bardzo!—odparła Ślimińska.

Więc bardziej się jeszcze ku niej pochylił i uchwycił jej rękę kurczowo. Pani Ślimińska nie wiedziała co ma o tem myśleć. (Gdyby to był uczynił wtedy, kiedy świece zgasły, byłby to z jego strony czyn brzydki, ale zrozumiały: lecz teraz?...)

— Może znalazł co w parasolu? — pytał Jerzy głosem stłumionym, hamując głośnie dyszenie.

Pani Ślimińska wzruszyła ramionami, bielącemi się z pod czarnych, koronkowych wszywek.

— A cóżby mógł znaleźć w parasolu?

Przecież to nie kocioł, ani skrzynia żelazna. Tylko od jakich czternastu lat przyjeżdżają do tego parasola z rozmaitych stron wędrowcy. Pary, chcące się pobrać, przysięgają sobie wierność pod tym parasolem i składają księdzu za to hojne ofiary. Ilu tylko zamożniejszych chorych lub umarłych się trafi wzdłuż biegu Białej Wody, od Szitny aż po sam Krywań—wszystkich spowiadać musi na łożu śmierci proboszcz z Glogovy, a potem odprowadzać na miejsce wiecznego spoczynku z tym cudownym parasolem.

Veronka, której Mravucsánowa pokazywała tymczasem ślicznie haftowane obrusy, wspaniałe płótno lniane własnego wyrobu, — dopiero teraz półuchem łowić zaczęła o czem mówią jej sąsiedzi.

— Rozmawiacie państwo o naszym parasolu?—spytała milutko, swobodnie, kołysząc się lekko na krześle.

Jerzy i pani Ślimińska drgnęli nieznacznie.

— Tak pani — odparła leśniczowa odrobinę zmieszana.

Jerzy uśmiechnął się ironicznie.

— No?—spytała Veronka:—pan, jak widzę, nie wierzy?

— Nie.

— Ah,—rzekła dziewczeczka, rzucając mu pełne wyrzutu spojrzenie: i dlaczego?

— Bo nie umiem uwierzyć w pierwsze lepsze głupstwo i wreszcie...

Tu już—już chciał rozbić petardę kamieniem ciężkiego argumentu, ale zamilkł, jak zmyty, na widok nagłej zmiany, jaka zaszła w dziewczęce. Na twarzyczce jej, w jej całej osobie zamalował się wyraz niewypowiedzianej przykrości i urazy. Można rzec, iż skurczyła się w sobie, jak ptaszek, gdy mu piórko wyrwą. W milczeniu odwróciła głowę i jęła przyglądać się bezmyślnie talerzowi swemu, na którym leżały resztki opłatka od leguminy.

I Jerzy milczał, pomimo, że go rozpierała ochota skoczenia na równe nogi, wołając z sił całych: „jestem bogaczem! panem krociowym! w rękojeści parasola tego są ukryte skarby, które do mnie należą!” Dziwna to rzecz, iż pierwszym uczuciem, jakiego człowiek doznaje, gdy go wielkie szczęście dotknie, jest pragnienie (bo choćby mu się wszystko, o czym śnił, spełniło, pragnień będzie doznawał zawsze) podzielenia się wiadomością o tem z wszystkimi. Chciałby dzwonom to wszepnąć, aby powtarzały, heroldom nakazać obwoływanie tego wszędzie, aby cały świat słyszał.

Jeżeli jednak takiem jest pierwsze uczucie, to drugie już odmienny ma charakter. Drugie jest wątpieniem. Po za największem szczęściem czatuje ukryty w bruździe cień jakiś, szepczący zgrzytliwe: „a nuż?...” Jerzy zdawał się także dostrzegać coś takiego.

— Niech mi pani powie, jak też wygląda ten parasol?

Veronka przygryzła usta, jakby uważała za rzecz niegodną trudu podejmować ten przedmiot ze sceptycznym interlokutorem.

— Nic osobliwego, — odrzekła jednak po chwili chłodno i powściągliwie. — Ma pokrycie czerwone, bardzo wypłowiałe, jakgdyby miał z jakie tysiąc lat i plamy też są na nim, bo ja wiem jakie mnóstwo!...

— A dokoła brzeźnicy ma zielone kwiatki?

— Pan go widział?

— Nie, tylko pytam.

— Tak, brzeźnicę ma w kwiatki.

— Będzie go można obejrzeć?

— Naturalnie. Pan życzy sobie?

— Przecież po to jadę do Glogovy.

— Po to? Jakże to pogodzić z tem, że pan nie wierzy w jego pochodzenie?

— Właśnie dlatego jadę. Gdybym wierzył, nie jechałbym.

— Z pana jest zły człowiek. Poganin.

Odsunęła się trochę od Jerzego, co tego ostatniego jednak widocznie dotknęło: spowaźniał.

— Obrazilem panią? — zapytał łagodnie, ze skruchą.

— O nie, tylko mnie pan przeraził.—Prześliczna, owalna twarzyczka wyrażała głębokie rozczarowanie.

— No już gotów jestem we wszystko uwierzyć, tylko niech się pani mnie nie boi!

Veronka zaczęła się leciuchno uśmiechać.

— Bo też zbrodnią byłoby w to nie wierzyć—wtrąciła pani Ślimińska.—Nie jest to żaden zabobon. Istnieje cały szereg przekonujących

dowodów. Kto w to nie wierzy, ten chyba w nic nie wierzy. Albo prawdziwymi są cuda, jakich Chrystus dokonywał, więc i to może być prawdą, albo...

Ale przerwano jej w tem miejscu, gdyż pani Krisbay powstała od stołu, oznajmiając, że czuje się już bardzo zmęczona, więc musi iść na spoczynek, wobec czego wszyscy powstałi i pani Mravucsánowa wzięła ją i Veronkę pod swoją opiekę, aby je odprowadzić do dwóch miłych pokojków od strony podwórza.

Jerzy przysunął się jeszcze u drzwi do Veronki, ile że otrzymał od niej kiwnięcie główką na dobranoc.

— O której godzinie wyruszemy rano? — zapytał.

Pochyliła śnieżnie biały karczek z przekorną uległością.

— Jak pan rozkaże, panie *Tomaszu!*

Jerzy zrozumiał, co ten „Tomasz“ ma znaczyć.

— Wszystko zależy od tego, jak długo syplają święci.

Veronka na te słowa odwróciła się jeszcze w sieni i, zrobiwszy srogą minę, zaciśniętą piąstką pogroziła zuchwalcowi.

— Poczekaj pan!

Jerzy gubił za nią oczy. Śliczna dziewczyna, i w dodatku jak ona tą piąstką groził! Niech to znaśladują święci, jeżeli zdołają.

Niedługo i Ślimińscy żegnać się zaczęli. Z rozporządzenia Mravucsána czekał już na nich człowiek z latarką (ponieważ dzisiaj księżyc nie

świecił). Pani Ślimińska kazała Włodziowi włożyć palto wiosenne, na to zawiesiła jeszcze jakiś płaszcz faldzisty, dookoła szyi okręciła mu puszystą, wełnianą chustkę i nakarmiła kilkorgiem przykazań, między którymi najważniejsze było tej treści, żeby na dworzu nie ważył się oddychać ustami, tylko nosem. Znalazła jednak przy tem kilka chwil i dla Jerzego.

— Naprawdę, jest to śliczna legenda. Mnie przynajmniej nadzwyczajnie wzrusza.

— Ah, biedne te legendy!—westchnął Jerzy— Gdyby tak dmuchnąć na taką piękną legendę, i zwiać z niej złocistą emalię, rozproszyć aromat świętości i ów obłoczek, czy tumanik tajemniczy jakim się otacza, to cóż za pospolita, powszednia pozostałaby z niej proza!

— Toteż nie trzeba na nią dmuchać!—odparła młoda kobieta.—Podnieś kołnierz od palta, Włodziu! Adwokat się zadumał.

— Może to i słusność,—mruknął po chwili, jakby sam do siebie.

W kilka chwil potem i Jerzy zapragnął snu albo samotności i poprosił Mravucsàna, aby go go skierował w wyznaczone dla niego miejsce.

Po odejściu tych ceremonialnych gości reszta towarzystwa odetchnęła z ulgą: znalazła się talijka kart i miejscowi panowie sumiennie przepracowali przy zielonym stoliku do samego rana. Jeden tylko kantor Klemka wałęsał się luzem z kąta w kąt, bo sam nie grywał, a że komu zajrzał w karty, temu nieszczęście przynosił, więc nazywano go „pechowym gapiem“, i odpędzano zewsząd. Nareszcie zasnął, z głową opartą na sple-

cionych o stół rękach, rozpostarłszy przed sobą wspaniałą swoją brodę. Wyszło mu to bardzo na zle, bo rozochoceni gracze, wydobywszy sznurek, lak i pieczętkę, przypieczętowali mu tę brodę do stołu.

To będzie parada, jak się przebudził!

W innych stronach domostwa działały się także rozmaite przygody. Pani Kirsbay, której Mravucsánowa odstąpiła swojego własnego pokoju nie miała odwagi okryć się pierzyną, w najgłębszem przekonaniu, że się pod nią zadusi. Za wszelką cenę żądała koldry. Tymczasem u państwa Mravucsánów nie było ani jednej koldry. Pomysłowa gospoia jednak, sięgnąwszy po radę do głowy, przyniosła jej kudłatą burkę swojego męża. Aliści pani Kirsbay tak się tej burki przelekła, że wpadła w migrenę, i trzeba jej było przez całą noc przykładać na skronie synapizma z chrzanu.

Veronce znów kot przeszkadzał się rozbierać. Zakradł się do jej pokoju, i tak ciekawie patrzył na nią zielonemi ślepiami, że dziewczynka zaczęła się go wstydzić. A taki był natrętny, iż daremnie go odpędzała, daremnie nawet światło zgasiła, kocisko, fosforyzując oczami, jeszcze jej się gorzej naprzykrzało. Nakoniec obwiązała Veronka kotowi łeb chustką wełnianą: Patrz sobie teraz, jeżeli potrafisz!—i zasnęła jak anioł.

Noc przynosi radę.

Jerzy nie mógł zasnąć. Nie z przejedzenia fizycznego, kolacją pani Mravucsánowej, tylko z powodu przeładowania myśli wielkimi wydaniami dnia upłynionego.

Jak bezkształtny chaos kotłowały mu się w głowie przeżyte dziś wrażenia. W ciągu kilku godzin przeżył tak, jakby lat kilka. Boże święty, jakżeż to już dawno temu, jak szukał parasola na poddaszu u Mintzowej! A teraz nareszcie już jest znaleziony. Prawdziwie Opatrzność Boska pokierowała tą sprawą. Bóg powierzył go aniołowi.

Tu myśl Jerzego przeszła z parasola na „aniola”. Mile stworzenie, trzeba przyznać. Ani trochę nie jest nieznośna, jak wszystkie panny w jej wieku, wkraczające w okres fazy „na wydaniu”: skrępowane, sztuczne, lalkowate, bez odrobiny naturalności. Veronka jest wyjątkiem. Veronka jest podlotkiem zupełnie na miejscu. I przytem — tak — jakby sympatyzował z nią trochę...

Przypominać sobie zaczął każde jej słowo, niemal każde poruszenie, w którem zauważyć zdołał pewną życzliwość dla siebie i przeżywał je jak na jawie poraz drugi, trzeci, czwarty... Tylko że w marzeniu słodsze się to jeszcze wydawało, niż po raz pierwszy, na jawie. Więc krytycznie, raz jeszcze cofając się po linii świeżych swoich przeżyć, pomiędzy uśmiechami, półsłówkami, przewlekłymi spojrzeniami, mimowolnymi akcentami głosu (cóż to za zbiór pełen uroku!)—dostrzegał jednak i niejednen odcień obojętności, chłodu: więc, zniechęcony i zbity z tropu—przemocą wydzierał się po za blaski śnionego zamczyska w realną, tęczowo-złocistą sferę rzeczywistości—do dumań o odzyskaniu parasola.

O jakże szczęśliwym ma prawo się nazywać!

Co mu za potrzeba wdzięczyc się i smalić cholewki do niedojrzałych smarkat! Jest panem, nababem się stał z dniem dzisiejszym.

Będzie przeżywał dni swoje, jak książę. Zimę przepędzi w Budapeszcie, albo na Rivierze, latem pojedzie do Ostendy, do Monaco—słowem: będzie wielkim panem, i nawet oczu nie przychyli do jakichś tam sióstr księżowskich. (No no, ale jednak w taki, czy inny sposób jakoś ciągle myślał powracał do tego utrapionego bąka, Veronki!)

Ani na chwilę oka nie mógł zmrużyć. Jak tu spać wobec takiego przewrotu w życiu? Przewijały mu się przed oczami wyobraźni coraz piękniejsze, coraz cudniejsze plany sposobu, w jaki sobie życie ułoży. To tak, jak te motyle w lesie glogowskim o których rozmawiał z Veronką. Gonił za nimi i gonił... Ej, żeby to już był dzień, żeby się módz ruszać, coś działać!...

Zegarek tykotał ochoczo na stoliczku, tuż przy jego głowie: spojrzał któraż też godzina. Dopiero północ?... Niepodobna, żeby było tak wcześnie. Zegarek może źle idzie? Gdzieś, z trzeciego, czwartego podwórza odezwało się pianie koguta, jakgdyby nieznajomy ptak chciał mu odpowiedzieć: „Owszem, dobrze wskazuje twój zegarek, panie Wibra!” Z gospody „Pod zmarzniętym baranem” dochodziły chwilami dźwięki stłumionej muzyki. Jakiś po nad miarę rozmarzony pasterz rzewliwie wyciągał żalospną nutę znanej słowackiej piosenki juhasowskiej, której początek mniej więcej w takim brzmi sensie:

„Nie juhas-ci to, kto dla mięsa
 Za owieczką bieży:
 Nie do tego, kto ją wychował
 Owieczka należy..,“

Jerzy zapalił papierosa i, puszczając kółka z dymu, pozwolił myśli bujać swobodnie za szlakiem, jaki przed nią roztworzyła treść tęsknej piosenki.

O tak. Nie do tego, kto ją wychował, owieczka należy. I oto spójrzmy tylko, zkad się ten parasol wylania? Właściwie nawet — jeszcze się nie wyłonił. Przecież Jerzy jeszcze go nie trzyma w ręku. Ściśle nawet biorąc—to jeszcze nie można nawet nazwać, żeby kwestja odzyskania go była tak bezpośrednio prosta i łatwa. Dotychczas Jerzy wyobrażał sobie, że parasol, jeżeli nawet jeszcze gdzie istnieje, to jako rupieć, butwiejący na śmietniku i dlatego właśnie niewielką miał nadzieję odzyskania go. Tymczasem co się stało? Rzecz cała poszła na wywrót. Teraz trudność w tem tkwi właśnie, że parasol stał się klejnotem skarbcza, kościelną relikwią.

Przyjrzyjmy się tylko zblizka, jak się ta rzecz przedstawi: Cóż ma Jerzy powiedzieć jutro proboszczowi z Glogovy? „Przyjechałem po mój parasol?” Na takie *dictum* ksiądz go wyśmiej, bo jedno z dwojga: albo jest bigotem, fanatykiem, i szczerze w to wierzy, że parasol ów ofiarował jego siostrzyczce sam święty Piotr z nieba, lub też jest faryzeuszem i humbugistą, a w takim razie doloży wszelkich starań, aby go nie zde-maskowano.

Na dworzu wicher szalał, z gniewnym hała-

sem tłukł w niezbyt szczelnie dochodzące okna i drzwi pokoju, w którym umieściła Jerzego na noc pani Mravucsánowa. Meble trzeszczały, jak-gdyby się ruszało coś po pokoju... Szum targanego wiatrem lasu Liskoviny słychać było aż tutaj zupełnie wyraźnie. Rzetelnie pracuje ów wisielec, o którym Mravucsán wspominał... Jerzy zgasił świecę, gdyż nieprzyjemnie kołysał jej płomieniem przeciąg i zanurzył głowę w puchowe poduszki. Wyobraźnia jego w ciemnościach rozegrała się bardziej jeszcze, zdawało mu się, że widzi tego wisielca, jak dynda tam i napowrót na drzewie i, śmiejąc się szyderczo, znaki mu jakieś daje. „Rzecz pewna, że cię wyśmieją, panie Wibra, na glogovskiej parafii!”.

Przekłęta łamigłówka! Jerzy kręcił się, przewracał na śnieżnie czystej pościeli, przepojonej nieokreśloną jakąś wonią wiosennego słońca. (Niedaremno wietrzyła się dzisiaj na żerdzi!) Wszystko jedno,—prządl dalej tok myśli: tak czy owak—parasol do mnie należy. Przecież w ostateczności dowieść to można przed sądem. Mam świadków: Sztolarika, Mintzową i jej synów, całe miasto Bystrzycę!

Naraz—parsknął gorzkim śmiechem.

Jakto można dowieść?... Jakiż osioł ze mnie! Toż parasol ten już nie jest moją własnością, tylko Mintzów. Ojciec Mintzów kupił go na urzędowej licytacji z pomiędzy stosu innych rzeczy, uznanych za niepotrzebne po śmierci Gregoricsa. Parasol zatem należy do Mintzów, ja zaś roszczę pretensję tylko do tego, co się w jego wnętrzu kryje. Ale czyż mogę to wyjawić? Czy mogę

powiedzieć księdzu: „Wielebny ojcie, w rękojeści parasola znajdują się dowody bankowe na jakieś dwa, albo trzykroć sto tysięcy reńskich, więc proszę mi go oddać, gdyż dowody te do mnie należą...”

Jerzy zaczął sobie teraz wytwarzać po kolei w umyśle, jak na to zareaguje proboszcz.

Albo wierzy w legendę o parasolu, i w takie słowa na to odpowie: „Idź do dyabła. Święty Piotr nie jest od tego, żeby ci pieniądze przynosił z nieba!” Jeżeli go jednak weźmie pokusa przekonać się, obejrzy parasol starannie, i zauważy, iż rączka istotnie daje się odkręcać,—to orzeknie wtedy: „Jeżeli przyniósł,—to przyniósł je dla mnie”, —wyjmie dowód, i sam go spienięży. Bo i cóżby mógł mieć za obowiązek Jerzemu dowód ten oddać? Czemżeby mu Jerzy dowiódł, że to jego własność?

To znów inna kombinacja przychodziła na myśl naszemu bohaterowi.

— Może go wtajemniczyć w historię mojego życia, opowiedzieć mu od początku do końca wszystko, o mojej matce, o ojcu, o okolicznościach, towarzyszących jego śmierci? Dajmy na to: wszystkiemu uwierzy. I cóż z tego? Czy wyjaśni to kwestyę, i posłuży za dowód, że skarb należy do mnie? Napewno nie. Ale chociażby nawet uwierzył, że to moja własność, to czy mi ją odda? Wszakże i ksiądz jest tylko człowiekiem! Więc procesować go, jeżeli nie zechce dobrowolnie oddać? I ośmieszyć się w dodatku. Wyjmie dowód z parasola, i czemuż udowodnię, że w nim wogóle co było?

Pot zaczął się perlić na czole Jerzego: gryzł poduszkę z bezsilnej wściekłości. Tak blisko być należnej sobie schedy, a jednocześnie być odcięty od niej taką niezmierną przepaścią!

....O nocy czarna, przynieś jaką radę!

Noc warto jest prosić o radę. Dobrze uczynił Jerzy, że się do niej zwrócił. Prawdziwa to przyjaciółka ludzi, mających kłopot, czy strapienie.

Do księgi rad złotych należałoby wciągnąć maksymę: „nad każdą ważniejszą rzeczą namyśl się dobrze i nocą, chociażbyś nawet już postanowił coś w tym przedmiocie po dniu”. Człowiek bowiem posiada dwa odmienne rozumy: dzienny i nocny. Który z nich jest lepszy—ja nie wiem.

Podejrzewam, iż żaden z nich nie jest doskonały. Rozum dzienny wity jest jak przez tkacza—przez jasne światło słoneczne, które w myśli jego wplata swoje ubarwienie jaskrawe: noc zaś ze swoich czarnych skrzydeł dodaje tkaninie tej kontrastowych cieniów. Szkicują, barwią, płożą oba rozumy, wyolbrzymiają, to zmniejszają—zatem fałsyfikują. Noc piękniejszą ci ukazuje postać ukochaną, niż jest w rzeczywistości: nieprzyjaciela—silniejszym, troskę twoją—większą, radość zaś—mniejszą. Nieladnie to z jej strony: ale noc jest suzerenką, która z zamierzeń swoich nikomu nie potrzebuje zdawać rachunku.

Przyjmować ją trzeba taką, jaką jest, ale nie lekceważ jej, biedny, stroskany człowiecze, jeżeli ci się prawdy szukać zachciewa... Właściwie: gdzie ty tam szukasz prawdy. Gdyby nawet wyszła i stanęła przed tobą — ominąłbyś ją zdaleka.

Zle się wyraziłem — należy powiedzieć: nie lekceważ nocy, jeżeli z jakiejś matni drogi wyjścia szukasz.

Noc jest cicha tylko pozornie. Ona ci masę różności naszeptać potrafi tak, że wcale nie spostrzeżesz tego. Jeżeli nie może inaczej, to niewidzialnie na palcach się zbliży i przyniesie sen, i kroplę po kropli wleje w niego niewyczerpany zasób pomysłów i impulsów, w których właśnie tkwi rada.

Naraz jakoś wiatr ustał, pod „zmarzniętym baranem” umilkła muzyka, Jerzy łowił uchem już tylko rytmiczne huczenie ciszy i potem tak mu się zdało, że jest zupełnie gdzieindziej, w jakiejś innej okolicy, że w lesie Glogovskim ugania się za motylami z Veronką.

Mijając krzaki i zarośla, stanął naraz na ścieżce oko w oko z jakimś bardzo starym człowiekiem, trzymającym w ręku wysoki, zakręcony u góry kosztur złoty. Nad głową człowieka tego unosiło się świetliste półkole gloryi, szeroki kapelusz, umocowany na cienkim sznureczku, zsunął mu się swobodnie na plecy.

— Czy pan jesteś Jerzy Wibra? — zapytał starzec.

— Tak jest; a pan?

— Święty Piotr jestem.

— Czem mogę panu służyć?

— Chciałbym napisać pewne wyjaśnienie na pańską korzyść.

— Na moją korzyść?

— Nieinaczej. Dowiedziałem się, że nie możesz pan odzyskać swojego parasola. Mój

przyjacieli, poczciwy Gregorics, prosił, abym ci w tem dopomógł. Otóż ja najchętniej skreślę słów kilka, stwierdzających, że to nie ja ofiarowałem tej panience ów parasol.

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, ale cóż, kiedy niemam tu przy sobie ani papieru, ani atramentu. Powróćmy na chwilę do domu...

— Niepodobna, bo już nie mam czasu. Wiadomo panu zapewne, że muszę stać na straży u bramy nieba. Odchodzę.

— A ze mną co będzie? W jaki sposób odzyskam parasol?

Święty Piotr wzruszył ramionami i zaczął się oddalać ścieżką, zarośniętą przez sederyndę. Przystanął jednak pod nieopisanie wielkim, rozłożystym dębem i skinął na Jerzego, aby się do niego zbliżył.

Jerzy posłuchał.

— Wiesz co, młody przyjacielu, nie namyślaj się długo, nie rozumuj, tylko ożeń się z Veronką, a razem z nią i parasol do ciebie przejdzie!

— Choć pan!... — zawołał Jerzy, z całych sił ciągnąc świętego za płaszcz — poproś pan o jej rękę dla mnie!...

Naraz coś, jakby jakaś mocna, koścista dłoń schwyciła go za kark i z niesłychaną siłą wstecz pociągnęła. Obudził się.

Pukano do drzwi.

— Proszę! — wykrztusił zachrypniętym głosem, z mgłą w oczach i w głowie.

Wszedł służący Mravucsánów; poziewał, głośno szurając nogami.

— Przyszedłem po buty — objaśnił.

Jerzy przetarł oczy ze snu. Był już jasny ranek. Przez okno wpadał ukosem promień słońca.

Przebiegł myślą szybko treść rozwiewającego się snu.

Zdawało mu się, że jeszcze widzi rzednące i rozpraszające się opary szczegółów sennego widzenia. Wszystko było jeszcze takie żywe, świeże. Jakgdyby chrust jeszcze trzeszczał pod stopami świętego Piotra, a w powietrzu — jakgdyby rozbrzmiewał dotąd uroczysty, życzliwy jego głos:

— Ożeń się z Veronką, a razem z nią i parasol do ciebie przejdzie!

— Dziwny sen, doprawdy, — rozmyślał Jerzy — jak naturalnej logiki pełen. Że mi też to samemu na myśl nie przyszło!

... Ej, czyżby się to rzeczywiście nie we własnej twojej myśli zrodziło? Noc była tylko reżyserem.

— Przyjdź śnie, spleć w jeden harmonijny węzeł tętna podświadome, które w człowieku tym pulsują!...

*

*

*

Zanim się Jerzy ubrał — nie było już zbyt rano. Cały dom Mravucsánów wrzał już ruchem i pracą, jak ludzki ul. Tu niesiono szkopki, tam przetak, (widocznie robota wre nad świeżo wydojonem mlekiem); u bramy, którą nocny wicher wyrwał z zawias, wśród grupy zebranych ludzi pa-

lił sobie fajeczkę i woźnica Jerzego, pomagając innym podziwiać siłę wiatru.

Spostrzegłszy swego pana, żywo zerwał z głowy czapkę, strojąc w strusie pióro.

— Czy mam zaprzęgać, proszę łaski pa?

— Nie wiem jeszcze. Hej, panienko! Czy powstawały już panie?

— Już jedzą śniadanie w ogrodzie!—odrzekła pokojóweczka hoża i zgrabna, jak sarenka.—Niech wielmożny pan tędy przejdzie!

— To zaprzęgaj, Janie.

Pod rozłożystym orzechem przy kamiennym, okrągłym stole zastał Jerzy zebrane całe domowe towarzystwo. Skończyli już śniadanie, tylko pani Krisbay jeszcze chrupała przypiekane grzaneczki.

Powitali go wybuchami śmiechu. Veronka wykrzyknęła przekornie:

— Oto idzie ranny ptaszek!

— O, przepraszam, tytuł rannego ptaszka proszę zachować dla mnie,—zastrzegł sobie Mravucsán: ja się nawet wcale nie kładłem, graliśmy w karty do samego rana. Biedny Klemka dotychczas tam śpi na swoich dwóch kulakach, z brodą, przypiętą do stołu!

— Ładnie też pozwalać w swoim domu na takie zbytki!—gderła Mravucsánowa.

— Dzień dobry! dzień dobry! — Wszyscy ściskali ręce Jerzemu i Veronka też zerwała się z miejsca, strojąc dygi, jak łobuzek.

— Dzień dobry, ranny ptaszku, dzień dobry! No, czegoż mi się pan tak przygląda?

— Patrząc,—odparł Jerzy trochę zmieszany,

— tak go odurzyła piękność dziewczęcia,—bo... pani jakgdyby urosła.

— Jakto, przez tę jedną noc?

— Wczoraj wydawała mi się pani jeszcze dzieckiem.

— Mieniło się panu w oczach.

— Mieni mi się i dzisiaj.

— Bo najwidoczniej jest pan jeszcze śpiący. Czy to o takiej godzinie się wstaje?

Ton rozbawiony, figlarny, podział na Jerzego, jak słodka jaka pieśczoła i tak go zelektryzował, że sam z miejsca rozgadał się na dobre, zaczął się bronić wesoło, czując jakby powiew szerokich, słonecznych przestrzeni.

— No cóż robić, zaspalem trochę, — przyznam się nawet otwarcie, że gdyby nie to, iż służący do mnie zapukał, pewno spałbym jeszcze i dotychczas. Bodajby był chociaż o pięć minut później przyszedł!

— Doprawdy?—wtrąciła pani Mravucsánowa. Tak panu się dobrze spało? Czem panu można służyć? Kawą? albo może wpięrw zimnem mięsiwem?

— Proszę o kawę.

— Nie powiesz pan, co się panu śniło?

— Żeniłem się we śnie. Właśnie byłem w trakcie oświadczania się.

— I cóż? Dostałeś pan kosza? — pytała Veronka, ciekawie naprzód pochylając główkę, strojną dzisiaj w wysoko upiętą z warkoczów koronę, przyozdobioną ślicznym goździkiem ponsowym.

— Niewiadomo, co byłoby się stało, gdyż w rozstrzygającej chwili obudził mnie służący.

— Ah, tak!... Już myślałam, że „osoba nie podobala się osobie”—rzekła Veronka, wpadając w styl, używany w bajkach. Jaka szkoda, że nie będziemy wiedzieli, co się dalej stać miało.

— Zapewniam, że się pani dowie.

— W jaki sposób?

— W najprostszy. Opowiem to pani.

— Eh, nabiera mnie pan. Przecież wątek znów nie ciągnie się z nocy na noc, jak odcinki powieści w gazecie z numeru na numer.

Jerzy skończył pić kawę, zapalił papierosa i, otoczony obłoczkami dymu, odparł tajemniczo, ze spojrzeniem, utkwionem w niebo:

— Bywają sny takie. Przekona się pani. Ale proszę mi powiedzieć, jakże pani spała?

Tego pytania tylko brakowało: pani Mravucsánowa już dawno czyhała na nie, aby wyręczając Veronkę, opowiedzieć historię o kocie, który jej przeszkadzał się rozbierać. Jerzy był oczarowany, Veronka—skonsternowana.

— Ależ Mravucsán-néni... jak można!...

Pani Mravucsánowa skończyła morałem.

— Nie należy, gołąbku, nawet w dobrem przesadzać. I wstydlivość jest szkodliwą, jeżeli jej człowiek posiada więcej, niż potrzeba. Do takich rzeczy potrochu przyzwyczajać się należy. A co będzie, jak za mąż wyjdiesz i wybrany twój będzie miał prawo kiedy zechce wchodzić do twojej sypialni?

Veronka zatkała uszy i uciekła, ale ją Bóg ukarał za tę drażliwość, bo zaczepiła sukienką o głóg i cały promień fałd uległ wyrwaniu z paska.

Ot i katastrofa. Igły, nici, nożyczek!... Pomieszanie Veronki wzmagał jeszcze widok wolańtu Jerzego, który już zajechał. Para ognistych, potrząsających grzywami, karych koników w suto mosiądzem bitej uprzęży.—Hej! Dobrze to jest być prawnikiem. (Taki młody i już zdążył sobie taki ekwipażyk wyłgać!)

W domu zapanował rwetes. Pani Mravucsánowa sama i wszelki żywy duch z pośród domowników puścili się w ruch, jak muchy w ukropie. Obwiń, Anko, co tchu w serwetę szynkę, którą ugotowaliśmy na drogę! A ty, Zuziu, biegnij po placek! Może nie mają z sobą noża?... Dajcie-no tam prędko jeden z tych noży o rogowych trzonkach! Możeby wstawić do kielni kozyk owoców? Dobrze będzie, duszko, przekąsić coś w drodze, zwłaszcza ta pani cudzoziemka... Dać wam trochę likieru w buteleczkę? Ale dam, niema o czem mówić!

— Ależ *néni!* — prosiła Veronka:—Przecież na obiad będziemy już w domu!

— A nuż się co w drodze przytrafi? Nigdy nie można wiedzieć.

Biegała, kręciła się pocziwa Mravucsán-*néni*, ukazywała się, to znikala, jak obręcz koła w obrocie: Mravucsán znów ze swojej strony całą energię wysilał, aby gości zatrzymać na obiad, albo jeżeli już w żaden sposób nie chcą, to niech jeszcze chociaż pół godziny darują, dopóki się Klemka nie obudzi, gdyż podobnego widoku—sam król nie upoluje.

Wysiłki jego jednak na nic się nie zdały, goście uparli się jechać i wsiedli do zręcznej ko-

laski—panie w głębi, Jerzy na przedzie obok woźnicy, twarzą do pań zwrócony—nawprost Veronki, dotykając jej drobniutkich nóżek swojemi buściskami... Ja nie wiem jak to będzie aż do samej Glogovy.

— Do Glogovy!—zakomenderował Jerzy.

Jan trzasnął z bata, koniki rade ruszyły, ale zaledwie wytoczył się wolant na mostek za bramą, pani Mravucsánowa, pędząc za nimi co tchu, zaczęła wołać ile jej sił w płucach starczyło:

— Ho! Haho! Stańcie-no tam!

Woźnica zatrzymał konie, panie zaczęły się rozglądać przestraszone, czy się co nie stało. Ale nic złego się nie stało, tylko pani Mravucsánowa znalazła jeszcze kilka zdrowiuteńkich, ślicznych jabłek w swoim zachowanku: więc starannie strzeżone te skarby przyniosła teraz w fartuchu, aby obciążyć nimi — ponieważ panie nie miały kieszeń w sukniach—więc kieszenie paltota Jerzego, zastrzegając tylko, żeby to najpiękniejsze, rumiane jabłuszko zjadła koniecznie Veronka.

Więc tym razem już naprawdę odjechali z wielkiem machaniem kapeluszy, powiewaniem chustkami, dopóki tylko pojazd nie zniknął na zakręcie i dopóki odjeżdżający mogli widzieć miłe domostwo państwa Mravucsánów z dymiącym kominem, z rozłożystym orzechem i wszystkimi, żegnającymi ich domownikami. Rozwijać się teraz zaczęły przed ich oczami coraz nowe i nowe ulice Băbaszėku z codziennym gwarem i ruchem, Przed swoim sklepem stała Mintzowa, w śnieżnie białym czepeczku, kiwając przyjaźnie szanowną, siwą głową, jakby przeciętą na równe połowy

błyszczącą linią ciemnych okularów. Naprzeciwko, w kuźni, dudniło i huczało nad reparacją rozbitego amerykana proboszcza z Glogovy. Do czerwieni rozpalone, a wodą zlewane żelaza syczały jak rozwścieczone węże. Na dalszych planach widać było rzemieślników i kupców, składających niesprzedane wczoraj towary do ogromnych, trójkątnych waliz. Cofały się i uciekały rzędem domki gazdów o bramach w tulipany i nazwiskach właścicieli swoich, ozdobnie wypisanych w wieniec. U ostatniego z domostw, którego okna wychodziły na terytorium przyszłego cmentarza żydowskiego, obok sztachet liceum — naraz: brum! drum! — dwa wystrzały z pistoletu targnęły nerwami koni, aż zadrżały.

Podróżni nasi spojrzeli w tamtą stronę: oto pan Mokry stał u bramy w swoim nowiuteńkim, prosto z igły granatowym garniturku, arcydziele sławnego krawca z Bystrzycy, Klenera i jedną ręką pożegnalnie powiewał kapeluszem, a drugą wysoko w górę unosił pistolet, dymiący jeszcze od salw, wystrzelonych na cześć odjeżdżających gości. Po drugiej stronie drogi wznosił się groźny wiatrak, przyczyna wczorajszej klęski — na szczęście dzisiaj nie taki już przerażający, gdyż nieruchomy: wyglądał, jak olbrzymia mucha, ujęta na szpilkę, a cień jego szeroko padał na łan koniczyzny, uśmiechającej się czerwonym kwieciem.

Nie było dzisiaj ani odrobiny wiatru. Kukurydza nawet nie potrzasała wcale plennymi kiściami swoich kłosów, lecz stała sztywno wyprostowana, w jarzących promieniach słońca, ni to ba-

talion grenadyerów. Dokoła—jak okiem sięgnąć na polu—panował niezgłębiony spokój.

Tylko kopyta koni tętniły miarowo po kamiennej drodze, a las Liskoviny, przysuwający się nieznacznie coraz bliżej, niepewnem, mglisto-zielonawem otoczem swoich, nigdzie końca nie sięgających konturów, wydawał się cicho oddychać w niemej kontemplacyi.

CZĘŚĆ PIĄTA.

Trzeci dyabeł.

Róża Maryi Cobor, przepaść i grusza.

Pani Krisbay przyglądała się okolicy z wielkiem zaciekawieniem, rozpytując o wszystko. Zajmował ją każdy drobiazg, jaki zauważyła: nawpół zapadła owczarnia u skraju Liskoviny, potem w lesie, wśród brzóz o białych korach, kapliczka jakaś, tajemniczo wychylająca się z pośród gęstwiny. Veronka tłumaczyła jej wszystko ze znawstwem i zamięłowaniem. Oto zabili tutaj pewnego razu rozbójnicy bogatego karczmarza: pogrążona w smutku wdowa, wystawiła w tem miejscu na wieczną pamiątkę tę oto kaplicę.

— Być może z wielkiej radości, — wtrącił Jerzy sceptycznie.

— Niegodziwy człowiek z pana! — oburzyła się Veronka.

Liskovina jest to ogromny, szeroki i długi bór—niemal puszcza, z pięknymi dolinami, malowniczymi zboczami gór, polanami, tonącemi w szma-

ragdowej zieleni, niby park angielski, jeden tylko można jej brak zarzucić, to, iż zbyt małą posiada rozmaitość gatunków drzew. Przeważa ulubione drzewo Słowian, brzoza, która jest właśnie taką samą, melancholijną blondynką między drzewami, jak wszystkie ich Hanki i Bogunie między naszymi dziewczętami. Zato bujne podszycie Liskoviny posiada bajeczną rozliczność odmian i ogromne bogactwo ekspansyi. Potężne paprocie dosięgają listowiem do rozgałęzienia konarów najwyższych drzew: darń pastewna — teraz już okwitła, a kwiat jej, opadłszy, cały las zapępiał swoim aromatem. W społeczeństwie roślin — oto także istnieje taki nicpoń, z którego po śmierci dopiero jest użytek.

Rozliczne właściwości posiadają twory,—które—wielu z nas sądzi, że są nieżywe! *Gladiolus* z liśćmi, podobnymi do mieczów, największą swoją wartość ukrywa w ziemi: cebulę. Kto ją spożyje, temu się nocą przyśni jego przyszłość. O wiele popularniejszą jednak jest zwyczajna stokroć: bez wielkich ceremonii odrazu wyjawia pytającemu, czy ktoś, o kim sam myśli, go kocha, bardzo wiele, czy trocha—albo wcale nie? Trzeba tylko jej listki, ząbek po ząbku wyrywać, ostatni—już powie, co trzeba.

Nie są to wymuszone wychowanki ogrodników, narzucone naszej matce-ziemi obce przybłędy (z których ona nawet nie każdą chce przyjąć: niektóre, aż w osobnych doniczkach trzeba hodoować...). Rośliny te wszystkie są rdzenia jej duszy własnym wytworem: zrodziła je i wykształciła ze swej dobrej woli i sama nad nimi trzyma pieczę,

tak, jak to sobie wśród wczasów zimowych naprzód wydumała i jak tego wymaga potrzeba innych także, pospołu tutaj żyjących tworów.

Kielich dzikiego gwoździka służy za schronisko przypochlebnym osom: złotogłów jest częściej, u której ptactwo gasi pragnienie, zaś wielkie kiście trawy strączystej są kolebką motylów. Liskowina bowiem jest bardzo uprzejmą puszczą, dba ona o wszystkich.

Chrabąszczom daje nocleg w kopułach leśnej kampanulli, dzieci, poszukujące gniazd ptasich—zabawia gromadami poziomek i każdemu wyznacza to, na co sam zasłużył. Stwarza jagody dla śpiewających ptaszyn, dla młodych dziewcząt—pola kwiatowe, dla starszych kobiet mnóstwo ziół leczniczych, zaś dla złych wilków—kwiat szyszakowy, który jest rośliną trującą, i przez to nawet w języku ludowym zwana: „szyszakiem wilkobójczym”.

Swoją drogą—czy od niego kiedy jaki wilk zginał—to wielkie pytanie. Między wilkami dzisiaj także nie jest tak łatwo o głupich: napewno znają one doskonale botanikę i umieją z pokolenia na pokolenie przekazywać młodym wilczkom przestrogę: „Nie ruszajcie, dzieci, *Aconitum Lycoctinum*! Na co wam zresztą być jaroszami: jedzcie lepiej mięso”.

Przez Liskovinę droga jest nadzwyczajnie miła, zwłaszcza w południowej porze, bo jest pełno cienia.

Tylko pani Krisbay ciągle drżała, czy z po za jakiej gęstwiny krzewów nie wyskoczą przy-

padkiem ci rozbójnicy, którzy owego karczmarza zabili.

— Ależ, madame, wszak działo się to już ośmdziesiąt lat temu: wszyscy ci złoczyńcy już poumierali.

— No, to ich synowie.

Uspokoila się dopiero, gdy wyjechali już zupełnie z Liskowiny i gdy roztoczyła się przed nimi chuda gleba oporcka, zdatna jedynie pod owies i tatarkę. Smutna to taka okolica, gdzie siano w stogi składają na czarną godzinę!

Niezaślugo jednakże trwał jej spokój, bo u granicy Oporcu, znów się las zaczynał, słynna „Zelena Hruszka”, która rzeczywiście w kształcie gruszki ciągnęła się aż ku Makowej. A nuż z po za tych ogromnych dębów wyskoczą rozbójnicy?...

Czego się zaś tak ogromnie bała madame, tego właśnie z całego serca pragnął Jerzy. Jak siedział tak przez całą drogę naprzeciwko dziewczęcia—coraz bardziej dojrzewało w nim postanowienie pojęcia jej za żonę: naturalnie wyłącznie tylko dla parasola. Dziewczyna jest ładna, ale chociażby nawet nie była ładna, parasol wart jest ofiary. Święty Piotr mu to doradził, więc musi to uczynić: robi to bezwarunkowo.

Zabobon, z którego poprzednio tak się naśmiewał—i jego jednak złowił w swoją siatkę, wywalczając sobie miejsce w tym trzeźwym, racjonalnym mózgu. Jerzy czuł, że jakaś niewidzialna siła zmusza go do tego kroku. Cóż to może być za siła?

Niewątpliwie wola świętego Piotra, który so-

bie życzy, aby się Jerzy zastosował do jego rady, udzielonej we śnie.

Ale sęk w tem, jak się wziąć do dzieła? Bezustanku łamał sobie nad tem głowę. Jakby to dobrze było, gdyby się trochę przypadkowej romantyki do sytuacji wplątało! Tak jak w powieściach. Gdyby tak naprzykład właśnie owi rozbójnicy napadli ich w lesie i dali Jerzemu sposobność wystrzelania ich co do nogi, aby, wyrwawszy z ich szpon Veronkę, doczekał się z ust rozczulonej jego bohaterstwem dziewczoi słów: „Ocaliłeś mi życie—jestem twoją do grobowej deski!”

Ale tak prosto z mostu, ni ztąd ni zowąd nie śmiał i nie umiał ani na krok dalej postąpić w stosunku do niej.

Więzły mu w gardle słowa, które sobie pięknie w myśli układał. Chwytały go wątpliwości: może już ma kogoś upatrzonego w domu? Niepodobna, żeby nie miała. Przecież ją chyba ktoś już widział,—a skoro widział... no, to się w niej musiał zakochać.

Nie, Jerzy nie da sobie rady bez jakiejś pomocy z zewnątrz.

Ale rabusiowie jakoś nie czyhali nigdzie: pewno ich tu wcale niema. Uboga to okolica, niema co komu kraść, rabować: nie wyżyłby tu rozbójnik.

Zaraz za Zeleną Hruszką wychyliła się wysmukła wieżyca Slatiny, ze starożytnem zamczyskiem na szczycie góry; zamczysko to należało niegdyś do rodziny Coborów, dzisiaj jest własnością książąt Koburskich. Przed karczmą wypadło

popasać: Veronka zaproponowała, żeby przez ten czas zwiedzić zamek, strzeżony przez starego stróża, który oprowadza obcych, pragnących go obejrzeć. Karczmarz twierdził, że w kilku pokojach istnieje jeszcze zupełnie to samo urządzenie, jak za czasów Coborów, a na podwórzu zięją rozwartemi paszczami dwie brodate armaty. Prócz tego warto zobaczyć wspaniały zbiór broni rozmaitej, tudzież nader zajmującą galerię portretów rodzinnych: najgodniejszą uwagi między nimi jest podobizna małej dziewczynki, Katarzyny Coborówny, która w szóstym roku życia przepadła gdzieś bez wieści.

Veronka bardzo się przejęła tą historją.

— I cóż się z nią stało?

— Ha cóż, biedactwo dotychczas się nie znalazło, — westchnął karczmarz żałośnie.

— A kiedyż miało miejsce to nieszczęście?

— Coś około trzystu lat temu, — odparł figlarz z podstępnyim uśmiechem, poczem poprowadził gości ścieżyną w zbocze góry, nad przepaścią, zarośniętą krzakami bzu, do zamarłego, jaskółczego gniazda.

Opuszczali te mury w posępnyim nastroju, w jakim się wychodzi z cmentarza. Pani Krisbay nos zatykała: „jakaż woń stęchlizny!” Veronka była bardzo przejęta różnemi pamiątkami, jakie oglądała, i stanęła jak wryta przed śliczną różą, cotylko rozwiniętą u podnóża nawpół rozpadłej baszty.

— Ach, cóż za kwiat prześliczny!

Stary odźwierny i o tem umiał opowiedzieć legendę.

W miejscu, gdzie ta róża rośnie, wyzionęła ducha piękna Marya Coborówna, gdyż kochała pastuszką, a ojciec zmuszał ją do zaślubienia jakiegoś cesarskiego brygadyera. Pastuszek zasadził tu krzak róży, który rok rocznie jeden tylko jedyny pączek wydaje.

Jerzy, puszczając panie przodem, sam zatrzymał się trochę z odźwiernym.

— Zetnijcie dla mnie tę różę!

— Ach, panie, cóż znowu? Zakłóciłbym spokój umarłej!

Więc Jerzy sięgnął do portmonetki i dostawszy dwa srebrne guldenty, wsunął je do opalonej dłoni stróża, na co ten, już nic nie mówiąc, wydobyl nóż z kieszeni i ostrożnie, umiejętnie odłączył kwiat od krzaka.

— A teraz nie będzie się umarła gniewać? — zapytał Jerzy, śmiejąc się.

— A nie, bo połowę tej sumy dam plebanowi na mszę za spokój jej duszy.

Niby z rarytnym jakim skarbem pobiegł Jerzy z różą za paniami, i z uczuciem nieklamane go tryumfu podał kwiat Veronce.

— Oto róża Maryi Coborówny, ale wzamian za goździk z pani włosów!

Veronka cofnęła ręce za plecy i spytała chłodno:

— Miałeś pan sumienie kwiat ten zerwać?...

— Miałem — dla pani. Nie chce się pani zamienić?...

— Nie. Za nic w świecie nie przypiełabym tej róży. Zdawałoby mi się, że ją ukradłam umarłej.

— Naprawdę nie przyjmiesz jej pani ode-
mnie?

— Nie.

Jerzy struty, precz rzucił różę z wielką go-
ryczą. I staczał się biedny kwiat po stoku góry
przez trawy, pielesze dzikiego ptactwa, przez łąny
polnych pobratymców swoich, aż spoczął w doli-
nie na przydrożnym piasku.

Veronka patrzyła za nim żałośnie, dopóki go
tylko dojrzeć zdołała.

— I czy to ładnie być takim złoŹnikiem? —
zaczęła gderać po chwili.— Czy panu co zawiniła
ta biedna róża?

— Zawiniła!—wybuchnął Jerzy.

— I cóż naprzykład? Uklóła pana?

— Zraniła mię śmiertelnie. Powiedziała mi
coś bardzo bolesnego.

— Co panu powiedziała?

— Podszepeńła mi dalszy ciąg mojego snu.

— O! To plotkarka.

Patrzyła na Jerzego, śmiejąc się.

— Byłbym dostał kosza.

Veronka przechyliła głowę, szafirowe oczy
podniosła ku niebu i westchnęła boleśnie z głę-
bokiem współczuciem.

— Ah, biedny pan Wibra! jakież nieszczęśli-
wy. Byłby dostał kosza we śnie!

— Tak niech pani jeszcze wydrwiwał — sar-
knął gorzko adwokat własnej sprawy.

— Ale czy pan tylko jesteś pewny, że da-
noby ci kosza?

— Teraz już muszę tego być pewny, — od-

parł posępnie. Pani się chyba domyślasz, z kim rozmawiałem we śnie.

— Ze mną?... — spytała, i śmiech jej urwał się nagle. Pobladła i spoważniała.—Jako ze mną? —szepnęła jeszcze, ale potem już umilkła, i całą uwagę skupiła na wązkiej ścieżce, którą schodzili ku dolinie.

Uniósłszy lekko sukienkę, starała się omijać kamyki, ciernie, pielesze, i widać było jej kształtne nóżki jak jedną stąpa, drugą stąpa, cicho, rytmicznie skrzypią jej maleńkie ciżemki: żdźbła trawek, kwiatki polne schylają się pokornie pod jej stopami, ale się nie łamią, w chwilę po jej przejściu znów stoją wyprostowane, zda się uśmiechnięte i dumne, wzmocnione dotknięciem tych nóżek niewinnych.

W poprzek ścieżki wyszła z pośród bluszczu pięknie wystrojona jaszczurka w srebrzystym pancerzu, kierując się ku lilipuciemu lasowi czarnych jagód. Aliści jakież los spotkał małego, opancerzonego rycerzyka? Oto gdy już, już miał się przeslizgnąć do celu swojej wycieczki, naraz, ukazał się na jego drodze jakiś gniewny olbrzym (sławny adwokat z Bystrzycy), i wściekły na wszystko żyjące stworzenie, uderzeniem obcasa odłączył jej łepiek od tułowia.

Właśnie w tej chwili odwróciła się Veronka; widziała tę scenę i pożałowała biednej, malej jaszczurki. Nic jednak nie rzekła, sama bać się zaczęła tego okropnego Goliata, więc tylko do siebie samej mruknęła, prawda, że nawpół głośno: „Oprawca!”

Gdy zeszli na drogę, przypadek chciał, że

mijać musieli miejsce, gdzie spadła owa róża¹ rzucona przez Jerzego. Leżała biedna, poszarpana przez kamienie, opylona piaskiem, jaki się do niej poprzyczepiał. Bóg wie, jakie myśli przysnęły do głowy Veronce, gdy ją ujrzała, dosyć, że schyliła się prędko i podniosła różę: odmuchoła, ochuchala ją drobnymi usteczkami i wpięła ją sobie między fałdy bluzki. Kwiat wyglądał jakgdyby tam wyrósł.

Nie powiedziała ani słowa, nawet spojrzeniem nie zaszczyciła Goliata: przeciwnie, odwracała od niego głowę, aby nie widział jej twarzy, i Goliat musiał się zadowalać tylko zdaleka widokiem róży. Od widoku tego wiało na niego jakieś ciepło koło serca i naraz uczuł się tak dobrym, że dałby bez mała sto reńskich, żeby móżdż napowrót przyczepić łeb do tułowia tego rycerzyka w jaszczurczym pancerzu. Ale cóż, kiedy to było niemożliwe.

W dolinie przed karczmą Jan popasł już konie, można było jechać. Pozajmowali swoje miejsca w wolancie, ale zapanował nad małym towarzystwem ciężar jakiegoś zmieszania i przymusu. Jerzy i Veronka siedzieli w milczeniu, starali się nie patrzeć na siebie, czasami tylko zagadywali do pani Krisbay. Ta ostatnia zaczęła „węszyć”, że coś zaszło.

I nakoniec rzeczywiście coś zaszło. Veronka pochyliła się naprzód, niby żeby czegoś w koszu poszukać... naraz wysunął jej się z włosów upragniony przez kogoś gwoździć ponsowy i upadł temu komuś prosto na pierś. „Ktoś” z pełnym

szacunku pochyleniem głowy chciał goździk zwrócić właścicielce.

— Niech już zostanie gdzie upadł, skoro nie chciał siedzieć w moich włosach.

Czy naprawdę *nie chciał*? Nad tem pytaniem łamał Jerzy głowę, wyciągając goździk. Jaki on ma osobliwy, słodki zapach. Z czego może pochodzić ten zapach? Z włosów oczywiście. Ciekawa rzecz jak też pachną włosy bez goździka?

Wolant tymczasem toczył się i toczył po sfalowanej drodze u podnóża góry Bramy. Hej, Brama, sławna Brama zamyka świat, jak furta podwórza, dlatego się też Bramą nazywa. To już magnatka między miejscowemi górami, nawet podczas pogody nosi kapelusz na czole: obłok. Jest nawet spocona, staruszka, bez liku spływają z niej kaskady i wytryskują źródła, podążając po zbruzdżonym, żółtym jej stoku na łąkę Kvetynie, którą z temperamentem przecina po kamienistym łożysku, w wieniec dzikich traw ujęty bystry, jasny potok.

— Oto już jest Biela Voda,—tłómaczyła Veronka pani Krisbayowej.—Nasza glogovska rzeka. Już mamy niedaleko.

Jeszcze tylko przez jeden las trzeba przejechać i zaraz już będzie widać Glogovę z szeregiem białych domków w pobliżu doliny. Tylko że jest to właśnie najgorsza część drogi: garbata jak dyabelska dusza, pełna wyboi, przepaści, skał, a w niektórych miejscach tak wązka, że koła się trą o skałę.

Jan odwrócił się na koźle, mocno głową kręcąc.

— Listwa jest królem w tym kraju! — zao-
piniował.

Tak, listwa. A wolant, nie mający listew —
może być w niebezpieczeństwie. Takie boczne
drogi wszystkiego same uczą swoich gospodarzy.

— Trzeba uważać, Janie, żebyśmy nie wy-
wrócili.

Jerzy wysiadł, żeby dawać baczenie na koła:
miejscami zjeżdżało się w taki dół, iż podróżni
tylko niebo widzieli przed sobą.

— To jest kraj, gdzie jeno ptactwo może
mieszkać,—mruczał Jan.

— Nie podoba ci się ta okolica?

— Ma strasznie ospowaty pysk,—odparł Jan
malowniczo.—To nie do ożenku taka miejsco-
wość!

Jerzy drgnął. Czyżby ten już co zau-
ważył?

— Dlaczego, Janie?

— Bo mój poprzedni pan, baron, zwykł był
w taki sposób ostrzegać swoich synów,—a był to
bardzo mądry pan: „Nie puszczajcie się nigdy
w konkury,—mówił—w takie strony, gdzie niema
komarów, gdzie jest dużo świeżego powietrza
i gdzie ziemia wydaje mineralną wodę”.

Na takie *dictum* już i Veronka się roze-
śmiała, nietylko Jerzy.

— Ot, w swoim rodzaju logika. Ale wi-
dzisz, obrazileś wielmożną panienkę.

— Naturalnie, bo w takim razie ja musiała-
bym wieczyście siać rutkę.

Jan zmieszał się okrutnie i zaczął się tłó-
maczyć.

— Ale zkad znowu, wielmożna panienczko, przecież jeżeli tylko...

Chciał powiedzieć coś nadzwyczajnie pięknego i zaczął w myślach szukać odpowiedniego określenia, ale oto Pan Bóg tak zrządził, że w to miejsce wyrwało mu się z ust szkaradne przekleństwo, bo w tejże właśnie chwili pojazd uderzył o wystający odłam skały i z wielkim hałasem i trzaskiem opadła na ziemię przednia część wolantu.

— Uf, do starego dyabła! Złamaliśmy oś, proszę łaski pana!

Panie przełękły się, Jerzy poskoczył zbadać bliżej co się stało. Naturalnie, że oś była złamana doszczętnie w kierunku lewej strony od dyszla.

— I cóż teraz zrobimy?—lamentował Jan.— Mówilem, że to jest kraina tylko dla ptactwa, które ani chodzić nie potrzebuje, ani jeździć.

— Nic wielkiego,—odparł Jerzy, którego pod tę chwilę nic nie byłoby zdołało wyważyć z dobrego humoru, nietylko jedna oś złamana, ale sto osi złamanych. Daj mi tylko toporek: sam potrzymasz konie, a ja wyszukam odpowiedniej podpórki.

W skrytce pod siedzeniem znajdowała się siekierka o krótkiej rączce, Jerzy wziął ją i uspokoiwszy kobiety, zapewniając je, że wszystko będzie dobrze, i że w takich przygodach zimna krew cuda stwarza, przeskoczył groblę i szybko pomknął, depcąc perzem i chwastem zarośnięty grunt niewydajny. Drzewa tylko gdzieniegdzie ukazywały się na tej przestrzeni, niby nędzne kosmyki włosów na olysiałej czaszce. Tu i ow-

dzie występowała mizerna brzoza, trochę leszczy-
ny i dzikich ściernisk i zrzadka tylko, bardzo
zrzadka jakieś stare drzewo, jakby zapomniane
przez las, który kiedyś tu był i gdzieś stąd uciekł.
Bo też i grunt tutejszy przestał być ziemią, a stał
się czerwono-brązową gliną, zupełnie pozba-
wioną sił wytwórczych. Rośnie tu conajwyżej
makowica i kłosówka. Jest to istny strup na ciel-
sku naszej planety, ta glogowska góra.

Trudno było znaleźć takiego drzewa, jakie-
go potrzebował Jerzy. To było za grube, tamto
znów za cienkie, szedł więc coraz dalej, spuszc-
zając się po stoku. W jednym miejscu ominąć
musiał przepaść, w innym — rów, wyżarty przez
wodę. Tak daleko odszedł, że zniknął mu z oczu
wolant, tylko jeszcze widać było czerwoną para-
solkę Veronki, królującą w przestrzeni, jak mu-
chomor.

Nareszcie zwrócił Jerzy uwagę na brzozkę,
rosnącą samotnie na skraju przepaści. Na różgę
była już za duża, na drzewko jeszcze za mała.
Wyglądała jak istny podłotek pomiędzy drzewa-
mi, wysmukła a wyniosła. Wszystko jedno: mu-
sisz oddać życie, biedny podłotku! Jerzy ciął
w nią siekierą.

Zaledwie jednak raz, dwa razy uderzył, kie-
dy niby echo, odpowiedziało wołanie: „Reta!
Reta!”...

Jerzy drgnął i obejrzał się. Któż to wołał?
Głos zdawał się pochodzić z blizka: jednak ani
blisko, ani daleko nie było widać nikogo, a prze-
cież wzrok obejmował tutaj dość obszerną prze-
strzeń. Znowu powtórzyło się wołanie o pomoc

głosem zachrypniętym, przytęplonym, jakgdyby pochodził z pod ziemi. Teraz stało się jasnym, że ktoś krzyczy z dna głębokiej rozpadliny.

Jerzy biedz zaczął po jej skraju za kierunkiem głosu.

— Jestem!—wołał.—Kto jesteś? Gdzie jesteś? Co się stało?

— Tu jestem!—odezwał się głos z przepaści. — Przybądź na pomoc, jeżeli masz Boga w sercu!

Jerzy zajrzał w przepaść i zobaczył jakiegoś człowieka w ciemnem ubraniu, ale nie mógł mu się dokładnie przyjrzeć, ponieważ niebezpiecznie było stąpać po sypkim gruncie tuż nad samym brzegiem.

— To osobliwe? Jakim sposobem dostałeś się pan na dno?

— Wpadłem tu wczoraj wieczorem!—odparł człowiek w czarnym płaszczu.

— Jakto, od wczorajszego wieczoru tkwisz pan tam i jeszcze nie wylazłeś?

— Tak jest, bo nie mam się czego uchwycić. Jak złapię za jaką roślinę — odrazu wyrwa się z korzeniem i napowrót staczam się na dół.

— Tam do licha! Marna sytuacja. I niktogo tu jeszcze nie było od tej pory?

— Nikt tędy nie chadza. Byłem już przygotowany na najgorsze, gdy naraz usłyszałem rąbanie siekierą. Oh, dzięki Bogu najwyższemu! Dpomóż mi się stąd wydostać, pocziwa duszo, która tam jesteś, wynagrodzę cię, czem zdołam!

— Z przyjemnością. Ależ naturalnie!... Zastanawiam się tylko w jaki sposób pomódz? Je-

żelibym panu spuścił długie drzewo, umiałbyś się pan po niem wciągnąć?

— Czuję się bardzo osłabiony bezzennością i głodem,—odparł głos z głębi, zmatowiały i zalamujący się z wielkiego wyczerpania.

— O, biedny człowieku! Czekaj pan.

Jerzy przypomniał sobie o jabłkach, które Mravucsánowa im dała na drogę, a których miał pełną kieszeń:

— Uważaj pan! Rzucam kilka jabłek, posil się pan chociaż niemi, dopóki nie wymyślę jakiegoś sposobu wydobycia ciebie z tej pułapki.

Kolejno porzucał mu wszystkie jabłka, jakie miał przy sobie. Naraz zastanowił się: masz tobie! Między niemi było i to czerwone, przeznaczone dla Veronki. Gotowa się obrazić, że o tem zapomniałem.

— A co, masz je pan?

— Mam, dziękuję.

— Mój panie, tego czerwonego jabłka nie zjadaj pan, tylko je zostaw, bo to nie moje: przez omyłkę je rzuciłem...

— Dobrze, zostawię.

— Pan, zdaje się, należysz do klasy inteligentnej?

— Jestem proboszcz z Glogowy!—Jerzy aż się wstecz zatoczył ze zdumienia. Wielki Boże! Proboszcz z Glogovy! Nawet w bajkach nie słyszał o tak zdumiewającym zbiegu zdarzeń.

— Postaram się jaknajprędzej powrócić z pomocą, szanowny księżu proboszczu!—zawołał, i co tchu pędzić zaczął ku miejscu, gdzie pozostał wolant.

Zbliżywszy się na taką odległość, zkąd miarkował, że głos jego mógł być dosłyszany, jął wołać na Jana:

— Zbierz prędko uprząż z koni, konie przywiąż do drzewa, a uprząż nieś za mną, tylko żywo!

Jan posłusznie wykonał rozkazy, ale z wielkiem mruczeniem i kręceniem głową. Żadną miarą nie mógł zrozumieć do czego może panu być potrzebna uprząż? Prząśniczki opowiadały mu wprawdzie kiedyś bajkę o „Gaborze, depcącym drzewa”, że zaprzął sobie do wozu dwa niedźwiedzie... Czyżby i pan Wibra do tego potrzebował uprząży?

Wszystko jedno. Co trzeba to zrobi. Więc zaniósł na plecach uprząż za swoim panem aż nad krawędź rozpadliny, tam związali rzemienie z obydwóch koni w jeden ciąg i spuścili je do dołu.

— Niech szanowny ksiądz proboszcz obwiąże się temi rzemieniami, a my go już wciągniemy na górę.

Tak też zrobili. Księdzu i teraz obsuwał się grunt pod nogami, ale silne rzemienie dały radę jego ciężarowi i po chwili znalazł się na górze.

Ale jakżeż wyglądał! Zakurzony, zawalany, twarz pomizerniała od przebytych wrażeń, od bezsennie spędzonej nocy i głodu. My (t. j. ja i moi czytelnicy), którzyśmy go ostatni raz widzieli w pełni młodości, daremnie szukalibyśmy teraz śladów owych delikatnych, młodzieńczych rysów z lat dawnych. Obecnie był to dojrzały mężczyzna z twarzą ostrą od niegolonego przez kilka dni za-

róstu, a w kasztanowatych jego włosach błyszcziała już gdzieś srebna nić siwizny. Tylko słodcz, cechująca oblicze, pozostała ta sama.

Zdziwił się, ujrawszy przed sobą dystyngowanego panicza, ubranego po wielkomiejsku. W tych okolicach ktoś taki — to osobliwość.

— Jakże mam panu podziękować za jego uprzejmość? — zawołał z mimowolnym patosem, pochodzącym z kazalnicznych nawyknień, i pośpieszył do poblizkiego strumienia, aby swój wygląd doprowadzić do możliwego porządku.

Ruszywszy się jednak — syknął.

— Potłukłem się widocznie, spadając, boli mię krzyż i noga.

— Oprzyj się na mnie, szanowny księże, tu niedaleko stoi mój wolant, powoli pójdziemy, a ty Janie, przykrój księdzu proboszczowi jaki zgrabny a mocny kijek, żeby się miał czem podpierać, i pędź co tchu naprzód.

Gdy szli ostrożnie i bardzo wolno, Jerzy zapytał księdza w jakim celu szedł tędy po nocy?

— Oczekiwałem wczoraj przyjazdu mojej siostrzyczki, która pojechała po swoją ochmistrzynię do odległej stacyi kolejowej. Gdy nie przyjechały o właściwej porze, schwycił mnie niepokój i niecierpliwość: wyszedłem pod wieczór naprzeciwko nich. Skoro jednakże wcale nie było slychać, żeby jechały, przyszło mi na myśl, że one pewno wybrały inną drogę, którą nawet Veronka (tak na imie mojej siostrze) woli — i że pewno już dawno w domu są i na mnie czekają. Zły, że mi to odrazu na myśl nie przyszło, ruszyłem na przelaj, skracając sobie drogę przez te wą-

wozy — i oto, pociemku idąc, zsunąłem się w tę dziurę. Biedna moja siostrzyczka, jak ona się tam niepokoić musi, co się ze mną stało.

Jerzy za wszelką ceną pragnął wprowadzić księdza w lepszy humor.

— Pociesz się panienka niedługo, jak księżulka zobaczy, a i wy także, szanowny księżu, przyjdziecie do siebie, wypocząwszy trochę. Za kilka dni będzie szanowny ksiądz o tem zajściu wspominał, jak o wesolej przygodzie.

— Która jednak o mały włos, że się okropną śmiercią nie zakończyła, gdyby opatrność Boska pana nie była zesłała jeszcze nie zapóźno.

— Och, Opatrzność rzeczywiście odegrała tutaj opiekuńczą rolę. Trzeba księdzu proboszczowi wiedzieć, iż nigdy nie byłbym zaszedł w tę stronę, gdyby nie to, że się nam oś w drodze złamała.

Ksiądz był głęboko wzruszony.

— Nie zapomnę nigdy, co panu zawdzięczam; choćbym żył jeszcze sto lat, zawsze imię twoje w modłach będę wspominał. Ale! jakież niewdzięcznik ze mnie, nawet nie zapytałem jeszcze komu swoje wybawienie zawdzięczam?

— Jestem Jerzy Wibra.

— Sławny adwokat z Bystrzycy? Boże mój, jakież pan jesteś jeszcze młody! Cieszy mnie, panie, że mogę uścisnąć rękę zacnemu człowiekowi, którego cała Bystrzyca wysławia; ale wyznam otwarcie, że wolałbym tym razem mieć do czynienia z ubogim studentem wędrownym, lub jakim innym biedakiem, któremubym mógł w jakiś sposób wdzięczność moją okazać, nawzajem zrobić

coś dla niego, z czego by miał uciechę i pożytek. A panu? Cóż bym ja panu mógł wyświadczyć takiego, co by miało dla ciebie jakąś wartość? Wiem, że nic nie będziesz pan chciał ode mnie przyjąć.

Koło ust Jerzego zaigrał przebiegły uśmiech.

— To pytanie. Czy ksiądz proboszcz nie wie, że adwokaci są chciwi?

— Ah... więc mów pan! Może masz jakie życzenie? — zagłębił w oczach Jerzego badawcze, niepewne spojrzenie: — Czy pan nie żartujesz?

Jerzy nie odpowiedział od razu. Zwolna szli przez chwilę w milczeniu pod górę ku rosochatej, przez piorun strzaskanej gruszy, po za którą już bardzo blisko stał wolant z paniami.

— Więc owszem. — rzekł nareszcie, z całych sił, starając się opanować drżenie głosu, które go chwytало. — Jest coś, co chętnie przyjąłbym od księdza.

— Proszę! Mów pan bez wahania!

— Przypomniałem sobie, że mam w swoim wolancie pewną własność pańską.

— Pan masz w swoim wolancie coś, co do mnie należy?...

— Tak jest. Gdyby ta własność księdza proboszcza mogła się stać moją własnością — uczyniłoby mię to na całe życie szczęśliwym.

Ksiądz bez wahania podał mu do uścisku obie ręce.

— Cokolwiekby to było—od tej chwili należy do pana!

Gdy słów tych domawiał, stanęli właśnie pod gruszą.

— Oto jest mój wolant!

Ksiądz spojrział w tę stronę: uderzył go w oczy najpierw parasolik czerwony, pod nim — niewielki kapelusik słomkowy, przybrany białymi margerytami, a pod kapelusikiem — śliczna twarzyczka dziewczęca.

Ksiądz drgnął, jakgdyby chciał sen jakiś strząsnąć. Wszystko to było mu tak dobrze znane: parasolik, kapelusz, margeryty i twarzyczka... Gwałtownym ruchem schwycił Jerzego za rękę.

— Boże mój, wszak to moja Veronka?!...

Jerzy stał skupiony w sobie, cicho uśmiechnięty: pochylił głowę przed księdzem i złożył ręce błagalnie.

— Właściwie, pańska Weronika, — poprawił się ksiądz, — skoro pan tego tak bardzo pragniesz, o ile i ona na to przystanie.

Ale tymczasem dostrzegła ich już i Veronka, wyskoczyła z wolantu i żywo ku nim podbiegła.

— Oto jestem! Nic mi się złego nie stało. Ach, jakżeś ty się musiał okropnie niepokoić, drogi mój braciszku! Ale nasz amerykańczyk poszedł prawie w drzazgi. No, gdybyś ty był widział nasze konie! Wiesz, ile rozmaitych rzeczy przez ten czas zaszło!.. I panią Krisbay przywożę.

Ksiądz uściskał dziewczeczkę. Cieszył się, że o jego przygodzie nic nie wie. (Jaki to jednak pocziwy człowiek z tego Wibry, że zamilczał o wypadku i nie przestraszył dziecka.)

— Dobrze, dobrze, duszko moja, wszystko mi po kolei opowiesz.

Ale Veronka miała ochotę wszystkie swoje najświeższe przeżycia naraz przed bratem wytrząsnąć, więc, jedno przez drugie, prawić zaczęła o rozbiciu amerykana pod Bábaszékiem, o kolacyi u Mravuczánów, (a prawda, Mravuczán-bacsi przesyła ci wyrazy uszanowania!) — szczegóły z dzisiejszej podróży, zgubienie kolczyka ze szmaragdem...

Pleban, który zwolna oryentować się zaczął w sytuacji i wiązać logikę zdarzeń, przerwał jej żartobliwie:

— A dałażesz też jaką nagrodę uczciwemu znalazcy?

Veronkę uderzyło nieoczekiwane zapytanie: umilkła jak kołowrotek, nagle przeszkodą jakąś zahamowany.

— Nie, nie!... Właściwie... jakto? — odrzekła spokojnie, nic nie podejrzewając: — przecież nie wypada, i nie żądał też niczego.

— To dziwne, bo odemnie już zażądał.

— Niepodobna! — bąknęła Veronka, zbита z tropu, przyglądając się Jerzemu z pod oka.

W sercu jej zaczęło kielkować niewyraźne jakieś przeczucie.

— I czego chce? — spytała głosem jakby zawoalowanym.

— Hm, żąda bardzo wiele.

— Wiele? — wyjąkała, błędna.

— Prosi o zwrot kolczyka, który znalazł, lecz razem z jego właścicielką — rzekł ksiądz uroczyście — i ja dałem mu już na to moje przyzwolenie.

Veronka stała z pochyloną główką, policzki

jej pałały, nozdrza zlekka drżały... Ojoj, pękła petarda!

— Milczysz? Nic na to nie powiesz? Czy dobrze, że się na to zgodziłem? No, powiedzże Veronko, co ty o tem myślisz!

I Jerzy do niej przystąpił, błagając nieśmiało:

— Panno Veronko, chociaż jedno słowo!

Cofnęła się za gruszę, której jedna gałąź ułamana spuszczała się prawie aż do ziemi i zasłoniła ją swoim listowiem.

— Kiedy się tak wstydzę... — wyjąkało biedactwo i wybuchło łkaniem.

Od Bramy zaleciał powiew wiatru, potrząsnął konarami gruszy i stare drzewo posypało obficie na głowę i na sukienkę Veronki swój kwiat blado-różowy — ostatni może, na jaki się w życiu swoim zdobyło.

Trzy węgielki.

Pani tam siedzisz, „madame”, w wolancie, o bożym świecie nie wiedząc, czujesz tylko, że jesteś potężnie głodna.

Podłotek, dla opiekowania się którym z dalekich stron cię tu sprowadzono, w pewnej chwili zeskakuje z pojazdu, biegnie gdzieś — niedaleko zresztą — rzuca się na szyję jakiemuś jegomości w długim czarnym płaszczu i zaczynają żywo rozmawiać pod drzewem w obcym języku z pełną temperamentu gestykulacją i płonącymi oczami. Potem podłotek zarumieniony jak róża, wraca, pod-

skakując wesoło, niby jagniątko, pod rękę z młodym człowiekiem, który się wczoraj dopiero przedstawił, znalazłszy przypadkowo zgubiony kolczyk. Wszystko to takie dziwne i nieoczekiwane.

Następnie, kiedy przymocowywano podpórę pod złamaną oś i napowrót zaprzęgano konie, mężczyzna w długim płaszczu czarnym, który jest bratem podlotka, objaśnia poufnie:

— Pupilka pani została narzeczoną.

— Święty Boże, kiedy, gdzie?

— A teraz, tam, pod drzewem.

Ah, madame Krisbay, ja doskonale pojmuję, że pani właściwie należałoby teraz zemdleć: poczęści dla zakcentowania subtelnego współczucia dla samego faktu, poczęści zaś z ubolewania nad dziczą pierwotniaków, między których się pani dostałaś. Że jednak flakon z wódką kolońską tkwi zbyt głęboko w walizce, — więc może lepiej dać pokój młodościom: wystarczy się oburzyć.

Albowiem pod drzewem jest miejsce całkiem odpowiednie do flirtu, do marzeń miłosnych przy świetle księżyca: ale do oświadczyn — niema jak salon pięknie umeblowany. Dziewczę o ile jest bardziej wstydlive — powinno wybiedz do drugiego pokoju; jeżeli śmielsze — może odrazu uklęknąć przed rodzicami z prośbą o błogosławieństwo. Ale pod drzewem? Gdzież tu uklęknąć? *Shocking!*

Wszystkie te refleksye przesunęły się przez myśl pani Krisbay.

Veronka jednak jakoś nie była wcale zbита z tropu; przeciwnie, projektowała sobie przyjść tu

którego dnia, o ile pogoda dopisze, i zeszkiecować starą gruszę na pamiątkę w albumie rysunkowym.

Wolancik tymczasem toczył się spokojnie już bez dalszych przygód: Jerzy sam powoził, mając obok siebie na koźle Veronkę i rozmyślał o dziwnych zdarzeniach ostatniej doby. Dwa-dzieścia cztery godzin temu nie wiedział jeszcze wcale, że istnieje na świecie jakaś Veronka Bélyi: a teraz — nie umiał już sobie świata wyobrazić bez niej!

Serce mu rosło z wielkiej radości. Hej! co to będzie, jak się dziewczczę dowie, jakim bogaczem jest ten, którego wybrała!... Uśmiechał się się w cichem skupieniu, jak przebrany królewicz.

Z poza łańcucha wzgórz Kopanicy, które, jakby parawanem, zakrywają przestrzeń — wylania się naraz wioska z białymi dachami.

— Oto jest Glogova — objaśnia Veronka.

— Gdzież plebania?

— Przy tamtym końcu wsi.

Zapach lawendy uderza powonienie, wieśniaków niewielu widać na drodze, gdyż są przeważnie w pracy, tylko stary „magnat”, pan Gongoly, nawija się tuż blisko, ściąga czapkę z głowy.

Przed kuźnią pan Klinczok powitalnie macha rękami i gderać księdzu zaczyna:

— A dokąd to? a dokąd?... jużemy tu sobie innego proboszcza sprowadzili!

Tam do licha, jak się ta Glogova zmieniła! Rozrosła się, zazieleniła, nieopodal kościoła stoi schludny hotelik „Pod cudownym parasolem”, a tuż za nim widać wyróżniająco ładny domeczek z filarami, okreconemi dzikiem winem, biały, jak

z cukru wyrobiony. Dalej idzie w głąb ślicznie oparkaniony ogród z szeregiem równych, młodych topoli, stojących sztywno, a gracko, jak rząd grenadyerów.

— A to czyj dworeczek? — zapytał Jerzy z zajęciem.

— Właścicielka siedzi obok wacpana, na koźle.

— Ah, tak?!

— Należy do tego i kawałek nieszczególnego gruntu, — dodał pleban.

Jerzy skinął protekcyjonalnie ręką.

— Nie zabierzemy go ztąd z sobą, prawda, Veronko? I brat też coś mieć musi.

I dodał, zwracając się do księdza:

— Veronka ma taki posag, że pozazdrościła by go jej niejedna hrabianka, — choć o tem ani szanowny ksiądz proboszcz nie wiesz, ani ona sama!

Zagadkowe te słowa tak zaciekawiły księdza i Veronkę, że dopiero szczekanie starego psiska, Wisły, wyrwało ich z zadumy. Przed bramę wypadła sędziwa Adamowa, zanosząc się od placzu.

— Najświętsza Matko Boska, wysłuchaj pokornych modłów niegodnej służebnicy!

— Hopp! jesteśmy w domu! Otwórzcie bramę, Adamowo!

Adamowa otarła lzy, puściła różaniec, wiszący u paska, i poszła otworzyć bramę.

— Macie obiad gotowy? — zapytał proboszcz.

— A gdzieżbym miała mieć obiad gotowy? Nawet ognia nie rozpałam wcale. Wszyscy byliśmy pewni, że ksiądz proboszcz już gdzieś prze-

padł. Nawet gdybym była rozpalila ogień, to byłby zgasł od lez, jakie wylewałam!

— No już dobrze, dobrze, Adamowo, wiem, żeście się kłopotali o mnie, ale teraz pomyślcie o obiedzie, bo wszyscy umieramy z głodu.

Veronka, ze zdziwieniem śledząc tę scenę, zaczęła się teraz dopiero czegoś domyślać. Wzięła na wypytki brata, rozsrożyła się na Jerzego, że w zмовie z księdzem coś przed nią ukrywają, więc nakoniec musieli jej od początku do końca wszystko opowiedzieć. Zalana łzami, słuchała przygody: ledwie jej małe serduszko nie pękło, gdy sobie wyobrażała niebezpieczeństwo, w jakim się jej Janek znajdował.

Adamowa zakrzętnęła się tymczasem koło obiadu z huczną werwą i energią, i dzieło, którego wykonywanie innych dni trwało kilka godzin—dzisiaj stworzyła w skrótach tak pomyślnych, że w niedługą chwilę wszyscy mogli zasiąść do stołu.

Po obiedzie Jerzy wynajął konnego posłańca i pchnął go na pocztę z listem do prezesa trybunału, pana Sztolarika.

„Drogi mój ojcie i opiekunie! (pisał Jerzy).

Nader ważne zaszły fakty, ale wspominać o nich tylko pokrótce, szczegółów dowiesz się ustnie. Znalazłem schedę ojcowską, czyli parasol, przez pół zawdzięczając to Mintzowej—a poniekąd dzięki szczęśliwemu zbiegowi przypadków. Jestem obecnie tutaj w Glogowie, u miejscowego proboszcza,

z którego młodszą siostrą, Veronką, się żenię. Bardzo ładna dziewczyna, a przytem tylko tą drogą odzyskać mogę parasol. Okoliczności tutaj wszystkie są bardzo niezwykle. Proszę cię, bądź łaskaw przysłać mi dwie złote obrączki ze złotniczej pracowni Samuela Huszáka, tudzież moją metrykę, którą jako opiekun masz u siebie między innymi dokumentami mojemi. Pragnąłbym, żeby—bodaj pojutrze mogły wyjść pierwsze zapowiedzi.

Zostają" i t. d.

Przynaglał posłańca, żeby się spieszył ile zdoła.

— Ja będę się spieszył, ale nie wiem, czy koń zechce.

— Popędzaj go!

— Żeby to u ciżem były ostrogi!

Młody Słowak miał marnego konia, ale zato czas posiadał rumaka nie lada. Dzień przeleciał, jak jedna chwila. Nazajutrz zrana turkot powozu rozległ się przed bramą, i któż to zajechał? Sam prezes sądu we własnej osobie, pan Sztolarik.

Z przyjazdu jego ucieszył się bardzo proboszcz: Veronka jednak na jego widok doznała raczej czegoś naksztalt trwogi.

Był to bardzo wielki pan, bardzo grzeczny i sympatyczny, ale tak, jakby zawiało od niego jakimś chłodem.

— Więc to to jest mała Veronka?—zapytał.

— A właśnie!—zawołał Jerzy z tryumfem.

Prezes kordyalnie uścisnął jej rączkę i, ko-

rzystając z praw podeszłego wieku, uszczypnął ją figlarnie w pobladłe liczko, które nawet od tej pieszczoty nie chciało się jakoś zarumienić. Złe przeczucie, jak kamień legło na sercu Veronki. Poco on tutaj dziś przyjechał?...

Nawet i Jerzy był zdziwiony. Starzec znany był z tego, że do wyjazdów wszelkich jest już dośyć ciężki.

— Przywiozłeś, ojciec-opiekunie? — zapytał półgłosem, chcąc trochę wymacać zamiary starego.

— Przywiozłem.

Veronka odetchnęła z ulgą. Jerzy już wczoraj jej wspominał, że oczekuje obrączek z Bystrzycy.

— To proszę!

— Trochę później,—odparł z pewnem ociąganiem prezes.—*Wpierw* pomówić muszę z tobą.

Wpierw pomówić musi! Zatem—coś takiego chce powiedzieć, czego nie można byłoby powiedzieć potem (—po wręczeniu obrączek—)?... Veronce zdawało się, iż ziemia się pod nią zapada...

Jerzy niechętnie wstał od boku Veronki, którą w każdym paluszku coś klóć zaczęło z wielkiego zdenerwowania.

— W takim razie może ojciec-opiekun przejdzie do mojego pokoju.

Jerzy zajmował pokój gościnny, znajdujący się na samym końcu plebanii, pobudowanej w kształt litery L. Dawniej, gdy jeszcze Głogova nie posiadała osobnego budynku na szkołę — tutaj znajdowała się uczelnia, w której jeszcze

starej Adamowej wykładano abecadło. Ale już poprzedni proboszcz przedzielił jak spichlerz wielką tę izbę ścianą forsztowaną i większą jej część przeznaczył na pokój gościnny, mniejszą zaś — na spiżarnię.

Gdy panowie wyszli, Veronka jedną tylko rzecz rozumiała wyraźnie: czuła mianowicie, że jest bezgranic nieszcześliwa, i że oddałaby wszystko a wszystko co posiada za to, żeby móżdż słyszeć, co oni tam mówią. Przecież od tego zależy całe jej szczęście.

Tu jakiś demon niegodziwy podszeptał jej radę: pędź Veronko do spiżarni, przyłóż uszko do cienkiego, pełnego szpar przepierzenia, a usłyszysz każde słowo z narady, która cię tak bardzo obchodzi!...

Veronka nie dała się prosić pokusie. Rzecz nie do uwierzenia, ile miodu się mieści w głosie kusicieli... To subtelne, tak starannie wychowane dziewczę nie wahało się wcisnąć między beczki z kwaszonymi ogórkami, między dzieżki ze szmalcem i worki z różnymi zapasami żywnościowymi, aby, naprężywszy całą siłę nerwów — w sam słuch się zamienić.

W głębokiej ciszy słyhać tylko było bicie jej serca i kapanie topniejących z wielkiego gorąca polci słoniny, zawieszonych u polic. Niejedna z tych kropel dostała się i ślicznej, rezedowego koloru sukience: ale ktoby tam teraz na to uważał!

— *Denique* — dotarłeś nareszcie do parasola, — rozbrzmiał całkiem wyraźnie głos prezesa. Ale czy go już oglądałeś?

— Po co?—odparł Jerzy. Wartość, jaką on przedstawia—i tak dopiero po ślubie mogę zrealizować.

— Dlaczego nie przedtem?

— Ponieważ są powody, dla których nie chcę sprawy parasola zbyt głośno ujawniać.

— Naprzykład jakież to powody?

— Pierwszym powodem jest choćby to tylko, iż historia cała ośmieszyłaby publicznie księdza.

— A cóż cię ksiądz obchodzi?

— Następnie: wyrządziłoby to niewątpliwie dużą przykrość Veronce. Nabralaby przekonania, że chcę się z nią ożenić jedynie dla parasola.

— Przecież i tak się o tem dowie.

— Nie powiem jej tego nigdy.

— Masz jeszcze jaki inny powód?

— Mam. Mianowicie: kto mi zaręczy, czy zechcą mi oddać dowód bankowy, dowiedziawszy się o jego istnieniu? Przecież dowód taki nie jest imienny. Czemże udowodnię, że on do mnie należy. Raczej należy do tych, którzy mają parasol. A bardzo być może, iż nie dostałbym i panny. Z takim posagiem, jak my sobie tę sumę wyobrażamy, na każdy swój paluszek zosobna miałyby konkurentów bez liku.

Veronce cały świat wirował w oczach. Wyobrażała sobie, że Chrystusa tak boleć musiało, gdy mu goździe w ciało wbijali... Nie rozumiała nawet dobrze sensu tej rozmowy: parasol... dowody bankowe... Pojmowała tylko jedno, że ona w tej całej sprawie odgrywa rolę jeno narzędzia, potrzebnego do uzyskania jakiegoś niewiadomego, tajemnego dla niej celu.

— No dobrze,—podjął prezes po chwilowem milczeniu.—Rzecz jest wogóle skomplikowana bardzo, ale kto wie, czy najgorsze komplikacje dopiero później nie wynikną.

— Jakież komplikacje mogłyby jeszcze nastąpić?—zapytał Jerzy niezbyt pewnym głosem.

— Mój drogi, o jedno cię proszę, nie rób teraz jeszcze żadnego stanowczego kroku. Trzeba poczekać: co nagle to po dyable. Przede wszystkim, najważniejsza rzecz: czy kochasz pannę?

Biedna Veronka drżała w swojej kryjówce, niby ptaszek zziębnięty. Zamknęła oczy, jak skazaniec z głową na pieńku, któremu się zdaje, że nóż gilotyny jest mniej straszny, jeżeli się go nie widzi. Ojoj, co on też odpowie?...

— Zdaje mi się—że owszem,—odparł Jerzy z namysłem. Taka ładna! A panu się nie podoba?

— Jakżeby mi się miała nie podobać. Przecie i ja nie jestem z ciepłych klusek. Ale rzecz w tem, czy byłbyś jej się oświadczył, gdyby nie parasol? Zastanów się i mów otwarcie?

— Nawet-ly mi to do głowy nie przyszło!

Tu usłyszeli naraz z sąsiedniego pomieszczenia coś jakby okrzyk lekki i szurgnięcie potrąconego mebla.

Zwróciło to uwagę prezesa i spytał, wskazując na przepierzenie.

— Nie wiesz co tam jest za tą ścianą?

— Spiżarnia.

— Jakgdyby ktoś krzyknął w tej chwili.

— Może mysz nastraszyła którą ze służących.

Tak jest. Tak wygląda tragedia z przyległego pokoju, jeżeli ściana cienka. Jeżeli nie cienka—to nawet i tak nie wygląda. Ktoś mysz zobaczył, albo pękło komuś serce... Zkąd można wiedzieć? Okrzyk rozpacz, lub wesołego przestachu—brzmia prawie jednakowo. Veronka z cierpieniem w sercu wybiegła na powietrze, nie chciała już nic więcej słyszyć, ani wiedzieć, tylko precz ztąd, jaknajdalej, precz, precz, wszystko jedno gdzie, gdziekolwiek!...

A z sąsiedniego pokoju wszystko tak wygląda, jakgdyby Adamowa lub Hanka na mysz na deptały.

Wreszcie—rzecz obojętna, jak to wygląda z sąsiedniego pokoju: wszak i tak wygląda wogóle tylko przez krótką bardzo chwilę. Wnet wrażenie to zatuszują sprawy ważniejsze, które omówić należy.

— Więc powiadasz, że nie przysłoby ci nawet do głowy oświadczać się Veronce, gdyby nie parasol... Właśnie o to chodzi. Wobec tego zbrodnią byłoby spieszyć się z obrączkami, a tembardziej ze ślubem. Obejrzyjmy najpierw niedźwiedzia: parasol—*respective* jego zawartość, potem dopiero będzie można mówić o czem zechcemy.

Jerzy obojętnie zapalił papierosa, myśląc sobie w duchu: zestarzał się Sztolarik, tyle gada, kiedy niema o czem. Ceniąc go jednak bardzo, postanowił nie sprzeciwiać mu się zbyt doraźnie.

— Myślałem już o tem wszystkiem, kochany

ojcze opiekunie, ale cóż, kiedy niema innej rady, jak żeniaczka.

Sztolarik wstał z miejsca, przystąpił do Jerzego, i bystro wpatrując mu się w oczy, jakby zamierzał go olśnić jakim krańcowej wagi argumentem, rzekł:

— A jeślibyś mógł i bez Veronki swój spadek odzyskać?

Jerzy nie mógł ukryć lekceważącego uśmiechu.

— Przed chwilą właśnie zaznaczałem, że uważam to za niemożliwe; ale choćby nawet było możliwe—to nigdy nie umiałbym jej wyzuć z praw do tego spadku, jakie do pewnego stopnia nadała jej sama Opatrzność.

Więc Sztolarik odwrócił pytanie podszewką do góry.

— A nuż i z Veronką nie odzyskasz schedy?

— Taka alternatywa jest wręcz wykluczona.

— Tak?... No to posłuchaj, Jurku, młody mój przyjacielu: to, co powiem—przyda ci się może na coś.

— Słucham.

Ale bębnił palcami po stole i myślą bujał gdzieindziej.

— Otóż natychmiast po otrzymaniu twojego listu udałem się do złotnika Huszaka, aby kupić obrączki, wysłać ci je przez twojego konnego posłańca (jeszcze mi się wtedy nie śniło, że sam będę tu musiał przyjechać). Huszaka samego nie zastałem w sklepie, tylko był jego pomocnik, ten z zajęczkami wargami, Józef Klaniczay.

Jerzy kiwnął głową na znak, że wie o kim mowa.

— Staluję u niego dwie obrączki. Dla kogo też pyta. O, daleko, aż do Glogovy. Co?—woła—może dla siostry proboszcza?... Naturalnie, że dla niej. Prześliczna dziewczuszka. Znasz ją pan? Bardzo dobrze!

Jerzego schwycił strach jakiś. Przerwał bębnienie i skoczył na równe nogi.

— Powiedział co o Veronce?...

— Zaraz się dowiesz. Zkąd pan znasz tę osóbkę?—pytam Klaniczay'a. — Byłem w zeszłym roku w Glogowie. A waćpana tam poco dyabli nosili? Gmina kazała mi dorobić srebrną rączkę do jakiegoś starego parasola, który oni tam w kościele przechowują. Waryaty,—powiada, bali się go tu przywieźć, żebyśmy go nie skradli—(rupień dwóch groszy nie wart)—i ja musiałem sam pojechać do Glogovy, aby na miejscu rączkę dorobić.

Jerzy pobladł!

— To byłoby straszne!...—wykrzyknął.

Prezes trybunału uśmiechał się z wyrazem wyższości na obliczu.

— Dlatego właśnie twierdziłem od początku, że przedewszystkiem należy zbadać kwestyę parasola.

— Idźmy natychmiast! Poszukajmy proboszcza!

Jerzemu palił się grunt pod nogami. Tak blisko już miał swoją schedę i znów znikła przed nim, uskakując daleko, może niepowrotnie, jak ten ognik błędny, który wędrowców uwodzi...

Nie trudno było znaleźć plebana: karmił go lębia przed gankiem.

— Ojciec duchowny, — rzekł Jerzy, zapomi-

nając, że wczoraj podczas kolacyi już „na ty” być zaczął ze swym przyszłym szwagrem. Prezes, już skoro tu jest, chciałby obejrzyć wasz sławny parasol, opromieniony legendą. Wszak można?

— A czemużby nie?

I wnet zawołał na Adamową, skubiącą kurczęta w sieni, aby przyniosła klucz od kościoła.

Weszli wszyscy razem, z Adamową na czele, do świątyni Pańskiej, pod wilgotnawo-chłodne sklepienia, między poczerniałe od starości ławki.

Jakże mile są ubogie, wiejskie nasze kościółki z całem otoczeniem swoim! I trawnik, otaczający je z zewnątrz, i te różnokolorowe chorałwie, ustawione wewnątrz, przytwierdzone do ławek, z wizerunkami różnych świętych Pańskich, o twarzach pięknych, słodkich i delikatnych: *Sancta Barbara, Sancta Rozalia, ora pro nobis!* Ileż tu legend nagromadzonych! Świętych sproszono tutaj „na pół drogi” (połową drogi do nieba jest kościół), aby się spotkać mogli z ludźmi. W głównym oltarzu—święty Mikołaj, rozdający dzieciom orzechy: był to do niedawna główny patron Glogovy.—Cóż, kiedy mu teraz, od czasu parasola, święty Piotr wchodzi w paradę. Po lewej stronie, u chrzcielnicy—wizerunek Chrystusa z wieńcem róż robionych nad cierniową koroną. Tutaj to, owego dnia pamiętnego, wznosił młody ksiądz modlitwę do Boga, aby mu dopomógł wyżywić i wychować Veronkę małą, którą mu po śmierci matki przywiósł Mateusz Billaghi... Ci-cho tu, spokojnie, pachnie rezedą i kadzidłem jeszcze od ubiegłej niedzieli.

Wszystko ma tu swoją historję, swój wątek: tę grubą, ozdobną gromnicę sprawiła Panu Bogu Mikołajowa Domanyik, gdy jej męża powołał do siebie. Mógłby kto pomyśleć — ręka rękę myje: ale tak nie jest, bo oto obrus na ołtarz pięknie haftowany przez panią Gongolyową, a jednak uto-
nęła biedactwo w wezbranym potoku. Oho, nie przekupić Pana Boga!

— O, tedy, tedy, wielmożny panie, do zakrystyi!

Gdy weszli, odrazu z pomiędzy pluvial, kazul i stół rozmaitych rzucił im się w oczy stary parasol, niegdy Pawła Gregoricsa. Uśmiechnął się ku nim dobrze im znaną, spłowiałą czerwienią pokrycia, ale srebrna rączka... O biada! srebrna rączka kaleczyła im wzrok obcym, wrogim połyskiem!

Jerzy zdrętwiał i słowa nie był zdolny przemówić. Zrozumiał, że los przeciwko niemu się sprzysiągł, że dyabeł jakiś chodzi za nim i wciąż go popycha: „goń, goń schedę swoją”! Drugi dyabeł idzie przed nim i pokazuje mu ją, drażniąc chciwość: „o, widzisz, widzisz, tedy droga”! Ale jest jeszcze i trzeci dyabeł, który wyprzedza drugiego, czeka, zaczajony u samego celu i gdy u celu tego Jerzy nakoniec staje—on wyskakuje z zasadzki, aby z szyderczym śmiechem pokazać mu: „Oto nicość!”...

Pan Sztolarik zachował pełnię zimnej krwi: z wielką uwagą przyglądał się rączce parasola, niby zachwycając się artystycznym jej wykonaniem.

— Czy parasol ten zawsze miał tę rączkę?— zapytał.

— Oh, bynajmniej! To jest kute srebro, i rzeczywiście dobra robota. On miał dawniej zwyczajną rączkę kościaną, która się już w końcu tak zdezolowała, że była do niczego. Gdy byłem u wód zeszłego roku, parafianie zrobili mi niespodziankę, złożyli się i sfundowali tę srebrną ozdobę. Niejacy Stefanostwo Klincsokowie zajęli się tą składką: poczciwi ludzie, muszę cię zapoznać z nimi,—dodał ksiądz, zwracając się do Jerzego.

Jerzy byłby chętnie tych szanownych Klincsoków odesłał na dno piekła i miałby nawet dla nich odpowiednią eskortę, bo oto czuł, że już zjawia się po za nim ów pierwszy dyabeł i znów gnać go zaczyna: „pędź, pędź za schedą swoją!”

— Zachowano jednak chyba na pamiątkę i dawną rączkę tego parasola?—spytał, zamierzając z niepokojem.

— Wątpię, — skrzywił się proboszcz. — Coś przypominam sobie, że Adamowa prosiła o niego Veronkę.

(Tu jakgdyby drugi dyabeł jął skrzeczyć Jerzemu w ucho: „Przez Adamową, przez Adamową do schedy droga!”...)

— Co to za Adamowa? — zainteresował się i prezes.

— Stara kucharka nasza, która nas tu przyprowadziła, i odeszła co tylko, pilnować obiadu.

Pan Sztolarik parsknął śmiechem: tak serdecznym, tak wielkim śmiechem, że mu się aż lzy jak grad potoczyły z oczu. Mury kościoła,

kamienne tafle podłogi — śmiechowi temu wtórowały echem.

W odpowiedniej chwili, gdy wyszli z kościoła, pan Sztolarik wcisnął Jerzemu w rękę w bibulkę owinięte obrączki, radząc mu z cichym, opanowanym humorem:

— Według poprzedniej twojej loiki—idźżeż teraz do tej Adamowej i proś o jej rękę. Nie masz co marudzić: idź, możesz się z nią odrazu zaręczyć!

Jerzy zniósł żrący sarkazm, zwrócił się na pięcie i w dwóch susach był w kuchni, obok Adamowej, smarzącej właśnie krążki ciasta do naleśników.

— Adamowo, gdzie macie dawną rączkę od kościelnego parasola?

Adamowa wpięrować się musiała z tym krążkiem ciasta, który był właśnie na patelni.

— O dawną rączkę parasola, pytasz gołąbku, wielmożny panie?—Przemówiła nakoniec.— A no, z tem, to tak się rzecz miała. Chorował i chorował Maciuś, mój mały wnuczek: w zeszłym roku to było, w porze, kiedy kapusta dojrzewa. Ale i przedtem także...

— Mniejsza o to, kiedy!

Adamowa zalala patelnię nową porcją ciasta.

— No tak!... Zaraz, na czem to ja stałam? Aha, o Maciusiu. Z oczu mu to przyszło. Urok, nic innego. Bo mój Maciuś to prześliczne dziecko...

Jerzy zaczął odchodzić od przytomności. Tupnął nogą.

— Nie dowiem się, gdzie jest?

Adamowa przestraszyła się.

— No tam przecie: siedzi w kucki?

— Rączka od parasola... siedzi w kucki.

— Co znowu. Maciuś siedzi w kucki.

— Tam do licha, kobieto, czyście ogłuchli!

Ja się pytam o rączkę od parasola!

Adamowa błysnęła ku niemu pełnem oburzenia wzrokiem.

— A o czymżeż ja innem opowiadam, jeżeli nie o rączce od parasola? Dziecko nikło w oczach, trzeba było odczynić urok trzema węgielkami, wpuszczonemi w wodę, którą pijał. Że zaś właśnie wtedy sprawiono srebrną rączkę do świętego parasola i panienska podarowała mi starą jego rączkę...

Jerzego ciarki przeszły.

— Adamowo!... — wrzasnął nieswoistym głosem: — przecieżeście chyba tej rączki nie spalili?!...

Stara patrzyła na niego z osłupieniem.

— A skądże byłabym węgielki wzięła, gdybym jej była nie spaliła?

Ściany zaczęły tańczyć Jerzemu w oczach, cała kuchnia, talerze, rondle i garnki puściły się w jakiś waryacki wir: a tam, skąd ogień buchał z komina, wyszczerzył ku niemu zęby jego trzeci dyabeł: „Nicość! nicość! nicość”!...

Naraz potrząsła jego ramieniem silna jakaś dłoń: dłoń Sztolarika.

— Było—niema. Nie trzeba już o tem myśleć, bracie. Tak chciało przeznaczenie—punctum. Odtąd przynajmniej nie będziesz już gonil za

ambitnymi snami, zwrócony jesteś własnym siłom swoim. Wierzaj mi, że i to ma swoją wartość, swoje duże znaczenie.

Zabierają małą Veronkę.

Łatwo było prawić kazanie Sztolarikowi, że pomyślność materyalna ujemnie wpływa na funkcyę intelektu człowieka: jednak te dobra materyalne mają nie lada urok.

Gdy człowiek straci ukochane dziecko—zawsze znajdzie się ktoś życzliwy w rodzinie, kto pragnie uleczyć drgające bólem serce dowodzeniem, iż kto wie, coby było z dziecka wyrosło? Może byłoby skończyło na szubienicy? Gdyby je był miał marny los spotkać — to przecież lepiej, że odrazu umarło. Tego rodzaju filozofia jednak—nie zdarzyło się, aby czyje prawdziwe łzy bólu osuszyła.

Tak i Jerzy: słuchał słów opiekuna, ale nie mógł się opędzić uczuciu niezmiernej przykrości na myśl, że już nie będzie posiadał wielkopańskiego dominium, parku angielskiego i innych, tym podobnych splendorów. Cały świat zaczął widzieć pod innym, nieznanym sobie dotychczas kątem: wydawał mu się posępny, ogolony z wszelkiej promiennej na przyszłość perspektywy.

A jednak świat był teraz akurat taki sam, jakim był i przedtem. Nic się nie zmieniło, wszystko szło zupełnie zwyczajnym trybem tak, jakgdy-

by Adamowa nie była spaliła rączki parasola. Wskazówki starego zegara z kurantem w stołowym pokoju plebanii dotarły do rzymskiej dwójki, zegar wydzwonił kuranta, Adamowa nakryła do stołu, podała zupę, proboszcz wyszukał swoich gości, wprowadził ich do jadalni, posadził ich po prawej i lewej stronie pani Krisbay, i teraz dopiero nagle zauważył, że Veronki niema.

— Właśnie i ja chciałam o to zapytać—rzekła pani Krisbay. To ona nie z panami była?

— Byłem pewny, że ona jest z panią,—odparł ksiądz.

— Nie widziałam jej już od dwóch godzin.

— Ani my.

— Ani ja.

— Może jest w kuchni?...

Pani Krisbay z miną obrażoną wstała ze swego miejsca prezydyalnego, ażeby pójść po Veronkę: po chwili jednak wróciła, wzruszając ramionami.

— I w kuchni jej nie widziano.

— A to ładnie! — wybuchnął ksiądz i sam wybiegł z pokoju, aby na wszystkie strony porozsyłać służbę we wszystkie zaułki dworu i ogrodu na poszukiwanie panienki.

Adamowa zaczęła ubolewać w kuchni, że wszystko wykipi, „wysmerli się”, na patyk powysycha...

— Niech Adamowa podaje, — rozkazał ksiądz.—Takiego gościa, jak pan prezes, nie można narażać na czekanie, temwięcej, że się spieszy odjechać. Kto się nie pilnuje — nie dostanie obiadu.

Więc zaczęto podawać kolejno: po zupie—
gęś z kaszą, potem kapustę nadziewaną, prosie
pieczone—jakiego sam król nie jada, naleśniki—
a Veronki ani słyhu, ani widu nie było. Przyszła
Hanka z objaśnieniem, że panienki nigdzie niema.

Jerzy siedział za stołem znieczulony, jak ma-
kowy tuz, a twarz miał bladą, niby trup.

— Eh, może w pasiece zasnęła,—rzekł w pe-
wnej chwili ksiądz, albo może — tu zawahał się
trochę, tknięty lekką trwogą.—Albo może między
wami co zaszło?...

Badawczo na Jerzego spojrzal.

— Między nami? Nie, nic nie zaszło,—lodo-
wato odparł Jerzy.

— Więc biegnij jeszcze, Hanko, do nowej
oficyny, i zajrzyj do pasieki... A my pijmy, pa-
nowie, niech nam nie przeszkadza nieobecność
mej siostry. To jeszcze nawpół dziecko, kapry-
sami się rządzi... Może ją zajął jaki piękny okaz
motyla i za nim się ugania. O, tego czerwone-
go niech pan pozwoli, panie prezesie.

Ksiądz słowami temi nietyle gości usiłował
uspakajać, ile samego siebie raczej: siedział bo-
wiem jak na szpilkach z niepokoju, serce uciska-
ła mu trwoga, i chwilami prawie że nie wiedział,
co mówi. Prezes naprzykład wypytywał go z za-
jęciem, czy miał zyski z wczesnego ciepła bieżą-
cej wiosny, i jakie też mniej więcej?

— Było coś ze dwa... odpowiedział ksiądz—
ku zdziwieniu prezesa.

— A czy wielebny ksiądz proboszcz ma jesz-
cze więcej rodzeństwa?

— Doprawdy nie zwróciłem uwagi!

Tego rodzaju tok rozmowy aż nadto wyraźnie ujawniał, że ksiądz jest okropnie zgnębiony, i że tylko najwyższe napięcie woli trzyma go na uwieży między gośćmi—jako gospodarza. Nareszcie gdy podano czarną kawę, prezes ulitował się nad nim i rzekł:

— Zdaje mi się jednak, iż byłoby dobrze, gdyby ksiądz proboszcz sam wejrzał w sprawę wyszukania swojej siostrzyczki. A przy sposobności może ksiądz będzie łaskaw kazać zaprzęgać dla mnie, bo to siła drogi, ztąd do Bystrzyцы!

Ksiądz skwapliwie skorzystał z przyzwolenia, a zaraz po nim i pani Krisbay przeprosiła gości, wstając od stołu, bo wszystko, co się tu dzieje, jest tak dziwne, że i ona także niepokoić się zaczyna.

Sztolarik i Jerzy zostali sami. Zapanowała męcząca cisza. Słychać było tylko chód zegaru.

— Każ i ty zaprzęgać, — ozwał się prezes. Pojedziemy razem.

Jerzy odpowiedział jakimś dźwiękiem nieartykułowanym, ni to jękiem, ale że i głową przy tem potrzęsnał, więc można się było domyśleć, że nie przystaje na propozycję.

— A jednak trzeba, żebyś pojechał. Nasza rola tutaj jest skończona.

— Mówię, że nie mogę.

— Dlaczego?

— Czyż pan nie widzi, że Veronka gdzieś przepadła?

— A cóż cię to obchodzi? I rączka od parasola także przepadła.

Jerzy wybuchnął: uderzył pięścią w stół, pomiędzy szklanki.

— A co mnie licho do rączki od parasola!

— Tak? Więc ci o samą pannę chodzi?... Zrana mówiłeś trochę inaczej.

Jerzy ruszył ramionami.

— To wtedy. Wtedy jeszcze sam nie wiedziałem.

— A teraz już wiesz?

— A teraz wiem.

— No, ciekawa rzecz, kiedy to Amor zdążył swoją sieć rozpostrzyść? Ze strony panny bowiem nieszczególnie obiecującym jest to jej dziwne zniknięcie. Nie powiem, aby to wyrażało specjalne zainteresowanie się twoją osobą.

— Toteż dlatego właśnie odczuwam teraz wszystkie gorycze piekła. Och, ojczy-opiekunie mój, wierzaj mi, iż drobiazgiem, na który spojrzeć nie warto, wydaje mi się w porównaniu z tem całą awantura ze straconą schedą!

Na takie słowa prezes do głębi poruszył się rozpaczą młodzieńca, która tak niespodziewanie, i w tak szczerzej objawiła się formie.

— Kiedy tak — to co innego. Do dyabła, także gadaj! Kiedy tak, to i ja tu zostaję. Chodź, razem poszukamy malej i dowiemy się o co jej chodzi.

Gdy wyszli, na podwórzu już wrzało w całej pełni: najgłośniejsz lamentowała Adamowa.

— Wiedziała, wiedziała, że to się tak skończy. Cudu promienistego, zesłanego na ziemię—niewolno palcem dotykać, bo rozpierzcha się, jak mgła. O droga panienko nasza! Byłaś

oblubienicą Jezusa, a chciano cię oddać po-
spolitemu człowiekowi, to i zabrał cię Jezus do
siebie!

Sztolarik przyskoczył do niej i schwycił ją
za rękę.

— Co aścka tam prawisz? wiesz co się z pa-
nienką stało?

— A właśnie opowiadała w tej chwili, pro-
szę uniżenie, żona pasterza krów, Gundrosza,
iż widziała naszą panienkę przed połud-
niem, jak biegła z zapłakanymi oczami prosto
tam, gdzie płynie Biela Woda... Oh, Boże, Boże,
przecież jasne jak na dłoni...

Przed bramą stała gromada kobiet i dzieci.
Ktoś z nich także widział Veronkę.

— Czy smutna była panienka — zapytał
Jerzy?

— Płakała.

Jerzy syknął z bólu.

— Już my ją odzujemy! — uspakajał prezes.

— Gdzie?

— W obrębie widnokręgu — jest napewno, za-
raz się dowiemy gdzie.

— Gdyby to było tak łatwo! — westchnął Je-
rzy. Ale tylko w bajkach znają takie lustro, w któ-
rem się cały widnokrąg odbija.

— Już my tu zwołamy zaraz wszystkich z ca-
łego widnokręgu! — mówił pan Sztolarik. Gdzie
jest ksiądz proboszcz? — zapytał zgromadzonych
gapiów.

— Poszedł do suszarni, myśląc, że się pa-
nienka może tam zabałamucila.

— A gdzie dzwonnik?

— Tu jestem!

— Pędź do wieży kościelnej, i bij w wielki dzwon!

— Jakto, wielmożny panie... przecież się nie pali?

— Nie mędrkuj, tylko słuchaj. Znasz mię chyba?

Jakżeby miał dzwonnik nie znać pana Sztolarika? Jeszcze zanim notaryuszem został—w tym właśnie okręgu rozpoczynał on swoją karierę, i wtedy to właśnie tak dużo leszczyny nasadzone w Glogowie... Popędził tedy Paweł Kvapka jak szalony ku wieży, i za małą chwilę rozległy się uroczyste, trwogą tchnące, zrazu jakby tępe, potem coraz dźwięczniejsze i donioślejsze tony dzwonu—bim, bam, bam...

Nie było ani odrobiny wiatru. Powoli szły, płynęły straszne dźwięki przez łąki, doliny, góry, wąwozy, lasy i sitowia, i oto z północy, południa, wschodu i zachodu—naraź zacząła jakby z pod ziemi odrazu wyrosła ciżba ludu, który ze wszystkich kierunków jął biedz ku Glogowie. Aż dziw brał patrzeć, z kąd nagle takie gromady powstały: coś podobnego da się widzieć chyba na sądzie ostatecznym, gdy Archanioł Gabriel da pobudkę.

Sztolarik z zadowoleniem przyglądał się z kościelnego wzgórza masom, spieszącym ku wsi.

— Widzisz, że cały widnokrąg sam do nas przybywa: jeżeli ktokolwiek co wie o Veronce — zaraz nam to powie. Ale zbyteczne, bo napewno i Veronka sama zaraz się tu zjawi. Hej, dzwon-

niku! wyrzyj-no tam przez okno, czy nie widać gdzie panienki?

— A widać! — krzyknął dzwonnik.— Biegnie obok łanu kukurydzy Szranków.

— Więc żyje!—zawołał Jerzy,—ośniony radością, ale równocześnie tknęła go świadomość konsekwencji tego faktu: żyje, nic jej się nie stało—więc tylko jego unika.

I mimowoli,—może podświadomie, ważyć ją w sercu, czy nie byłoby lepiej dla niego, gdyby nie żyła. Mógłby wierzyć w to, że go kochała, i w tem przekonaniu mógłby ją oplakiwać.

Prezes krzyknął na dzwonnika, który wciąż jeszcze dzwonił.

— A przestańże już ośle! Pokaż nam ręką w której stronie jest kukurydza Szranków.

Dzwonnik pokazał w stronę pastwisk.

— Biegnijże, Jurku, i wybadaj dziewczkę!

Ale Jerzy już był daleko. Brzegiem ogrodu, należącego do plebanii, dopadł do lucerny Józefa Magáta, i tu niemal głośno serce mu zabiło, bo ztąd już na własne oczy mógł dojrzeć Veronkę, jak w swojej zielonawej, fałdzistej sukience biegła zaalarmowana. Nawet kapelusza nie miała na główce, tylko małą, niedbale zarzuconą chusteczkę czerwoną. Więc w kilkunastu susach na przełaj przesadził łąkę Szlavika, i przez terytoryum Gongolya dosięgnął dziewczki.

Ujrzawszy go, krzyknęła, i drzeć zaczęła jak listek.

— Gdzież to się pali?—spytała głosem bezdźwięcznym.

— Nie bój się, Veronko, nigdzie się nie

pali. To mój opiekun kazał bić w dzwony, żeby ciebie zwabić, bo znikłaś. Czemu to zrobiłaś?

Bladość powlokła oblicze dziewczęcia: do krwi przygryzła czerwone wargi.

— To moja rzecz wyłącznie—odparła cicho, zamierającym prawie głosem.—Zostaw mię pan, proszę. Odejdź stąd, albo ja odejdę.

Odwróciła się, by znów do lasu uciec.

— Veronko! Na miłość Boską zaklinam cię, nie męcz mię. Co ci jest? Czem ci zawi-nilem?

Dziewczyna zatopiła w niego spojrzenie chłodne i przenikliwe. Oczy jej były jak dwa lodowce.

— Zostaw mnie pan, — powtórzyła. Czego pan chcesz odemnie?

Jerzy schwycił ją za rękę. Veronka całą siłę i całą zręczność wyteżyła, aby mu tę rękę wyrwać, ale puścił ją dopiero, przemocą wsunąwszy jej na palec obrączkę.

— Tego chcę!—rzekł błagalnie.

— Tego pan chcesz?—zaśmiało się dziewczę z goryczą. A ja zaś—chcę tego!

Jednem szarpnięciem zdarła pierścień z palca, i odrzuciła go precz, daleko na łąkę, między tysiączne, drżące, szeleszczące dźbła trawy. Jerzy za głowę się chwycił.

— Veronko, czemuś to zrobiła?

— Przestań pan grać komedję, panie Wi-bra. Obdarz pan pierścieniem parasol, nie mój biedny palec... bo ci przecież o parasol chodzi, nie o mnie! Rozumiesz pan nareszcie?

Istotnie, teraz zrozumiał Jerzy wszystko.

— Wielki Boże! Słyszalaś naszą rozmowę?...

— Tak jest, słyszałam wszystko, — odparła, rumieniając się nieznacznie!—Na nic się nie zda przeczyść.

— Ja przeczyść nie chcę niczemu. Zaklinam panią jednak, błagam, wysłuchaj mnie powoli i cierpliwie.

Szli zwolna łąką: Jerzy mówił, Veronka słuchała, a miliardy motylów, muszek i chrząszczyków zakreślały w powietrzu koliste, to zygzakowate linie, roztaczając ledwie pochwytną harmonię szeptów i chórów swojej symfonii, którą gęstwina trawy—zda się—jak echo rozbrzmiewała. Jerzy opowiedział pokolei wszystko od samego zarania swojego dzieciństwa: historię ojca swojego, schedy, którą ten, według wszelkich poszlak, musiał mu zostawić, w jaki sposób doszli, gdzie ją Gregorics ukrył, jak w poszukiwaniu parasola dotarli Jerzy aż do Bábaszéku—jednem słowem: wszystko. Dzieweczka słuchała jego mowy z początku jak oskarżycielka, z niemym, gorzkim wyrzutem w oczach: potem—jak sędzia, co bezstronnie, rzeczowo gromadzi dane, aby sformułować wyrok. Nakoniec jednak opowieść zaczęła ją przejmować: nie było już oskarżycielki ani sędziego, tylko zadziwiona słuchaczka, która coraz częściej własne słowo do rzeczy wplatała, dopytując się o szczegóły i lekkimi okrzykami akcentując zdumienie.

Ah, jakże treść tej dziwnej opowieści coraz się bardziej zbliżała do jej osoby... Nici tego wątku powoli, ale coraz silniej ją oplatały i wciąż

gały w tę tkaninę, jakgdyby była jej naturalną częścią składową!... Cóż dalej? co dalej?...

Więc zbliża się coś, zbliża... Już wtedy Mintz mówi, że parasol musi być w Glogovie. Potem—przy kolacyi u Mravucsánów leśniczowa... oh! leśniczowa wydaje—co to takiego święty Piotr maleńkiej sierotce przyniósł!

Jeszcze kilka słów i Veronka rzewnymi łzami płacze.

— Oh, mój Boże! I tę rączkę spaliła Adamowa!...

— Chwała Panu Bogu, że to uczyniła!—zawołał Jerzy zwycięsko, widząc, że Veronka zmiękła: bo teraz przynajmniej mogę udowodnić, że panią kocham dla pani samej, nie dla parasola!

Veronka zerwała czerwoną chusteczkę z głowy i popatrzawszy chwilę bystro, trzepnęła nią Jerzego w ramię, a przez łzy przeświecał już w jej oczach uśmiech.

— Jakto, naprawdę jeszcze i teraz chcesz się pan ze mną ożenić?...

— Naturalnie. A pani co na to?

— To, że... (Przerwała: coś ją ścisnęło za gardło).

— Że?

— Że pan jesteś bardzo lekkomyślnym nicponiem, i...!

— I?

— I że... Wracajmy szukać obrączki!

Zawróciła się i, jak wicher, jak młody żrebaczek w podskokach, pognęła na łąkę Gongolya: Jerzy ledwie mógł za nią nadążyć.

Szukali i szukali obrączki—ale nadaremnie.

A tu nadszedł ksiądz proboszcz. (Tylko słuchaj, Jurku, ani słowa bratu o parasolu!) (Nie, serce, nigdy się o niczem nie dowie!). Ksiądz proboszcz zgniewał się na Veronkę. Ty mała niecnoto, czy to się godzi tak robić? Gdzie byłaś? Narobiłaś nam strachu! Ganiałaś pewno za motylami?

— Przeciwnie właśnie: ja uciekałam, ale on mnie złapał.

— Motyl?

— Ten szkaradny duży motyl.

Ksiądz proboszcz, zrozumiawszy rzecz całą, o ile mu ją zrozumieć pozwolili, sam zaczął im pomagać w szukaniu obrączki: ale szukanie to mogło być trwać z równym skutkiem do dnia sądnego, gdyby pan Gongoly, dowiedziawszy się, kto na jego terytoryum przebywa, nie był się przyclapał ze swoją otyłą figurą, w którą poufale a rzetelnie uderzał w biegu kapciuch z tytuniem.

Veronka właśnie była już bliska rozpacz z powodu straconej obrączki.

— No, no!—orzekł glogovski nabab, kręcąc głową, której siwe włosy zebrane były z tyłu na grzebieniu. — Niema się czego martwić. Gongoly-bácsi zaraz znajdzie. On napewno zgubę znajdzie. On ma po temu sposoby. Co innego nieszczęścia, a co innego trzosik. Za godzinę ląka będzie zkoszona.

*

*

*

Choć niespełna dwa tygodnie temu cięto trawę na łąkach pana Gongolya — przysłał ko-

siaży, aby zgolili żdźbła wysokie zaledwie na dwa palce.

Jakoż, pod jedną z kos, niby złoty dzwoneczek zadźwięczała obrączka i nazajutrz błyszczała już na paluszku Veronki.

Pozostała ztąd nazawsze pamięć o łące Gongolya, że ją w jednym roku trzy razy koszono. Chwali się tem do dziś dnia każdy Glogovianin, gdy obcy przybysze zabierają głos w kwestyi wydajności tego gruntu.

Cóż więcej jeszcze powiedzieć tu można?

Tematu byłoby wiele: jest między innemi i wieczna tajemnica. Dotychczas bowiem nie wykryto jeszcze, gdzie się podziiała scheda po Pawle Gregoricsu. Czy istotnie ów dowód bankowy znajdował się w rękojeści starego parasola, czy go tam nie było — tego nikt nie wie, sam nawet Maciuś mały, który przecież pił z niego nalewkę, o ile on istotnie tkwił w tych trzech węgielkach...

Tak kosztownego lekarstwa — zaprawdę nie zażywają i monarchowie, — jeżeli tam był ów dowód...

Legenda o Glogovskim parasolu ś-go Piotra po dzisiaj w tamtych stronach żyje.

Pan Sztolarik wprawdzie lubił wszem wobec i każdemu zosobna opowiadać, jaką to relikwią obdarzył chrześcijaństwo Mintz, żyd stary: wiara jednak silniejszą jest od prawdy, i powoli zupełnie pograżyła ją na dno. Zostawmy ją w spokoju.

W każdym razie bowiem trudno jest odmówić pomieszanym z legendą tą wypadkom pewnej mistycznej logiki: czyż parasol ów nie sprowadził błogosławieństwa i szczęścia na cale życie temu,

dla którego przeznaczyła go zabiegliwa a przezorna miłość ojcowska? Czyż nie dał Jerzemu najmilszej, najlepszej, uroczej i ukochanej żoneczki, z którą w trzy tygodnie po opisanych wypadkach stanął przed ołtarzem?

Takiego wesela jeszcze nie widziała Glogova. Veronka życzyła sobie, żeby zaprosić wszystkich, którzy wówczas u Mravucsánów na kolacyi byli świadkami pierwszych chwil, jakie razem z Jerzym spędzała.

I z Bystrzycy dużo osób zjechało, między innymi także matka pana młodego w czarnej, kaszmirowej sukni, prezes trybunału, wice-żupan, — i Pan Bóg wie kto jeszcze!

Z Kopanicy przybyli Urszyniowie, z Lehoty — panny administratorówny (w karbowanych, różowych sukienkach), z Bábaszéku — stara Mintzowa (w takich kolczykach, jak pięści).

Tyle bryczek i powozów nazjeżdżało się do Glogovy, że potem o samych uprzężach było co przez cały tydzień rozprawiać.

Po niesporach kościelny powypychał zbyt wielki natłok chłopstwa ze świątynki, ale ksiądz pleban został jeszcze w zakrystyi. Naturalnie, tylko patrzeć jak przyjedzie orszak ślubny.

Jezus, Marya! Ile państwa, — jakie na nich na nich stroje!... Idą parami, po dwoje; pan — panna, kawaler — panna... A na samym przedzie panna młoda w białej sukni, w białym wieńcu na głowie! (Ah, jaka szkoda, że i ona się kiedyś zestarzeje!)

Ale i pan młody nie gorszy, i na niego warto popatrzeć. Ubrany tak samo, jak król na obra-

zach. Złocista szabla w aksamitnej pochwie tylko brzęczy i dźwięczy po kamiennej podłodze... Aż się serce w człowieku podnosi na taki widok!

Potem stanęli wszyscy w półkole przed ołtarzem: każda z tych ślicznie ubranych pań trzymała w ręku bukiet z żywych kwiatów, a oprócz tego, wszystkie miały włosy namaszczone drogiejmi płynami. Zapachu — jak w aptece! Było tylko trochę chłodno w kościele — panny administratorówny, — chudziątka, drżały tam odrobinę w swoich tiulach — ale pozatem wszystko było prześlicznie... nad podziw prześlicznie.

Pan młody głośno powiedział „tak” — aż się pod sklepieniami rozległo: ale panna młoda bąknęła swoją odpowiedź cichutko, bojaźliwie, słychać było tylko jak brzęczenie muszki.

Wkońcu rozczuliło się, biedactwo, że się aż mazać zaczęło... Jęło szukać chusteczki do nosa w swej wspaniałej, białej szatce... Czy aby jest w niej kieszeń? Niebożátko — nie mogło znaleźć chusteczki, więc swoją jej podała stojąca za nią dama, która jednocześnie, zwróciwszy się do swego męża, szepnęła:

— Zapnij się, Władziu, bo zimno.

K O N I E C.



